



Fabrice Hadjadj  
**ZMARTWYCHWSTANIE**

instrukcja obsługi

# ZMARTWYCHWSTANIE



Fabrice Hadjadj  
**ZMARTWYCHWSTANIE**

instrukcja obsługi

Przełożyła  
Maria Nowak

w|drodze  
⌘

Tytuł oryginału  
*Résurrection. Mode d'emploi*

© Magnificat SAS, 15–27, rue Moussorgsky, 75018 Paris, 2016  
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo W drodze, 2017

Redaktor prowadzący: *Ewa Kubiak*

Redaktor: *Agnieszka Czapczyk*

Korekta: *Agnieszka Czapczyk, Paulina Jeske-Choińska*

Redaktor techniczny: *Justyna Nowaczyk*

Skład i layout: *Justyna Nowaczyk*

Projekt okładki i stron tytułowych: *Piotr Łysakowski*

Ilustracja na okładce  
Michelangelo Merisi da Caravaggio, fragment obrazu *Niewierny*  
*Tomasz* (ok. 1595–1596)

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu  
Likus Hotele i Restauracje



ISBN 978-83-7906-143-3

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie I, 2017

ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań

tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82

sprzedaz@wdrodze.pl www.wdrodze.pl

*Wszystkim, których rozczarowała książka  
Samobójstwo, instrukcja obsługi, poświęcam  
ten mały przewodnik praktyczny inaczej.*



## WPROWADZENIE

*Ach! Jakże byłoby upojnie, gdyby dokładnie w chwili, gdy sypią na nas piach, z trumny trysnął niespodziewany, cudowny fletowy trel! Cóż za niespodzianka! Jakież lekcja dla rodzin!... Oto pierwszy umarlak, który nie schodzi z tego świata nadaremno, lecz zaskoczywszy, zrozumiałwszy w końcu wszystkie łaski Wiosny! Wywrotowiec Cieni! Cmentarny trubadur! Błazen pajacujący w Otchłani Świata!... Chciałbym nim być! Tym i nikim innym, do diaska!*

Louis-Ferdinand Céline, *Guignol's band*







Od zawsze byłem człowiekiem wierzącym. Nie ma w tym niczego specjalnie dziwnego, jako że pochodzę z rodziny ateuszy. Najpierw, jak w bogów, wierzyłem w rodziców (i nie musiałem nawet się wysilać, żeby zniszczyć to bóstwo – samo dość szybko spadło z piedestału). Wierzyłem też w Chantal Goyę, kiedy śpiewała, że „królik ranka tego zabił myśliwego”. Wierzyłem w Aktarusa, księcia Euphor, i jego bojowego robota Goldoraka. Wierzyłem w amerykańskiego pioniera Charlesa Ingallsa i *Domek na prerii* (choć w to akurat, niestety, zbyt krótko – mieszkałem w najeżonej wysokościami dzielnicą La Défense). Potem wierzyłem w dziewczynę miesiąca, której zdjęcia publikował „Playboy”. Ba, wierzyłem, że jedzenie materializuje się na regałach supermarketów (i dotąd mam trudności, by wyobrazić sobie, ile czasu potrzebuje jabłko, żeby dojrzeć, albo indyk, żeby nabrać apetycznych kształtów). Był nawet taki moment, kiedy uwierzyłem, że moja płeć to tylko konstrukt społeczny, fikcyjny „rodzaj” (ale w następnej chwili przeszła obok mnie piękna dziewczyna i nagle okazało się, że

to, co uważałem za fikcję, tętni życiem, jak drzewo obudzone przez wiosenne słońce). Wierzyłem w rewolucję francuską i w rewolucję socjalistyczną, chociaż mój ojciec, członek związku zawodowego CFDT, miał umiarkowane poglądy.

Nie minęło wiele czasu, a uwierzyłem w Nietzschego, przekonany, że dzięki niemu znajdę się *Poza dobrem i złem*, a także w Georges'a Bataille'a, choć byłem nieco zbyt nieśmiały, żeby na serio poświęcić się uprawianiu dyscypliny, jaką jest orgia. Potem przyszedł czas na Hegła – wierzyłem, że w nim odnajdę wspólny mianownik wszystkich moich wcześniejszych wierzeń. A kiedy „wiedza absolutna” przestała mi wystarczać, uwierzyłem w Céline'a i jego ewangelię *Podróży do kresu nocy*. Wierzyłem też – przyznaję – w buddyzm zen i siadywałem, wraz z szefami działów handlowych wielkich firm oraz z nauczycielkami w wieku przedemerytalnym, by kontemplować cud mojej wewnętrznej pustki. Równocześnie – rzecz oczywista – mocno wierzyłem w siebie samego. A jeszcze mocniej wierzyłem w to, że jestem niewierzący.

I wreszcie, pewnego pięknego dnia, cały ten mistycyzm prysł, zmieciony strumieniem życia. Przypomniałem sobie, że jestem Żydem i Francuzem, a w starych książkach, napisanych nieco archaicznym francuskim, przeczytałem, że Bóg stał się ży-

dem. I tak stałem się chrześcijaninem, a nawet katolikiem. Czasy, kiedy byłem łatwowierny, minęły. Zapanował obiektywizm – kategoriyczny i często bardzo upokarzający.

## ZASADA RZECZYWISTOŚCI

Wiara w cieślę z Galilei, niejakiego Jezusa, który umarł, a potem zmartwychwstał w Jerozolimie, „pod Poncjuszem Piłatem” (czyli w pewnej niewielkiej prowincji Cesarstwa, zarządzanej przez rzymskiego urzędnika), nadzwyczaj skutecznie sprowadziła mnie na ziemię. Wiara ta jest zbyt szczegółowo określona, żeby pozwolić na luksus bujania w obłokach abstrakcyjnych „nauk” czy „duchowości”. Szczególnie ostrym kryterium, które nie pozwala odejść od zasady rzeczywistości, jest fakt zmartwychwstania Jezusa. Wierzyli weń rybacy, którzy potrafili podnosić oczka sieci, budowniczy katedr, mnisi, którzy karczowali puszcze i uprawiali ziemię, słowem – ludzie mający porządną fach w ręku, praktyczni i zdroworoządkowi. Wiara w Zmartwychwstałego była dla nich takim samym konkretem, jak siew zboża na wiosnę czy stawianie murów romańskiej bazyliki. Ba, była

wręcz fundamentem – opierali się na niej, wieńcząc kamienne sklepienie, gdy dzieła ich rąk dojrzewały jak kłosa zboża na polu.

Wszystkie ewangelie wielkanocne trzymają się zasady rzeczywistości i, co bardzo frustrujące, naszymi imaginacjom i fantazmatom grają na nosie. Bo gdy myślimy o człowieku uwielbionym, otoczonym chwałą Bożą, wyobraźnia niezawodnie podsuwa nam wizję kogoś emanującego splendorem zdolnym przyćmić gwiazdy na gali oscarowej i dokonującego rzeczy niesłychanych – żonglującego ciałami niebieskimi, przywracającego harmonię świata, tak że „wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z kozłębem razem leżeć będą”<sup>1</sup> (Iz 11,6)... Nic z tego. Trzeba nam pogodzić się z faktem, że Chrystus zmartwychwstały w ogóle do takiego obrazu nie pasuje. Owszem, znamy epizod z siecią tak pełną ryb, że nie można jej było wyciągnąć na łódź, i scenę wniebowstąpienia, podczas której pojawiło się nagle dwóch facetów w bieli i wylało na zgromadzonych kubeł zimnej wody, przerywając im kontemplację nadnaturalnego zjawiska słowami: „Dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo?” (Dz 1,11), ale poza tym – ani jednego cudu. A może jednak

---

<sup>1</sup> Fragmenty biblijne cytowane za: *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Pallottinum, Poznań 2003.

Jezus po zmartwychwstaniu dokonuje cudów? Takich cudów na opak, cudów dyskrecji i delikatności, prostoty i zwyczajności?

Zauważmy rzecz ciekawą – nie można powiedzieć, by zmartwychwstały Jezus olśniewał otoczenie. Nie bije od Niego blask taki jak na górze Tabor, wydaje się nawet, że stracił swoją dawną charyzmę. Maria Magdalena bierze Go za prostego ogrodnika, uczniowie idący do Emaus są przekonani, że zostali skazani na towarzystwo najmniej rożgarniętego spośród mieszkańców Jerozolimy, a apostołowie, którzy wypłynęli na jezioro, myślą zapewne, że z brzegu woła do nich jakiś emerytowany rybak... Skruszył więzy śmierci, jako zwycięzca wyszedł z otchłani, a jednak, z jakąś zdumiewającą skromnością, dąży do tego, żeby nie wyróżniać się z tłumu. „Stanął pośród nich” (Łk 24,36; por. J 20,19 i 26). Ewangelie podkreślają to pełne delikatności zachowanie Jezusa. Pośród nich, a więc bez pompy, ze zwykłą zażyłością, która jest bardziej niezwykła niż najbardziej wstrząsające, fantastyczne objawienie, bo jeśli już mowa o zmartwychwstaniu, to oczekujemy właśnie wstrząsającego i fantastycznego objawienia.

Tak dalece jesteśmy przekonani o słuszności tych oczekiwań, że zdarza się nam wyczytywać z ewangelii więcej, niż zostało w nich napisane. Oto Jezus

przechodzi przez ściany, wypowiada tajemnicze, ezoteryczne słowa, pojawia się znikąd, w świetlistej aureoli... Ależ nic podobnego! On po prostu stawał między uczniami. Mówił: „Pokój wam!”, co jest równie zwyczajnym powitaniem, jak gdyby powiedział „dzień dobry”. Dzielił się chlebem, jadł pieczoną rybę, posilał się razem z nimi i wyjaśniał im Pisma, tak jak opowiada się przy stole jakąś ciekawą historię, która się nam ostatnio przydarzyła. Zamiast urządzić im demonstrację siły – mógłby, na przykład, potęgą umysłu zgiąć jakąś żelazną sztabę – pokazuje swoje rany. Zwyczajny cud polegałby na tym, że rany zniknęłyby bez śladu. Tutaj – zostają, na wieczność.

## U ŹRÓDŁA RZECZYWISTOŚCI

Okazuje się, że istnieje działanie jeszcze doskonalsze, niż dokonywanie czynów niezwykłych – można nasycić światłem zwyczajne życie. Jezus nie mógłby postępować inaczej, skoro jest Słowem stwarzającym i zbawczym – tym, które zarazem stwarza i zbawia, zbawia to, co zostało przezeń stworzone, bo inaczej nic nie dostąpiłoby zbawienia (to Słowo niczego nie odwołuje, nie unieważnia, przeciwnie, ujmuje się za „owocem ziemi i pracy rąk ludzkich”).

To On wymyślił zwyczajne życie jako rzecz całkowicie nową i jedyną w swoim rodzaju. Czy mógłby teraz odwrócić się od niego z pogardą? Nie mógłby, więc je odkupuje, przywraca mu godność, pokazuje, jak bardzo jest niezwykle. Owszem, raz czy drugi zaszalał i zrobił parę rzeczy naprawdę spektakularnych – chorzy odzyskiwali zdrowie, gdy tylko dotknęli Jego szaty, czyjeś drugie śniadanie zamieniło się w solidny posiłek dla tysięcy głodnych ludzi. Ale przyznajmy, że tych kilka wydarzeń, które miały miejsce w ciągu trzech z trzydziestu trzech lat Jego ziemskiego życia, to raczej słaby wynik, zwłaszcza jak na kogoś wszechmocnego.

I nie bez powodu tak właśnie rzeczy się mają. Gdyby Jezus sprawił, że na gołej ziemi pojawiłoby się w jednej chwili wielkie miasto, z wrażenia moglibyśmy zapomnieć, że to On stwarza i utrzymuje w bycie cały wszechświat. Gdyby pstryknął palcami i domy zbudowały się same, może nie dostrzeglibyśmy, że zrobił już coś o wiele bardziej godnego uwagi – stworzył ludzi, którzy mają ręce, nogi, głowy na karku i doskonałą sztukę budowania, bo obdarzył ich stosownymi zdolnościami. Mojżesz wyciąga rękę i – rzecz niesamowita – wody Morza Czerwonego rozstępują się, ukazując suchą ziemię. Jezus, przedwieczne Słowo, jest twórcą Morza Czerwonego, aż po najmniejszą z jego rozmigota-



nych fal. Nie byłoby więc niczym specjalnie dziwnym, gdyby gestem rozdzielił je na dwoje. Kiedy rozkazuje wichrowi i ucisza burzę na Jeziorze Galilejskim, robi coś najnaturalniejszego pod słońcem. Naprawdę zaskakuje dopiero wówczas, kiedy prosi Samarytankę, aby ta dała Mu wody.

Jeśli czyni cuda, to w taki sposób, by uniknąć spektakularnego efektu. Zbawiciel nie przesłania sobą Stwórcy, bo przecież to jest jeden i ten sam Bóg. Dlatego rzeczy niezwykle, których dokonuje, nie mają odrywać od zwyczajnego życia, ale sprawiać, że na nim właśnie się skupimy. Bo zwyczajne życie w Nim samym wzięło początek i jest szczególnym miejscem działania Jego opatrności. Przywraca więc wzrok niewidomemu – po to, żeby ów człowiek z zachwytem odkrył, że może zwyczajnie, jak każdy, widzieć. Uzdrawia teściową Piotra, żeby Piotr mógł się zachwycać tym, że ma teściową (mamy tu zatem do czynienia z cudem piętrowym). Wskrzesza Łazarza, żeby ten za jakiś czas mógł znaleźć się znowu na łożu śmierci, tym razem już bez odwołania.

Ujmijmy rzecz w następujący sposób – regulamin określający godziny odwiedzin jest konieczny, żeby mogło w ogóle dojść do jakiegokolwiek spotkania, ze wszystkim, co w nim nieoczekiwane i zaskakujące. Czasami jednak można zrobić wyjątek, odejść od planu, właśnie dlatego, że uznaje się go

za sensowny i przydatny. Dyrektor szkoły, który zatwierdził rozkład zajęć, może go na chwilę odwołać i urządzić małą, niezaplanowaną imprezkę, podczas której przypomni wszystkim, że dzwonek rozbrzmiewa nie po to, żeby wytresować uczniów niby psy Pawłowa, ale po to, by stworzyć warunki umożliwiający bardzo nietypowe spotkanie – oto banda młokosów z fryzurami na Alfa i kolczykami w nosie spędzi czterdzieści pięć minut w towarzystwie ekscentrycznego, brodatego Profesorka Nerwosolka. W innych okolicznościach do takiego zdarzenia z całą pewnością by nie doszło. Na tej samej zasadzie cuda przerywają zwyczajny bieg rzeczy po to właśnie, żebyśmy przetarli oczy zasnutą mgłą rutyny i dostrzegli wyjątkowość naszego zwyczajnego życia. Cuda pochodzą ze źródła rzeczywistości, i to w sposób bardziej bezpośredni niż sama rzeczywistość. Cud to taka sytuacja, gdy rzeczywistość podnosi kieckę i pozwala zerknąć na swoją niezemską genezę. Człowiek gapi się, bo ma oczy, nie ma w tym nic niezwykłego. Ale kiedy staje się cud i niewidomy od urodzenia zaczyna widzieć – zwyczajnie, jak każdy – dostrzegamy, czym tak naprawdę jest wzrok. To dar Niewidzialnego. I podobnie, zdrowa teściowa jest prezentem od Przedwiecznego, śmierć natomiast – okazją, byśmy dali z siebie wszystko...

## CHWAŁA I CODZIENNOŚĆ

Dotykamy tu jednej z najbardziej frapujących zagadek istnienia. Nazwijmy ją pojednaniem chwały i codzienności. Tylko miernota może zadowolić się codziennością, nie aspirując do czegoś więcej, to rzecz oczywista. Z drugiej strony jednak, postawa człowieka, który pławi się w glorii i chwale, otoczony blaskiem fleszy, ale nie umie ucieszyć się codziennym wschodem słońca, jest nie mniej żałosna. Iluż artystów poczuło nagły przypływ weny, by tylko uniknąć odkurzenia mieszkania? Iluż myślicieli stworzyło wspaniałe systemy filozoficzne ku chwale człowieka, bo oblatywał ich cykor na samą myśl, że mogliby związać się na dobre i na złe z jakąś babą? Wielcy zdobywcy podbijali mocarstwa, bo nie radzili sobie z uprawianiem własnego ogródka. Pisarze płodzili arcydzieła, bo przerażała ich wizja wychowywania dzieci. Nadludzie, ci z przyszłości, to najgorsze ze wszystkich niedołęgi. Ich bioniczne superprotezy są absolutnie nieczułe, więc nigdy nie przeżyją rewolucji, jaką może wywołać jedna, ulotna pieszczota. Nigdy nie doświadczą szczęścia człowieka, który dotyka gładkiej powierzchni mebla wykonanego własnymi rękami. Jeśli szczytem ich marzeń jest stałe połączenie z nośnikami pamięci o rozmiarze tysiąca petabajtów, to dlatego, że nie

było im dane „przypatrzeć się ptakom w powietrzu” ani „liliom na polu” (Mt 6,26.28). Jeśli spodziewają się osiągnąć nieśmiertelność dzięki aktualizowanym co sekundę badaniom diagnostycznym, to dlatego, że nie ma niczego, za co gotowi byłiby oddać życie (w rezultacie nieśmiertelni będą żyć krócej niż wielu śmiertelnych – zaskakująco szybko poczują chęć, by osobiście doświadczyć dobrodziejstwa, jakim są najnowsze osiągnięcia w dziedzinie eutanazji). Obsesja supermocy obnaża ich niemoc. Nie są w stanie dostrzec niezwykłości w tym, co zwyczajnie widzialne, ucieszyć się bliskością tego, co bliskie, być pod wrażeniem każdego wrażenia zmysłowego...

Zmartwychwstały niczym nie przypomina takich nadludzi. Jego chwała łączy się do codzienności. Właśnie osiągnął absolutny szczyt doskonałości. I co? I nic. Nie znalazł lepszego zajęcia, niż pogaduszki i kolacyjka z przyjaciółmi. Zachowuje się jak zwykły człowiek, co samo w sobie stanowi niezbity dowód na to, że jest Bogiem (żaden zwykły człowiek nie dąży do tego, by postrzegano go jak zwykłego człowieka, ba, przejawiamy niezbyt chwalebłą skłonność do przesady i zrobilibyśmy wszystko, byle tylko sprawiać wrażenie, że jesteśmy jako bogowie). Zmartwychwstały nie organizuje pokazu żonglerki ciałami niebieskimi, bo ich obroty są od stworzenia

świata posłuszne Jego woli. Nie emanuje splendorem zdolnym przyćmić gwiazdy na gali oscarowej, chciałby raczej sprawić, żeby to nasze gęby rozpromieniły się radością. I już dziś sprawia, że wilk mieszka wraz z barankiem, bo przecież posłał swoich uczniów „jak owce między wilki” (Łk 10,3)... A mnie udziela łaski, żebym mógł dochowywać wierności żonie i co wieczór iść z nią do łóżka.

### KTO RANO WSTAJE...

Teza, która przyświeca tej niewielkiej książeczce, jest następująca: objawienia Zmartwychwstałego mają zdecydowanie przyziemny charakter. Jeśli ukazuje się uczniom, to nie po to, żeby wszyscy zapomnieli o Bożym świecie, zapatrzeni w niesamowitą wizję. Wręcz przeciwnie – przypomina nam o miłości bliźniego. Uczy nas spojrzenia z góry, spojrzenia na te same rzeczy, które widzą wszyscy śmiertelnicy, ale z perspektywy Ducha. Ewangelista Jan ujmuje to zwięźle: „Duch bowiem jeszcze nie był, ponieważ Jezus nie został jeszcze uwielbiony” (J 7,39). Jezus wyjaśnia dokładniej w mowie pożegnalnej przed męką: „Pożyteczne jest dla was moje odejście. Bo jeżeli nie odejdę, Pocieszyciel nie

przyjdzie do was. A jeżeli odejdę, pošę Go do was” (J 16,7).

Dopełnieniem Paschy jest Pięćdziesiątnica. Owszem, wyjście z Egiptu to wspaniała historia, ale byłaby tragicznie smutna, gdyby Izraelici wyrwali się z niewoli tylko po to, żeby każdy z nich mógł zostać małym faraonem. Owszem, podziwiamy Zwycięzcę śmierci, ale Jego tryumf okazałby się straszną porażką, gdyby wierzący w Niego wyzbyli się lęku przed śmiercią tylko po to, żeby nadać się pychą, w pogardzie mieć dzieło Stwórcy i wyrzucić z pamięci obraz pokornego Odkupiciela. Uwielbienie Jezusa musi prowadzić do tego, by Zmartwychwstały zniknął sprzed oczu uczniów i pošął im Pocieszyciela, Ducha, który tchnie życie w codzienność i sprawia, że zaciera się granica między tym, co zwyczajne, i tym, co niezwykle.

Czasowniki, które w naszych przekładach Biblii przetłumaczono na podniosłe i uroczyste „zmartwychwstać”, po grecku oznaczają bardzo prozaiczne czynności: obudzić się, wstać. Podnieść się na nogi. Tak anioł Gabriel zwraca się do Józefa: „Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę” (Mt 2,13). Jezus poleca paralitykowi: „Wstań, weź swoje łóże i idź” (Mk 2,11). Cóż bardziej banalnego, niż stać na własnych nogach? Potrzeba eksparalityka, byśmy uzmysłowili sobie, że jest to nie lada przy-

wilej. A kiedy człowiek ten własnymi rękami podnosi łoże, na którym go dotąd noszono, przywilej okazuje się podwójny. Obłożnie chory staje się noszowym. (Noszowi często zapominają o tym, jak bardzo są uprzywilejowani. Myślą, że przede wszystkim pomagają innym, podczas gdy to ich przecież Bóg utrzymuje w pionie...). Niedawny paralityk niesie łoże, do którego był przykuty, niczym transparent obwieszczający, że doświadcza właśnie swoistej, niebagatelnej przyjemności. I jest w tym lepszy od najpotężniejszego androida, cudu nowoczesnej technologii, który planuje zastąpić przestarzałe, nieefektywne nogi napędem atomowym.

Podobnie – być ojcem to rzecz najzwyczajniejsza na świecie. Daleko nie szukając, ojcem został nawet nasz własny staruszek. Mamy więc skłonność, by sądzić, że lepiej jest zostać specjalistą w jakiejś elitarnej, innowacyjnej dziedzinie. A przecież ani Maria, ani Józef nie pracowali w takim sektorze. Mijają lata i wieki, a Święta Rodzina wciąż pokazuje, że to nie postęp techniczny czy rozwój artystyczny, ale właśnie macierzyństwo i ojcostwo są najbardziej niezwykłym i wiecznie nowym wyzwaniem ludzkości. Aniołowie zstępują z nieba z powodu takiego właśnie banału, a na wieść o wynalezieniu hiperzaawansowanej sztucznej inteligencji ruszyć się im nie chce (chyba że trzeba coś namieszać w programie).

Technika idzie do przodu, tworząc coraz doskonalsze maszyny głównie po to, żebyśmy mogli spokojnie umościć się pod kocykiem i zrelaksować, oglądając ulubiony serial. Natomiast Chrystus zmartwychwstał przede wszystkim po to, żebyśmy mogli wstać rano, tak po prostu, i dziękować za to Bogu. Nawet jeśli w kuchni nie czeka na nas najnowszej generacji ekspres do kawy Nespresso.

## INSTRUKCJA OBSŁUGI „INSTRUKCJI OBSŁUGI”

Istnieje publikacja o smutnej sławie, zatytułowana *Samobójstwo, instrukcja obsługi*<sup>2</sup>. Czytelnik znajdzie tam wyczerpującą listę instrukcji, jak strzelić sobie w łeb albo zatrzymać akcję serca. Niestety, w kwestii zmartwychwstania trudno o skuteczną samobsługę. Odebrać sobie życie – to jest do zrobienia.

---

<sup>2</sup> Claude Guillon, Yves le Bonniec, *Suicide, mode d'emploi*, éditions Alain Moreau, Paris 1982.

Książka nie tylko zawiera rys historyczny, ale także opisuje różne techniki i sposoby popełnienia samobójstwa. Przeciwnicy uznali publikację za szkodliwą i niemoralną, a wręcz – podlegającą do odebrania sobie życia. Rozegrała się trwająca kilka lat batalia, po której we Francji wydano zakaz sprzedaży – przyp. red.



O wiele trudniej byłoby sobie życie dać. Można skoczyć z szóstego piętra, ale jak się dźwignąć, kiedy się leży sześć stóp pod ziemią? Człowiek jest w stanie wyeliminować się spośród żyjących, ale wstać z martwych nie potrafi.

Zupełnie tak samo jest z początkiem życia. Tu też nie ma samoobsługi. Tak samo, jak niepodobna o własnych siłach zmartwychwstać, nie można bez pomocy przyjść na świat. A jednak – ciężki to cios dla naszej pychy – urodziliśmy się. Ktoś zauważy z pewnością, że owszem, człowiek jako jednostka nie może sam siebie sprowadzić na świat, ale człowiek jako gatunek jest do tego zdolny. Czyż nie płodzimy dzieci? Natomiast zmartwychwstanie jest niemożliwe tak samo dla jednostki, jak i dla gatunku. Zbudowana przeze mnie analogia z pewnością ma ograniczenia, ale może prowadzić do wniosku, że urodzenie się jest dla człowieka trudniejsze do osiągnięcia niż zmartwychwstanie. Może właśnie dlatego najnowsza technologia stawia sobie za cel, żeby jednostkę ludzką wyprodukować, eliminując konieczność narodzin. Cóż, to zrozumiałe.

Akceptacja faktu, że zostało się urodzonym, jest rzeczą trudniejszą i *de facto* bardziej podstawową, niż akceptacja perspektywy zmartwychwstania. Po części dlatego, że świadomość, iż urodziliśmy się ze związku pewnej pani z pewnym panem, jest

mniej ekscytująca niż wizja odrodzenia w Bogu. Ale też dlatego, że jeśli raduje nas perspektywa życia wiecznego, musi to oznaczać, iż już tutaj, na tym łez padole, gdzieś pomiędzy strefą przemysłową a galerią handlową, nastawiliśmy się na to, żeby cieszyć się życiem. Po co chcieć żyć wiecznie, jeśli już teraz życie nam obrzydło? Jeśli narodzin nie uważamy za rzecz zwyczajnie cudowną, po co nam cud zmartwychwstania? Z drugiej strony, wiara w zmartwychwstanie sprawia, że dostrzegamy cud, jakim są zwyczajne narodziny. Jeśli mamy zaakceptować fakt, że przyszliśmy na świat tu i teraz, z ciałem, któremu wiele brakuje do ideału, po to, żeby wieść życie pełne trudu oraz cierpienia w zdegradowanym środowisku i wreszcie zdechnąć, prawdopodobnie w przykrych okolicznościach, to musimy wierzyć, że za tym wszystkim kryje się jakiś głębszy sens. Perspektywa zmartwychwstania sprawia, że żadnych narodzin nie możemy uznać za bezsensowne czy daremne (w religiach, które nie uznają zmartwychwstania, narodziny są z reguły postrzegane jako dopust albo degradacja; wyznawcy tych religii nie popełniają samobójstwa, bo jedyne, co mogłoby ich zadowolić, to gdyby się w ogóle nie urodzili). Tak czy inaczej, zarówno wiara w zmartwychwstanie, jak i akceptacja własnych narodzin wpisują się w tę samą postawę – afirmację życia.

Życia, które nas przewyższa, zawsze jest o krok przed nami i nieustannie nas zaskakuje.

Niniejsza instrukcja obsługi nie zagwarantuje więc, że „to zadziała” (tak jak tego oczekujemy od broszury dołączonej do komputera albo do pistoletu). Jej intencją jest, żebyśmy nie rozstawiali się z życiem. Niech doświadczenie życia okaże się ważniejsze niż korzyść majątkowa, prawda istnienia ważniejsza niż możliwość zainkasowania.

# I

## PIENIĄDZE ALBO ŻYCIE

*Gdy one były w drodze, niektórzy ze straży przyszli do miasta i powiadomili arcykapłanów o wszystkim, co zaszło. Ci zebrali się ze starszymi, a po naradzie dali żołnierzom sporo pieniędzy i rzekli: „Rozpowiadajcie tak: Jego uczniowie przyszli w nocy i wykradli Go, gdyśmy spali. A gdyby to doszło do uszu namiestnika, my z nim pomówimy i wybawimy was z kłopotu”. Ci więc wzięli pieniądze i uczynili, jak ich pouczono. I tak rozniosła się ta pogłoska między Żydami i trwa aż do dnia dzisiejszego.*

Ewangelia według św. Mateusza 28,11–15





Aż dziwne, że tyle się mówi o trzydziestu srebrnikach Judasza, mało kto zaś wspomina o pieniądzach – a było ich sporo – które zgarnęli żołnierze ze straży. A przecież trudno powiedzieć, co było bardziej podłe – wziąć kasę za wydanie Chrystusa na śmierć czy za to, że prędziutko zamiecie się pod dywan nowinę o Jego chwalebnym zmartwychwstaniu. Ja stawiałbym na ten drugi przypadek. Oto, jak niewiarygodna jest moc pieniędzy. Pociągają człowieka tak bardzo, że aby dostać okrągłą sumkę, sprzeda nie tylko śmiertelnika, ale nawet kogoś, kto powstał z martwych. Nie jest to jedyny fragment u św. Mateusza, w którym mowa o pieniądzach. W jednym z wcześniejszych rozdziałów możemy przeczytać, jak Jezus wysłał swoich apostołów, żeby głosili królestwo niebieskie: „Nie zdobywajcie złota ani srebra, ani miedzi do swych trzosów” (Mt 10,9). A jeszcze wcześniej, na górze, mówił uczniom: „Nie możecie służyć Bogu i Mamonie” (Mt 6,4).

Sami byśmy na to nie wpadli. Pieniądze to wszak narzędzie, z którego należy „robić dobry użytek”.

Wiemy, do czego służą, ale żebyśmy to my mieli im służyć? W żadnym razie. Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że pieniądze szczęścia nie dają, lubimy jednak dodać w duchu, że pomagają je osiągnąć... Dlaczego więc Chrystus personifikuje to narzędzie, nadając mu złowrogą osobowość? Dlaczego przypisuje mu podłe intencje, nazywając je „niegodziwą mamoną” (Łk 16,11)? Jak to możliwe, żeby pieniądź, który jest wszak tylko narzędziem handlu, nagle zaczął robić za szefa? Trzeba przyznać, że taki na przykład młotek lepiej leży w dłoni niż papierowy banknot, który ma niemiłą tendencję do uciekania między palcami. Ale tak czy siak, to tylko narzędzie. Co prawda papierowe, ale skuteczniejsze od młotka, gdy chcemy dać jałmużnę, zakupić fikuśną bieliznę, a nawet zamknąć komuś usta. Wydaje się, że Chrystus postąpiłby rozważniej, gdyby przed rozślaniem zatrudnił apostołów jako regularnych pracowników, oferując wynagrodzenie. Albo niechby im dał choć kieszonkowe na drobne wydatki. Byliby bardziej niezależni (jak nasi politycy).

Nie mówcie mi, że Ten, kto bez problemu rozmnożył chleb, nie mógłby rozmnożyć i pieniędzy. Co takiego powstrzymało Go przed zamienieniem błočka w złoto? Wszak to szczyt marzeń pokoleń alchemików. Skąd u człowieka, który nie bał się dotykać trędowatych, irracjonalny lęk przed pie-

niędzmi, jak gdyby można było zarazić się od nich czymś paskudnym? Ludzie Kościoła zrobili znaczne postępy w radzeniu sobie z tą fobią. Bo czyż nie trzeba dysponować odpowiednimi środkami, żeby głosić, że Bóg jest wielki? Wróćmy jednak do rozdziału dwudziestego ósmego z Ewangelii Mateusza. Przyjęcie „sporych pieniędzy” prowadzi tu prościutko do odrzucenia zmartwychwstania.

### FALSZYFIKAT TRZECH CNÓT BOSKICH

Encyklopedie podają, że pieniądź spełnia trzy funkcje. Jest „miernikiem wartości”, „środkiem przechowywania wartości” i „środkiem wymiany”.

Jako „miernik wartości” pozwala porównać wartość zupełnie różnych towarów i usług, i uniknąć ambarasu, w jaki popadlibyśmy niechybnie, stanąwszy wobec dylematu „ile godzin *babysittingu* za tę parę butów?”. Pytanie trudne zwłaszcza dla tych, którzy nie mają dzieci. Pieniądże znakomicie sprawę ułatwiają. Są „powszechnym ekwiwalentem”, dzięki któremu można przyporządkować najróżniejszym rzeczom i czynnościom określoną liczbę jednostek (dawniej muszle, dziś dolary), i wszystko sprowadzić do wspólnego mianownika.



Możemy na przykład bez problemu ustalić, że metr kwadratowy w Paryżu to równowartość dziewięciu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu pięciu kiełbas tuluskich. Albo stwierdzić, że lekarz rodzinny to w sumie trzech kasjerów.

To nie wszystko. Pieniądz jest także „środkiem przechowywania wartości”. Zamiast bawić się w handel wymienny, możemy spokojnie poczekać, trzymając pieniądze w skarpecie albo w banku. Pieniądz nie jest sam w sobie bogactwem, ale środkiem umożliwiającym nabycie dóbr wszelakich. Pieniądz ma taką dziwną właściwość, że nigdy nie jest tym, czym w gruncie rzeczy jest. Patrzymy na metalowe krążki czy niewielkie, prostokątne kawałki papieru, i gęba nam się śmieje, nie dlatego, że tak bardzo nam się podobają, ale ponieważ oczyma wyobraźni widzimy to, co pozwolą nam kupić. Moc nabywczą pieniądza sprawia, że dostajemy coś od razu – możliwość rozkoszowania się świadomością, że będziemy sobie mogli zafundować supermodny ciuch, rodzinne wakacje nad ciepłym morzem, wizytę w SPA, najnowszy model smartfona (nie, chwileczkę, z tym ostatnim lepiej zaczekać – podobno niebawem pojawi się na rynku jakiś jeszcze bardziej bajerancki gadżet). Skąpstwo nie jest niczym innym, jak fiksacją na tym przyjemnym uczuciu. Skąpiec ściska w garści sakiewkę i rajcuje

go wyobrażanie sobie, jak wiele mógłby kupić za tę całą kasę. Nic dziwnego, że nie wydaje ani grosza – chce mieć coraz więcej pieniędzy, jako pożywkę dla swoich podniet.

Przed wszystkim jednak pieniądź to „środek wymiany”. Jest poręczny i podzielny, a to naprawdę wiele ułatwia. Wyobraźmy sobie, że pieniądze nie istnieją, my zaś posiadamy dom, z wynajmu którego chcielibyśmy żyć przez rok. Musielibyśmy dogadać się z piekarzem, rzeźnikiem, dostawcą warzyw i owoców, kierownikiem sklepu z konfekcją i właścicielem butików ze sprzętem elektronicznym, żeby używali naszego domu, mieszkając w nim po kolei albo wszyscy naraz, co stworzyłoby okazję do interesujących spotkań, na które żaden z potencjalnych najemców nie miałby najmniejszej ochoty. O wiele łatwiej jest wynająć dom za pieniądze i tymi pieniędzmi płacić za towary i usługi, które przez najbliższy rok będą nam potrzebne.

Powyższy przykład pozwala uzmysłowić sobie, że ów „środek wymiany” to znacznie więcej niż tylko neutralne narzędzie. Wartość, jaką jest użytkowanie naszego domu, sprowadza do wartości przeliczalnej i wymiennej, a więc dom staje się zwykłym towarem. Zastanawiamy się, jak drogo uda się nam sprzedać coś, co być może było dla nas bezcenne, i ile rzeczy – oby jak najtańszych – zdołamy za to

kupić. Bo o ile brak pieniędzy sprawia, że możemy liczyć tylko na siebie i na to, co uda się nam zrobić o własnych siłach, to ich obfitość też nas ogranicza, bo prowadzi do tego, że niczego właściwie nie robimy już sami, niczego nie użytkujemy w pełnym tego słowa znaczeniu – zamiast tego kupujemy rzeczy już wyprodukowane i wciąż wymieniamy je na inne.

Na koniec najciekawsze spostrzeżenie. Trzy funkcje pieniądza, które właśnie wyliczyliśmy, dziwnym przypadkiem odpowiadają trzem cnotom boskim – wierze, nadziei i miłości (i właśnie z powodu tego podobieństwa pieniądze – czy to drachmy, czy talenty – pojawiają się w przypowieściach jako metafora łaski). Wiara pozwala nam dostrzec, że każda istota jest arcydziełem Stwórcy, ukochanym przez Niego, pieniądz zaś, będąc „miernikiem wartości”, umożliwia traktowanie wszystkiego wokół jak towarów mających określoną cenę. Nadzieja sprawia, że chcemy dać się zaskoczyć, spodziewając się wszystkiego najlepszego, a pieniądz, jako „środek przechowywania wartości”, gwarantuje, że będziemy mogli skorzystać z oferty centrum handlowego. Miłość tworzy komunie osób, natomiast pieniądze, a więc „środek wymiany”, rządzą przepływem towarów.

## CIUŁACZ CZY ŚWIADEK?

Nietrudno zrozumieć, dlaczego żołnierze ochoczo zaakceptowali pieniądze w zamian za zatajenie „aż do dnia dzisiejszego” prawdy o tym, co wydarzyło się przy grobie niejakiego Jezusa. Przeżyli „wielkie trzęsienie ziemi”, usłyszeli łoskot przesuwającego się głazu, zobaczyli coś, co „jaśniało jak błyskawica” (Mt 28,2–3). „Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby umarli” (Mt 28,4). Niezbyt miłe przeżycie, zwłaszcza nad ranem, po wielu godzinach nudnego i żmudnego czuwania, kiedy człowiek wyczekuje nie zmartwychwstania, lecz zmiany warty, po której narzeczcie będzie można rzucić się na wyrko i zamknąć oczy. Żołnierze nie chcą kłopotów. Gdyby upierali się, że widzieli coś, co przerasta możliwości ich poj-  
mowania, niepotrzebnie zwróciliby na siebie uwagę i łatwo mogliby stracić pozycję społeczną. Bez oporu zgadzają się więc, że nie wszystko, co się świeci, to blask chwały Zmartwychwstałego, i opowiadają bajeczkę o włamaniu do grobu, które widzieli dokładnie... podczas snu. Pogłoska szybko roznosi się między Żydami.

Wyraz przetłumaczony jako pogłoska to w greckim tekście *logos*, a nawet *o logos*, czyli słowo. Słowo opłacone przeciw Słowu Wcielonemu. Tutaj problemem nie jest to, że ktoś nie uwierzył w zmartwychwsta-

nie, ale że sprawił, by inni uwierzyli w bajkę o wykradaniu trupów. Każdy człowiek w coś wierzy, to leży w naszej naturze. Ale, jak pisałem we wstępie, wierzyć można w najróżniejsze rzeczy. Pytanie, czy wierzymy w *logos* bez pieniędzy:

O, wszyscy spragnieni, przyjdźcie do wody, przyjdźcie, choć nie macie pieniędzy! Kupujcie i spożywajcie, <dalejże, kupujcie> bez pieniędzy i bez płacenia za wino i mleko! (...)

Albowiem tak mówi Pan: „Za darmo zostaliście sprzedani i bez pieniędzy zostaniecie wykupieni” (Iz 55,1; 52,3),

czy też wierzymy przede wszystkim we własną nieomyślność oraz *logos*, który bez pieniędzy by nie istniał:

Wyrzucają złoto z sakiewki  
i ważą srebro na wadze.  
Opłacają złotnika, żeby ulął bożka,  
którego potem czczą, padając nawet na twarz  
(Iz 46,6).

*Logos* oparty na pieniądzu okazuje się bardzo praktyczny. Nie tylko jest wymierny, ale wręcz staje się miarą wszechrzeczy. Nie wymaga od nas zaufania, wręcz przeciwnie, pozwala nam zarządzać.

Nie musimy budować naszej egzystencji na wierze w życie potężniejsze niż śmierć, wystarczy że dopuszczamy możliwość kradzieży, potrafimy racjonalnie wyjaśnić pewne zdarzenia działalnością hien cmentarnych i cóż, godzimy się z faktem, że są tacy, którzy przemycają zwłoki, podczas gdy my spokojnie śpimy.

Do tak przyziemnego poziomu sprowadza nas nie sam pieniądź, ale „chciwość pieniędzy” (1 Tm 6,10). Robi z nas ciułaczy, chroniąc jednocześnie przed ryzykiem, jakie wiąże się z byciem świadkiem. Ciułacza interesuje strategia rynkowa, indeksy giełdowe, rachunek zysków i strat. Obraca się w świecie liczb i nie ma czasu, żeby zaprzątać sobie głowę żywymi ludźmi, którzy za nimi stoją. Wystarczy jedno kliknięcie i interes zrobiony. Mniejsza z tym, co naprawdę dzieje się z trupami, które zostawiają za sobą zwycięzcy wyścigu po bogactwo – czyli z ludźmi pozbawionymi pracy i środków do życia, rodzinami cierpiącymi głód, z kulturami, którym grozi dewastacja. Nieważne, czy są martwi, czy żywi, liczy się tylko to, ile jest się w stanie na nich zarobić.

Nie można zarzucić ciułaczom, że nie dostrzegają wartości. Wręcz przeciwnie, wartość to coś, na czym skupiają się tak bardzo, że nie dostrzegają żywych ludzi. Wartość, zwłaszcza tę giełdową,

można nadzorować. Można przewidywać zmiany kursu, zawierać transakcje, osiągać zysk. Niepodobna natomiast przedstawić w formie prostego, czytelnego grafiku losów każdego nieboraka, każdego kawałeczka ziemi czy domowego ogniska.

Podczas gdy świadek po prostu obserwuje i zbiera dane, ciułacz buduje fortunę. Robi wszystko, żeby wzrosła jego siła nabywczą. O zbawieniu – darmowym – na razie myśleć nie zamierza. Upaja go swoboda, z jaką może wybierać i przebierać pośród wszelkich „rewolucyjnych nowości” pojawiających się na rynku. Jest tak zapatrzony w te cuda, że nawet do głowy mu nie przyjdzie, jak wiele przez nie traci. Nie zauważył nadejścia wiosny. Nigdy nie dał sobie czasu, żeby podziwiać wschód słońca albo przystanąć i przyjrzeć się kępie polnych kwiatów rosnących przy drodze. Ba, nie widzi nawet człowieka, który żyje obok niego. A już na pewno nie dostrzega, że jego ręce są tak naprawdę puste, a więc zamiast kalkulować, mógłby je ofiarować. Pełna kabza okrada go z ubóstwa. Tymczasem dopiero kiedy nie kładzie się nacisku na mieć, można uwolnić kapitał bycia i pozwolić, by obdarowano nas czymś, co jest bezcenne. Ciułacz nie zauważa, że magiczna moc, jaką dają mu pieniądze, ogranicza się tylko do sfery handlu, a więc czyni go jego niewolnikiem. „Czyj jest ten obraz i napis?” „Cezara” (Mt 22,20–21).

## NABYWCA CZY SPADKOBIERCA?

Taki na przykład król Achab ma forsę jak lodu. Pewnego razu postanawia, dla kaprysu, zakupić winnicę niejakiego Nabota. Znajduje się ona w pobliżu pałacu i król wymyślił sobie, że urządzi w tym miejscu ogródek warzywny, gdzie będzie mógł, gwoli rozrywki, podłubać w ziemi. Proponuje Nabotowi w zamian większą, lepszą działkę pod uprawę winorośli albo godziwą sumę pieniędzy. Ten jednak – rzecz zaskakująca – odmawia, i to w sposób zdecydowany: „Niech mnie broni Pan przed tym, bym miał ci oddać dziedzictwo mych przodków” (1 Krl 21,3).

Winnica Nabota jest maleńka, ale należy do niego. Nie na zasadzie rzeczy nabytej, którą rozsądnie jest sprzedać, kiedy pojawi się atrakcyjna oferta. W tej winnicy zapisana jest jego historia. Winogrona, które tu dojrzewają, pełne są nie tylko słodkiego soku, ale też wspomnień. Tutaj mały Nabot ugaśniał się pomiędzy rzędami winnych krzewów, tutaj, u boku ojca, uczył się pracy rolnika. Tutaj w ziemię wsiąkał jego pot, tu spędził tyle dni i lat, że czasem ma wrażenie, iż to jego krew ożywia rośliny każdej wiosny, sprawia, że wyrastają nowe pędy, zabarwia na ciemno ciężkie, dojrzewające grona. Tę winnicę z dumą pokazał swojej młodej żonie, tutaj jego dzieci stawiały pierwsze kroki, a potem pracowały u jego



boku. Choć żona Nabota być może już nie żyje, a dzieci dorosły i pewnie część z nich wyprowadziła się z domu, w winnicy czas jakby się zatrzymał. Wystarczy, że Nabot zamknie oczy, a mógłby przysiąc, że otacza go cała rodzina, jest winobranie i wszyscy uwijają się, zbierając do koszy dojrzałe grona.

Winnica to dla Nabota nie tyle nieruchomość, co żywa obecność. Ten kawałek ziemi jest trochę jak jego matka i dziecko w jednym. Jeśli więc nie chce jej sprzedać, nawet z zyskiem, to nie dlatego, że jest upartym sobkiem albo strachliwym dudkiem, ale dlatego, że potrafi być wdzięczny i opiekuńczy. Czym byłaby ta sama winnica dla Achaba? Wieczną pamiątką chwilowego kaprysu, obcym pejzażem, nieprzetłumaczalnym na język wspomnień. Nieznana, nieoswojona własnością. Owszem, figurowałaby w katastrze królewskich nieruchomości, ale nie miałyby miejsca w jego sercu. Powiększyłyby jego bogactwo, ale jego samego w żaden sposób by nie ubogaciła. Ta winorośl nie zapuściła korzeni w jego sercu, więc nigdy nie będzie naprawdę, w sposób niezastąpiony, należeć do niego. Kiedy nadarzy się okazja, bez wahania sprzeda winnicę, żeby kupić coś innego, tak samo pozbawionego znaczenia.

Pieniądze nie są w stanie sprawić, że jakaś rzecz będzie naprawdę, w pełni należała do nas. Owszem, niemal wszystko można kupić, ale jeśli wy-

starczy wyłożyć forszę, unikamy płacenia własną osobą, a tylko w ten sposób można jakąś rzecz rzeczywiście nabyć, w całym znaczeniu tego słowa.

Żeby móc powiedzieć, że jakaś rzecz naprawdę do mnie należy, muszę ją trzy razy stracić i trzy razy odzyskać, odziedziczyć po przodkach i zapisać w spadku dzieciom, a w międzyczasie, to znaczy przez całe życie, po prostu o nią dbać, wiernie, dzień po dniu. Takiej rzeczy nie można kupić. Taką rzecz się dostaje, hołubi, chroni się ją i o nią troszczy, a potem przekazuje dalej. Taka rzecz jest jak samo życie... Nie, to właśnie jest samo życie. Bo życie jest naprawdę nasze, kiedy najpierw otrzymamy je, jako dzieci, a potem ofiarujemy, jako rodzice. Jest nasze dlatego, że uwierzyliśmy w jego sens i przyczyniliśmy się do jego rozkwitu.

## ŚWIAT WIRTUALNY I PRAWDZIWE ŻYCIE

Rzeczywistość, w której wszystko przelicza się na pieniądze, na przykład własne słowa, i ta, w której uznaje się prawdę zmartwychwstania, są do siebie zupełnie nieprzystawalne. To dwa możliwe sposoby istnienia, całkowicie od siebie różne, jak świat wirtualny i prawdziwe życie. Terminu „wirtualny”

używam tu w wąskim znaczeniu, które nie obejmuje wszystkich rodzajów wirtualności ani fikcji. Bo istnieje pozytywna wirtualność i fantastyczne opowieści, które wprowadzają nas w świat fikcji tylko po to, żebyśmy potem tym głębiej zanurzyli się w realność. Pogląd, że całkowite zespolenie i pełna harmonia ze światem natury jest dla człowieka stanem podstawowym, to wymysł ludzi, którzy są naprawdę przerażeni tym, dokąd się zapędziliśmy, tworząc sztuczne rzeczywistości i nadużywając zdobyczy techniki. A przecież człowiek to takie zwierzę, którego natura wyraża się przez kulturę. Potrzebujemy mitów, żeby przyswoić sobie logikę prawdziwego życia. Potrzebujemy baśni, żeby stać się realistami. A jeśli chcemy dotrzeć do jądra realności i poznać jej duszę, droga jest tylko jedna – prowadzi do niej historia, która brzmi jak mit, ale jest samą Prawdą, opowieść, którą Słowo wcieliło w życie. To Dobra Nowina o pewnym Naza-rejczyku, który umarł i zmartwychwstał w Judei, pod rządami namiestnika rzymskiego Poncjusza Piłata.

Kiedy mówię o świecie wirtualnym, mam na myśli nie mit, poezję lub dobrą powieść, ale rzeczywistość zdolną przesłonić czy wręcz zdominować prawdziwe życie. Cyfryzacja pozwala dokonywać kalkulacji na skalę wcześniej nieosiągalną. Świat można było

zdigitalizować, bo już wcześniej go zmonetyzowano. Internet pozwala, by pieniądź stał się ostatecznym, powszechnym ekwiwalentem, wirtualna sieć wychwytuje wszystko i każdego. Wszystko zostaje zapisane w bazach danych, dostępnych i dostosowanych do odczytu maszynowego (mit, poezja czy powieść tych standardów nie spełniają, bo nie są zbiorem danych, a świadectwem *donum*, niepojętego daru, którego nie można zredukować do zapisu binarnego).

Ciała tracą właściwą sobie dotykalność, nie stawiają oporu, gdy wykrada się je, by zamienić w wirtualne byty, zbiory bajtów czy pikseli. Oddają się we władanie naszego najnowszego gładzika *magic trackpad*. Świat wirtualny gwarantuje nam bezpośredni dostęp do rzeczy odległych i pozwala robić znakomite interesy. Ale próżno szukać w nim tego, czym obdarza nas życie, a także dobrze opowiedziana historia – bliskości i prawdziwych wydarzeń, a nawet wydarzenia, jakim jest prawdziwa bliskość. Świat wirtualny jest jak *Odyseja* bez perspektywy powrotu do Itaki. Pozwala nam podziwiać fantastycznego bohatera i jego niesamowite przygody, absorbuje nas do tego stopnia, że nawet nie spojrzymy na człowieka, który siedzi w sąsiednim fotelu. Jest zupełnie inaczej, kiedy śledzimy perypetie opisane w Biblii. Doprowadzają nas one

do wniosku, że człowiek siedzący w sąsiednim fotelu jest znacznie ważniejszy niż filmowy bohater – bo wszystkie mówią, choć na różne sposoby, o miłości bliźniego. Aby dostrzec, że nasz bliźni jest w gruncie rzeczy jednym z boskich cudów, trzeba najpierw się wycofać. Spojrzeć z dystansu, tego największego z możliwych – z boskiego dystansu, który wyznacza tajemnica zmartwychwstania. Inaczej obraz drugiego człowieka będzie nieostry, rozmyje się, wsiąknie w szarą przyciętość.

W wirtualnym świecie, gdzie ciała są wykradane, nigdy nie zostaniemy zaskoczeni przez nagły, niewiarygodny przejaw życia. Żeby tego doświadczyć, potrzeba wiary w zmartwychwstanie. Pieniądze dają nam szereg możliwości, a my polujemy na okazje. Zmartwychwstanie ukazuje perspektywę, która chwyta nas za gardło. Fakt, który uznajemy za niemożliwy, ba, wręcz niewiarygodny, okazuje się jednak prawdziwy. Ta prawda przerasta nasze władze umysłowe i zarazem ugruntowuje je, pozwalając otworzyć się na nieoczekiwane. Okazuje się, że rzeczywistość to przede wszystkim to, czego się nie spodziewamy. Przeszłość jest czymś więcej niż sumą minionych lat, a przyszłość zaskoczy nas bardziej, aniżeli szalone wizje autorów *science fiction*.

## PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ NA DWA SPOSOBY

Dwa możliwe sposoby istnienia, o których mówiliśmy powyżej, obejmują także wymiar czasowy. W pierwszym z nich narzucamy przyszłości nasz własny plan – sami będziemy architektami tego, co się wydarzy. Zgodnie z tą logiką przeszłość staje się bilansem. Sprawdzamy wyniki naszych działań, podliczamy zyski i straty, oceniamy własną skuteczność. Chcemy prosperować, robić interesy, osiągać dochody. A kiedy wydarza się niespodziewane, nie potrafimy go przyjąć. Takie wydarzenie oceniamy jako potencjalne ryzyko, wypadek lub rzecz, którą można pominąć.

W drugim możliwym sposobie istnienia, tam, gdzie prawdą jest zmartwychwstanie, czas ma charakter mesjanistyczny i nieoczekiwane rozdziera go na dwoje. Przyszłość nie jest planem do realizacji i nie my w nią wkraczamy, a raczej ona przychodzi do nas, bez naszych zasług. Otwartość na to, co się wydarzy, sprawia, że przeszłość to już nie bilans, lecz pamiątnik. Zatrzymujemy w pamięci najważniejsze rzeczy, najpiękniejsze chwile, i nawet jeśli były wynikiem naszej pracy, dostrzegamy przede wszystkim to, że zostaliśmy obdarowani.

(Jest to rodzaj pokory, która charakteryzuje ludzi genialnych, w odróżnieniu od tych bardzo uzdolnionych. Ci pierwsi często uważają, że arcydzieła, które stworzyli, zawdzięczają sile wyższej. Tak samo ludzie zakochani – choćby nie wiem ile lat żyli ze sobą, wciąż czują, że spotkało ich niezasłużone szczęście). To postawa gotowości na przyjęcie nieoczekiwanego. Kiedy się wydarza, dostrzegamy w tym łaskę, znak, bonus, któregośmy się nie spodziewali dostać. W jednym z psalmów Mojżesz prosi Boga: „Naucz nas liczyć dni nasze, abyśmy osiągnęli mądrość serca” (Ps 90,12). A więc można liczyć swoje dni w sposób błędny, kierując się mądrością, która ignoruje porządek serca. Tak właśnie robimy, kiedy nie dostrzegamy niczego poza planem na przyszłość i bilansem jego realizacji. Także chrześcijanie mogą wpaść w tę pułapkę; zaczynają wtedy myśleć, że życie wieczne będzie wynikiem konsekwentnego stosowania pewnej moralnej strategii. Można też liczyć swoje dni, kierując się mądrością serca, która nie jest zarezerwowana jedynie dla wierzących. Niedowiarek także potrafi dostrzec rzeczy cudowne i niespodziewane, które, niczym kamienie milowe, odmierzają czas. A pierwszą z takich rzeczy, najbardziej zaskakującą, jest jego własne przyjście na świat.

Ta mądrość jest na tyle szalona, by w ziarnie wrzuconym w ziemię dostrzec rozłożystą potęgę drzewa, w poczwarcie – barwne piękno motyla, a w niespodziewanej wizycie teściów z rodziną – zapowiedź imprezy na miarę antycznych Dionizji, wielkiego święta, podczas którego odgrywano trzy tragedie i komedię polityczną. Jeśli wybierzemy rzeczywistość pieniądza, patrząc na te same rzeczy, zobaczymy zupełnie co innego. Ziaro – czy może nam przynieść jakiś zysk? Poczwarka, owszem, to przyszły motyl. Pytanie tylko, ile jest wart? Może to zwykły szkodnik, a może cenny okaz rzadkiego gatunku? Teściowie z rodziną nagle zwalają się nam na głowę? Istny dopust! Czy sta strata czasu, a przecież czas to pieniądz. Chyba że... teściu podżuryje nam kredycik. A może wujek Romek, który, na całe szczęście, nie spłodził bachorów, zechce przepisać na nas swój majątek.

Owszem, planowanie przychodów i rozchodów pozwala przeżyć – tego nie negujemy. Ale naprawdę żyje tylko ten, kto jest w stanie przyjąć nieoczekiwane. Na przykład, człowiek, który żyje, może pewnego pięknego dnia wpaść pod samochód. Ale może też zaprzyjaźnić się z własnym bratem, szczerze polubić bliźniego swego albo zakochać się we własnej żonie (co jest dokładną analogią).



gią zmartwychwstania). Odkryje wtedy, że istnieją dary wspanialsze niż wszystko, co zdołałby zbudować własnymi rękami, że łaska daje mu więcej niż najbardziej intratny biznes, i że są rzeczy tak cenne, iż nie można ich kupić. Tylko, że... nie chcemy wpaść pod samochód. Więc nie pozwalamy sobie na to, żeby się zakochać (w sumie, na jedno by wyszło). Bieremy kasę od arcykapłanów. Zamieniamy Ewangelię Wielkanocną na książeczkę oszczędnościową, wiarę w zmartwychwstanie na kredyt konsumpcyjny. Nawet własnych narodzin nie uważamy za szczęśliwe rozwiązanie, a raczej za problem, z którym usiłujemy jakoś się uporać, fundując sobie rozrywki albo harując, żeby pomnożyć majątek. Zresztą, człowiek sukcesu ma skłonność do negowania faktu, że został urodzony – uważa, że do wszystkiego doszedł sam, własną pracą.

## II

# KOBIETY Z WONNOŚCIAMI

*Po upływie szabat u Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome nakupiły wonności, żeby pójść namaścić Jezusa. Wczesnym rankiem w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy słońce weszło. A mówiły między sobą: „Kto nam odsunie kamień od wejścia do grobu?”. Gdy jednak spojrzały, zauważyły, że kamień był już odsunięty, a był bardzo duży. Weszły więc do grobu i ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w białą szatę; i bardzo się przestraszyły. Lecz on rzekł do nich: „Nie bójcie się! Szukacie Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego; powstał, nie ma Go tu. Oto miejsce, gdzie Go złożyli. Lecz idźcie, powiedzcie Jego uczniom i Piotrowi: Idzie przed wami do Galilei, tam Go ujrzycie, jak wam powiedział”. One wyszły i uciekły od grobu; ogarnęło je bowiem zdumienie i przestach. Nikomu też nic nie oznajmiły, bo się bały.*

Ewangelia według św. Marka 16,1–8





Kiedy byłem studentem w Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu i niezachwianie wierzyłem w pustkę, pewnego popołudnia wlałem na stół stojący pośrodku głównego holu i głosem prawie tak mocnym, jak bym chciał, zwróciłem się do kolegów z wydziału: „Wszyscy umrzecie! Dociera to do was?!”. Buzujący we mnie żywioł młodości pozwalał na luksus mówienia o śmierci w sposób tak niefrasobliwy, jak mówi o niej agent sprzedający ubezpieczenia na życie. Mało tego – lubowałem się w szczegółowym opisywaniu następstw śmierci. Sugestywnie odmalowywałem proces rozkładu ciała, uzupełniając go informacją, że robaki zaczynają od zjadania gałek ocznych. Przekonywałem, że zanim umarłak się rozłoży, żywi zdążą o nim zapomnieć – zniknie bez śladu nie tylko z powierzchni ziemi, ale i z ludzkiej pamięci. Oczywiście, robiłem to wszystko, żeby mnie zapamiętano. Chciałem mieć swoje pięć minut. Niestety, trafiła kosa na kamień: ta sama niefrasobliwość młodości, która pozwalała mi traktować temat śmierci lekko, sprawiała, że słuchacze mieli moje opowieści gdzieś. Opisy sączących się wydzie-

lin o zielonkawym zabarwieniu i wijącego się robactwa zbywali wzruszeniem ramion. Gdyby któryś z nich zadał sobie trud, żeby powiedzieć głośno, co o mnie myśli, mógłby użyć następujących słów: „Cóż chce powiedzieć ten nowinkarz?”. „Zdaje się, że jest zwiastunem nowych bogów”. „Posłuchamy cię o tym innym razem” (Dz 17,18 i 32).

Myślałem, że głosząc nicość, sprzeciwiam się religii, a zwłaszcza chrześcijaństwu. A jednak zostałem postawiony w sytuacji analogicznej do tej, w jakiej znalazł się św. Paweł na Aeropagu. Tyle że czasy się zmieniły. Ateńczycy za bzdurę uznawali nowinę o zmartwychwstaniu, moi rówieśnicy nie chcieli słuchać nawet o śmierci. Kiedy odrzucono Boga, zagubiono również ateizm. Kiedy przestano zachwycać się cudem istnienia, zniknął też lęk przed nicością. Po co mielibyśmy odrywać wzrok od tabletu, na którym oglądamy właśnie kolejny odcinek głośnego serialu, gdzie trup ściele się gęsto? Na pewno nie po to, żeby zaprzętać sobie głowę prawdziwymi trupami.

Trzy kobiety z Ewangelii, które idą namaścić Jezusa, przywołują nas do rzeczywistości. Jeśli mamy dostrzec Zmartwychwstałego, może nawet pozwolić, żeby na wieść o zmartwychwstaniu ogarnęło nas zdumienie i przestrasz, trzeba nam najpierw... Nie, nie napiszę „spojrzeć śmierci w oczy”. To posta-

wa abstrakcyjna, ulubiona przez filozofów, którzy w ten sposób usiłują usprawiedliwić fakt, że omijają wzrokiem własną kuzynkę, albo że nie w smak im jest oglądanie swojej gęby w lustrze. Trzeba zrobić coś więcej – zatroszczyć się o zmarłego. Dotknąć go, dźwignąć, ułożyć. Zrobić to z miłości.

### NAMAŚCIĆ NAMASZCZONEGO

Szabat wszystkich zaskoczył. Ciało Jezusa w pośpiechu złożono w cudzym grobie. Nie było czasu, żeby dopełnić obrzędów pogrzebowych – trzeba było poczekać, aż minie ten dzień. Czy nie wydaje się nam dziwne to nagłe cięcie, to zawieszenie wszelkich działań, żeby zachować spoczynek szabatu? Wszak poprzedniego wieczora człowiek poniósł śmierć. Zdawałoby się, że to wyjątkowa sytuacja, nagły przypadek, wymagający niezwłocznego działania. Może i tak, ale ktoś, kto zbyt szybko się spieszy, może zapędzić się za daleko albo, co gorsza, uznać, że pośpiech usprawiedliwia dążenie do celu... po trupach. Ktoś, kto działa za dużo, nie rozumie, że zanim zacznie się cokolwiek robić, należy zadbać o przestrzeń. Trzeba na chwilę przestać się miotać, żeby móc działać w sposób uporządkowany i sensowny.

Trzy kobiety z Ewangelii dobrze to rozumieją. Czekają tyle, ile trzeba, ale kiedy tylko szabat mija, pędzą – jak można się było tego spodziewać – na zakupy. Tym razem nie szukają nowej kiecki czy pary butów. Zamierzają pofolgować innej typowo damskiej słabości i nabyć perfumy. Jakże? Wnioski płynące z najnowszych badań historycznych pozwalają stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że wzmiankowane niewiasty nie zakupiły produktów Diora, Chanel czy Guerlaina. Bo Guerlain, Chanel i Dior specjalizują się w zapachach dla kobiet aktywnych, które chcą zadać szyku na zebraniu zarządu albo na zabawie tanecznej, ale wonności dla krewnych i przyjaciół, którym zadano okrutną śmierć, to zupełnie nie ich działka. A trzy niewiasty szukają właśnie takich pachnideł. Swoją drogą, może jest to pomysł na biznes – stworzyć gamę produktów kosmetycznych dla młodych mężczyzn, którzy nie żyją już trzeci dzień.

Maria Magdalena, Maria, matka Jakuba, i Salome znają tego młodego mężczyznę naprawdę dobrze. Szły za nim od Galilei. Wydawało się, że dopiero rozwija skrzydła, ale nie dano mu wzlecieć. Został oskarżony o bluźnierstwo, skazany na śmierć, powieszony na krzyżu pomiędzy dwoma łotrami, a kiedy skonał, pochowano go pośpiesznie (tak samo, jak należy spożywać baranka paschal-

nego – „pośpiesznie”, Wj 12,11), w pustym grobie, który należał do kogoś innego. Teraz, w niedzielny poranek, kobiety zamierzają ten grób otworzyć, wejść do środka, unieść całun okrywający ciało i namaścić Namaszczonego. Będą dotykać trupa, co spowoduje, że na tydzień staną się nieczyste, ale ta nieczystość nie ma nic wspólnego z bezbożnością. Zmarłemu trzeba oddać ostatnią posługę. Kobiety są gotowe spojrzeć na Jego oblicze, w którym próżno już szukać wyrazu twarzy. Położyć dłonie na Jego skórze, która niczego nie czuje. Z drżeniem dotknąć ran po gwoździach, dźwignąć bezwładne, zeszywniałe członki. Pozwolić, by przejął je grozą widok tych ust, które tak pięknie potrafiły mówić o królestwie niebieskim, a teraz są nieme, absurdalnie nieme, mniej znaczące, niż każda z Jego ran. Znieść świadomość, że te usta zaraz zaczną gnić, odsłaniając upiorny kształt czaszki. O tym wszystkim musiały myśleć trzy kobiety, idąc do grobu. Dobrze wiedziały, co będą musiały zrobić, zanim na powrót owiną ciało całunem, jak gdyby owijały niemowlę w pieluszki, spojrzawszy po raz ostatni na tego Boga, który nie jest już niczym więcej, jak tylko rozkładającym się białkiem, ukrytym pod czystymi, nasączonymi wonnym olejkiem prześcieradłami. Dobrze wiedziały, co je czeka... Myliły się. Całkowicie. To im właśnie, jako pierw-



szym, oznajmiono rzecz niewiarygodną. Nowinę, która brutalnie odarła je z żałoby i pozostawiła bez tchu, z rękami wciąż pełnymi zupełnie nieprzydatnych wonności.

Dlaczego my z taką łatwością puszczałyśmy mimo uszu tę nieprawdopodobną nowinę, jaką jest orędzie wielkanocne? Otóż prawdopodobnie dlatego, że nie spełniamy warunków koniecznych do jej przyjęcia. Czytałem kiedyś, że istnieje pewne plemię, w którym dziewczyna, żeby wolno jej było wyjść za mąż i mieć dzieci, musi najpierw przygotować do pogrzebu ciało zmarłego krewnego, myjąc je i przyodziewając na ostatni spoczynek. Mądry i pożyteczny to zwyczaj, który może należałoby przeszczepić na nasz grunt. Bo ten, kto wie, jak to jest trzymać w ramionach bezwładny ciężar martwego ciała, będzie bardziej chętny podjąć życie z mężem lub żoną. A nawet z braćmi. Ignacy Loyola wymagał, by nowicjusze myli zwłoki, zanim złożą śluby wieczyste (Kościół zresztą podniósł te czynności związane z pochówkiem do rangi jednego z „uczynków miłosierdzia”). Jeśli chcemy naprawdę usłyszeć nowinę o zmartwychwstaniu, nie pomoże ćwiczenie oddechu przeponowego, ani nawet słuchanie konferencji na temat duchowości. Trzeba być gotowym na zejście do grobu. Trzeba do tego grobu pędzić tak szybko, że dopiero po

drodze człowiek przypomina sobie o wielkim kamieniu, który zagradza wejście. Trzeba chcieć dotknąć, naprawdę dotknąć umarłego, otoczyć troską ciało, które już zaczyna się rozkładać. Przyjąć ciężar absurdu, jakim jest męka człowieka skazanego na okrutną śmierć za zbrodnie, których nie popełnił. Nasz świat, wraz z jego ułatwiającymi życie, nowoczesnymi udogodnieniami, bardzo nam taką postawę utrudnia. Kiedy ktoś bliski umrze, nie składamy go sami do grobu. Od tego są firmy pogrzebowe, które robią, co trzeba, fachowo, szybko i sprawnie. Wystarczy zapłacić. Nikt nie oczekuje, że profesjonaliści otoczą zmarłego miłością. Ci ludzie po prostu wykonują swoją pracę, a my nie chcemy znać szczegółów. Zostawiamy naszych zmarłych w ich rękach. Odsuwamy śmierć, tę rzeczywistą i dotykálną, poza zasięg naszego wzroku. Czy potrafimy jeszcze zbliżyć się do niej na tyle, żeby mogło nas zaskoczyć zmartwychwstanie?

## MIŁOŚĆ JAK MIRRA

Do żłóbka, w którym leżał nowo narodzony Jezus, przyszło trzech mędrców. Do Jego grobu przychodzą trzy kobiety. Mędrcy przynieśli w darze zło-

to, kadzidło i mirrę. Kobiety niosą już tylko mirrę (można się domyślać, że ich wonności to właśnie mirra, czyli żywica drzewa *Commiphora*, której używano do balsamowania zwłok). Ale mirra to też pachnidło, o którym mowa w Pieśni nad Pieśniami. Oblubienica śpiewa:

Mój miły jest mi woreczkiem mirry  
wśród piersi mych położonym (Pnp 1,13).

Oblubieniec zaś odpowiada:

Wchodzę do mego ogrodu, siostró ma, oblubienico;  
zbieram mirrę mą z moim balsamem (Pnp 5,1).

Grób, w którym złożono Jezusa, znajduje się w ogrodzie. A pachnidła, które przynoszą kobiety, żeby namaścić umarłego, to woń samego życia, łączącego Oblubienicę i Oblubieńca.

Purytanom powinno się odradzać czytanie Biblii z uwagi, między innymi, na następujący fragment:

Ukochany mój przez otwór włożył rękę swą,  
a serce me zadrżało z jego powodu.  
Wstałam, aby otworzyć miłemu memu,  
a z rąk mych kapała mirra,  
z palców mych mirra drogocenna  
– na uchwyt zasuw (Pnp 5,4–5).

Liga moralności musi w tym miejscu wyrazić oburzenie i postulować usunięcie powyższych wersetów. Co ciekawe, nie podobają się one także w klubie libertynów. Mirra zupełnie nie trafia w gusta uwodzicieli, donżuanów, a nawet zwykłych podrywaczy. To zapach, który wyraża miłość potężną jak śmierć (por. Pnp 8,6). Nie należy doszukiwać się w tym wyrażeniu wielkiego romantyzmu. Nie chodzi o szalone porywy serca punktowane dramatycznymi wyznaniem, ale o zwyczajną, małżeńską codzienność. Miłość drugiego, śmierć samemu sobie – bez tego nie da się dochowywać wierności dzień po dniu. Romantyczne wzloty są pod tym względem o wiele mniej energochłonne. Owszem, Tristan i Izolda giną razem z miłości, ale o ileż więcej trzeba siły, żeby razem żyć, razem życie przekazać, aż wreszcie, po śmierci, zmartwychwstać razem i musieć znosić wzajemnie swoje towarzystwo przez całą wieczność...

To bardzo znaczące, że o zmartwychwstaniu Jezusa jako pierwsze dowiadują się trzy niewiasty, które niosą mirrę do Jego grobu. Niewiasty, które były Mu wierne od czasów Galilei i nie odwróciły się od Niego nawet po horrorze Golgoty. „Stworzył mężczyznę i niewiastę” (Rdz 1,27). Nowe życie w chwale nie likwiduje tego dualizmu, ciała uwielbione nadal mają płeć. Najdoskonalszy z mężczyzn

zwraca się najpierw ku trzem kobietom. Mało tego. Jeśli wczytamy się wnikliwie w ewangelie o zmartwychwstaniu, dostrzeżemy coś jeszcze – Jezus wyjawia fakt, że żyje, w pierwszej kolejności małżeństwu. (Żonie i mężowi oddzielnie, żeby tych dwoje mogło potem, spotkawszy się, wejść w tym ściślejszą komunię). Dwóch mężczyzn w białych szatach przekazuje nowinę o zmartwychwstaniu trzem kobietom (por. Łk 24,10). Niedługo potem Jezus, we własnej osobie, dołącza do uczniów idących do Emaus. Jest wśród nich Kleofas (por. Łk 24,18), mąż jednej z tamtych kobiet. Ona i on przeżyli coś, o czym będą mogli rozmawiać we wszystkie długie wieczory, jakie dane im będzie spędzić razem na tej ziemi. Coś, co nasyci zupełnie nową treścią zaciszę ich alkowy.

### KURTYZANA, MATKA, ŻONA

Trzy niewiasty z ewangelii uosabiają trzy aspekty kobiecości. Pierwsza z nich nosi imię pochodzące od miejsca jej zamieszkania, drugą określają więzy pokrewieństwa, trzecia znana jest z imienia, które kojarzy się z samym Zbawieniem („Salome” pochodzi od *Szalom*, pokój. Kiedy Zmartwychwsta-

ły przychodzi do apostołów, na wstępie mówi im: „Pokój wam!”). Ta spośród niewiast, z której imienia wynika niedwuznacznie, gdzie można ją znaleźć, to prostytutka. Ta, która określa się poprzez fakt, że wydała na świat syna, to matka. Określenie „matka Jakuba” symbolicznie wpisuje w jej macierzyństwo cały Izrael. Trzecia z nich, która nosi imię oznaczające przyszłą nadzieję, to kobieta – żona.

W życiu małżeńskim, w macierzyństwie, a nawet, w sposób wykoślawiony, w uprawianiu nierządu istota kobiecości przejawia się nie tyle jako możliwość robienia czegoś, ale jako zdolność przyjęcia kogoś. Tylko kobieta potrafi ugościć drugiego człowieka wewnątrz siebie, czy to przyjmując nasienie, czy chroniąc jego dojrzewający owoc, czy nawet godząc się na zostanie zbrukaną. Kobieta przyjmuje w siebie mężczyznę, matka przyjmuje dziecko, prostytutka przyjmuje klientów. Zaryzykowałbym twierdzenie, że ta zdolność to kolejny powód, dla którego kobietom, jako pierwszym, wyjawiono nowinę o zmartwychwstaniu. Oto kolejny warunek, który nie każdemu łatwo spełnić: żeby naprawdę usłyszeć orędzie wielkanocne, nie wystarczy być gotowym dotknąć trupa. Trzeba jeszcze być w stanie nosić w sobie żywego człowieka (bo tylko wtedy śmierć może osiągnąć nas do głębi, aż po wewnętrzności). Osoba gotowa nosić w sobie żywego czło-

wieka musiała zmierzyć się z podstawowym pytaniem, które, niczym cień, towarzyszy każdemu ludzkiemu istnieniu od jego zarania. Po co trudzić się i przekazywać życie, po co rodzić w bólach, skoro ten, kogo sprowadzimy na ten świat, prędzej czy później zginie w otchłani niebytu? Po co mieć dzieci, skoro każde z nich obróci się w proch?

W tym miejscu trzeba wrócić do naszej głównej tezy. Cuda nie wydarzają się po to, żebyśmy mogli przeżyć coś niezwykłego, ale żeby pozwolić nam przeżywać w sposób niezwykły rzeczy najwyczajniejsze. Jedną z takich rzeczy w życiu człowieka może być fakt, że urodził się kobietą. Być mężczyzną to sprawa prosta i zrozumiała. Twoje ciało jest twoje i koniec, możesz nim rozporządzać jak chcesz, możesz własnymi rękami tworzyć rzeczy w świecie zewnętrznym. Ale być kobietą? Tu zaczynają się schody. Masz ciało, które oddaje się drugiemu, bo taka jest jego natura. Masz wewnątrz siebie miejsce, gdzie ktoś może zamieszkać. Ktoś, kto tworzy się sam, w tajemniczy sposób rośnie i dojrzewa, nie pytając ciebie o zdanie. Nie jest owocem pracy twoich rąk. Dlaczego niby ktokolwiek miałby godzić się na to, żeby mieć ciało, nad którym tak dalece nie panuje? Po co to płodne łono, skoro jego owoc i tak skończy w sosnowej jesionce? (Tak, to samo drzewko, które przynosi radość w Boże Na-

rodzenie, służy do zbijania trumien, gdy przerobi się je na deski). Ale oto Jezus wstaje z grobu. Kobieta i mężczyzna mogą iść razem do łóżka, mogą pójść na całość, odrzucić skrupuły i zahamowania. Nie muszą się obawiać, że spłodzą jeszcze jednego małego śmiertelnika. Przekazywanie życia nie jest już działaniem absurdalnym, powielaniem bezsensu. Miłość nie musi obawiać się śmierci; małżonkowie mogą spokojnie położyć się obok siebie, w jednym grobie.

#### TO STRASZLIWE ZMARTWYCHWSTANIE

Bez dwóch zdań, jest czego się bać. Na myśl, że zmarli mieliby wstawać z grobów, przedsiębiorcy pogrzebowi mogą się poczuć co najmniej niepewnie. Tracą rezon wesole wdówki i wszyscy ci, którzy przedziutko pocieszyli się po śmierci współmałżonka. Rzedną miny potomków kłócących się o spadek, a morderca, który myślał, że udało mu się zostawić przeszłość za sobą, zaczyna z niepokojem oglądać się przez ramię. Kiedy Jezus dokonał pierwszych uzdrowień, „o wszystkich tych wydarzeniach usłyszał również tetrarcha Herod i był zaniepokojony. Niektórzy bowiem mówili, że Jan



powstał z martwych” (Łk 9,7). Można bez trudu zrozumieć podenerwowanie Heroda. Gdyby umarli zaczęli zmartwychwstawać... nie byłaby to dla niego dobra wiadomość. Średnio przyjemnie byłoby spotkać na ulicy człowieka, który zaledwie parę dni temu, z naszego rozkazu, został skrócony o głowę.

Mówiąc bardziej ogólnie, wiara w zmartwychwstanie odbiera nam komfort hołubienia dwóch wierzeń, które, choć diametralnie od siebie różne, są w podobny sposób wygodne. Pierwsze z nich głosi, że dusza ludzka jest niezależnym od ciała, nieśmiertelnym bytem. Drugie, że śmierć jest końcem wszystkiego. Skoro po śmierci nic nie będzie, możemy spokojnie zabrać do grobu wszelkie mroczne tajemnice i brzydkie sekrety, które zdołaliśmy ukryć za życia. Jeśli natomiast wierzymy, że dusza jest samodzielnym, nieśmiertelnym bytem, wolno nam mieć w pogardzie ciało i uważać je za rodzaj więzienia, z którego wyzwoli nas zgon. Zmartwychwstanie wszystko psuje. Teraz już nie będzie tak łatwo. Bo żeby być wzorowym zmartwychwstałym, trzeba najpierw dobrze umrzeć (śmiercią, która mimo to pozostaje skandalem). A żeby dobrze umrzeć, wcześniej trzeba dobrze żyć. Intuicja nie myli Heroda, ma on wszelkie powody do niepokoju. Jeżeli człowiek nie stara się żyć najlepiej jak po-

trafi już tu i teraz, jeżeli bliźniego nie kocha, tylko wręcz przeciwnie, zmartwychwstanie okaże się dla niego ciężkim doświadczeniem. Morderca, nawet najostrożniejszy, będzie musiał znosić widok swojej ofiary, jaśniejącej chwałą. Bogatemu, wywyższającemu się nad innych filantropowi może być jeszcze trudniej. Nie uniknie spotkania z ubogimi, którzy teraz... nie będą już potrzebowali jego pieniędzy.

Oto, dlaczego prorok Daniel, kiedy mówi o zmartwychwstaniu, daleki jest od hurraoptymizmu:

Wielu zaś, co posnęli  
w prochu ziemi, zbudzi się:  
jedni do wiecznego życia,  
drudzy ku hańbie, ku wiecznej odrazie (Dn 12,2).

Ale jest i druga strona medalu. Skoro Jezus wraca, w ciele, do swojego kraju i do swoich bliskich, to znaczy, że życie w ciele i chodzenie po ziemi nie jest znowu aż takie złe. Do tej chwili kobiety mogły ograniczyć się do roli płaczek. Mogły pograć się w żalu, powiedzieć sobie, że radość czeka na nie gdzieś, kiedyś, w innym świecie. Mogły żywić przekonanie, że na tej niskiej ziemi nigdy nie będzie dobrze, że codzienność, małżeństwo i rodzina to pasmo udręk. Co innego w zaświatach; tam nie będzie ciał z ich zdradliwymi wnętrznościami i egzystencja będzie się toczyć gładziutko, bez naj-

mniejszych zgrzytów. A jednak Jezus nie ucieka co prędzej z tego padołu łez. Zamiast wstąpić do nieba natychmiast po zmartwychwstaniu, wyraźnie się ociąga. Spotyka się z uczniami, żeby zwyczajnie z nimi pogadać. Ba, nie odmawia sobie nawet przyjemności, jaką jest pitraszenie na ognisku, żeby móc potem dzielić posiłek z przyjaciółmi.

### III

## CHUSTA NA SWOIM MIEJSCU

*A pierwszego dnia po szabacie, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobieгла więc i przybyła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: „Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono”. Wyszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli oni obydwaj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył.*

Ewangelia według św. Jana 20,1–8





Znam ludzi, którzy w niedzielny poranek uprawiają jogging. Podziwiam ich. Biegną tak lekko, tak szybko. Ich ruchy są płynne, sprężyste, idealnie harmonijne. Moja żona i ja to zupełnie inna bajka. Kiedy wlecemy się po chodniku z szóstką dzieciaków, które kręcą się jak posolone i miotają bezładnie na wszystkie strony, wyglądamy jak dwa słoje konfitur otoczone przez rój muszek. Biegacze mijają nas i znikają w oddali. Za czym tak gonią? Za dobrą formą. Zapewne wyznają zasadę, że w zdrowym ciele – zdrowy duch. Nie sposób nie przyznać im racji. Spoglądając za nimi z niejaką zazdrością, powtarzam sobie, że wszyscy i tak zmierzamy do grobu. I że warto pamiętać, iż serce to po prostu mięsień.

A jednak w tym bieganiu coś jest. Jeśli wierzyć św. Janowi, w Niedzielę Wielkanocną wszyscy ruszają biegiem. W swojej Ewangelii Jan używa czasownika „biec” tylko w kontekście pośpiesznych wypraw do grobu Chrystusa. Najpierw biegnie Magdalena. Dobrze wiemy, co to za jedna. Nagrzeszyła ta bezwstydnica w swoim czasie, oj, nagrzeszyła. A teraz pędzi przez Jerozolimę jak szalona, nie patrzy

przed siebie, ludzi potrąca. „Halo, młoda damo, proszę trochę uważać!” Po chwili w przeciwnym kierunku galopuje dwóch facetów, tak samo jak tamta nieprzytomnych. Ich też dobrze znamy. To rybacy, którzy, zdaje się, przeszli na wcześniejszą emeryturę. „Ludzie, co z wami? Kultury! Jesteście przecież w żałobie. Czy nic to dla was nie znaczy?” Porządny chrześcijanin nie omieszka rzucić umoralniającej uwagi. Zwłaszcza jeżeli sam, podczas niedzielnej mszy świętej, okazuje tyle wigoru, co kamienna figura. Może warto byłoby stworzyć nową liturgię, biorąc za wzór to, jak Maria Magdalena, Piotr i Jan zachowują się w Niedzielę Wielkanocną? Czemu nie, tyle że rezultat mógłby być raczej nonsensowny, na przykład bieg sztafetowy wiernych wokół kościoła. Przy każdej zmianie zawodników należałoby odczytywać, w celu zdopinguowania zgromadzenia, następujący fragment listu św. Pawła do Koryntian:

Czyż nie wiecie, że gdy zawodnicy biegną na stadionie, wszyscy wprawdzie biegną, lecz jeden tylko otrzymuje nagrodę? Przeto tak biegnijcie, abyście ją otrzymali (1 Kor 9,24).

## „PROSZĘ PRZODEM”

Zachwyca mnie ten mały szczegół – młodziutki Jan bez trudu pokonuje Piotra na dystansie do grobu. A jednak, choć na mecie jest pierwszy, zatrzymuje się i przepuszcza przodem starszego apostoła. Mógłby na Piotra nie czekać. Sytuacja jest wyjątkowa i usprawiedliwia pośpiech. „Zabrano Pana z grobu”. Cóż znaczą, wobec takiej wieści, zasady dobrego wychowania? A jednak Jan od nich nie odstępuje. To prawdziwy dżentelmen. Jeden z tych, którzy nawet podczas awarii samolotu lecącego nad Atlantykiem proponują starszemu panu, że pomogą mu nieść bagaże, jeśli zajdzie taka potrzeba, a młodą damę zapewniają, że w kamizelce ratunkowej wygląda prześlicznie. Czyżby misterium zmartwychwstania miało nas nauczyć, że w każdych okolicznościach warto zachowywać się z tak ujmującą grzecznością? Ktoś zauważy, że Jan swoim gestem podkreśla po prostu prymat Piotra wśród apostołów, zapowiadający jego rolę jako papieża, zwierzchnika Kościoła. Będzie miał oczywiście rację, ale to nie znaczy, że nie można tu dostrzec przykładu praktycznego zastosowania bardziej ogólnej zasady, w myśl której ustępujemy miejsca starszemu człowiekowi, chociażby w autobusie. Robimy to, bo potrafimy nie tylko biegać



szybciej, ale też uszanować fakt, że zdążył on już przebyć drogę o wiele dłuższą niż my. Powyższa zasada nie dotyczy zresztą tylko ludzi starszych. Mogę ustąpić miejsca także młodszej osobie, na przykład kobiecie, jeśli jestem mężczyzną. Po prostu dlatego, że to inny człowiek. Emmanuel Lévinas powiada, że najpiękniejsza definicja cywilizacji zawiera się w tym krótkim, grzecznościowym zwrocie: „proszę, pani pierwsza/pan pierwszy”. Papież ma absolutne pierwszeństwo... gdy chodzi o stosowanie tej zasady. Jest przecież „sługą sług Bożych”. Z tego samego powodu dobrze jest mieć królów, bo potrafią oni dawać naprawdę wybitny przykład pokory. Ludwik Pobożny tak bardzo unikał wszelkiego podkreślania wyjątkowości swojej osoby, że nie tylko nie chciał się wywyższać, ale też przesadnie schodzić w dół skali. Edykty podpisywał „nasza przeciętność”. Egalitaryzm nie może pozwolić na tego typu ekscesy. Gdy wszyscy zostają sprowadzeni do tego samego poziomu, nikt nie może się unieść ani nad poziomy wylatać. Interakcje ograniczają się do konkurencji – nieuczciwej konkurencji, dodajmy, bo uczciwość, a w tym wypadku lojalność, opiera się na hierarchii.

No dobrze, ale dlaczego upierać się przy tym „proszę przodem”? Jest coś podejrzanego w owym geście. Czy nie podważamy w ten sposób własnej

wartości? Przecież miłości bliźniego nie da się oprzeć na nienawiści do samego siebie. Chyba że kłaniamy się z podobną intencją, z jaką gracz w bilard schyla się do bandy – żeby tym pewniej zdobyć punkty w grze. Urośniemy w oczach ludzi, jeśli zajmiemy ostatnie miejsce przy stole, a gospodarz, widząc to, powie nam: „Przyjacielu, przesiądź się wyżej!” (Łk 14,10). I jeszcze jedno – gdyby każdy uparł się, że wszystkich będzie przepuszczał przodem, potworzyłyby się monstrualne kolejki, nie tylko w urzędach i przychodniach lekarskich. U Franza Kafki postawa ta przybiera formę nieludzką. Oto dwóch katów zabiera Józefa K. w ustronne miejsce, żeby go uśmiercić za pomocą rzeźnickiego noża. Zanim jednak to zrobią, mija dużo czasu – panowie są nie tylko wyrafinowanie elegancy, ale i nie-nagannie uprzejmi. Kolejne etapy przygotowania do egzekucji kaci poprzedzają wymianą grzeczności, a gdy trzeba zadać ostateczny cios, każdy z nich jest zdecydowany ustąpić drugiemu zaszczytu, jakim będzie zadźgnięcie K.: „Znowu zaczęły się odrażające ceremonie, jeden podawał drugiemu nóż, ten znowu zwracał go z powrotem nad głowę K.”<sup>1</sup>. Egzekucja odwleka się w nieskończoność.

---

<sup>1</sup> Franz Kafka, *Proces*, przeł. B. Schulz, DW Jota, Warszawa 1991, s. 182.

## CUD PUSTY W ŚRODKU

Jan usuwa się z drogi, żeby Piotr mógł pierwszy wejść do grobu. Ten, wszedłszy, dostrzega, że stąd też coś usunięto – nie ma Jezusowego ciała. Przygląda się leżącym tam płótnom (według bardziej dosłownego tłumaczenia) i chuście, którą wcześniej Jezus miał na głowie, a która teraz leżała zwinięta nie razem z płótnami, ale oddzielnie, na innym miejscu. Szokująca wiadomość, którą przyniosła Maria Magdalena, okazuje się prawdziwa – grób jest pusty. A jednak, co jeszcze bardziej zdumiewające, nie jest całkiem pusty. Płótna, w które owinięto zmarłego przy pochówku, leżą nadal na miejscu, wciąż nierozwinięte, tyle że teraz nic ich już nie wypełnia. Opadły płasko, zachowując kontury postaci, którą skrywały, co tym bardziej podkreśla boską nieobecność. Gdyby ktoś faktycznie zdecydował się ukraść ciało, najprawdopodobniej wyniósłby je razem z płótnem. Jeśliby złodziejowi zależało, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, żeby wykradane zwłoki były nagie, zapewne zostawiłby płótna rozrzucone byle jak. Włamywacz-pedant, o ile tacy bywają, porządnie poskładałby szmatki. Ale żaden złodziej nie zdołałby zostawić całunu dokładnie w takim kształcie, jaki mu nadano, owijając ciało.

Nie wiadomo, czy sam Houdini<sup>2</sup> potrafiłby dokonać takiej sztuki. Piotr nie wyciąga jednak pochopnych wniosków, mimo iż zjawisko nosi znamiona cudu. Zachowuje ostrożność godną papieża.

Jan pojawił się w grobie jako drugi, ale teraz znów wychodzi na prowadzenie. Nie w wymiarze liniowym, ale duchowym (jak gdyby Piotr odpowiedział Janowi grzecznością za grzeczność i teraz, kiedy obaj stoją w pustym grobie, wpatrzeni w śmiertelne chusty, zachęcił: „proszę przodem”). Jan „ujrzał i uwierzył” (J 20,8). Co sprawiło, że nagle, w jednej chwili, uwierzył w zmartwychwstanie Chrystusa? Cóż takiego ujrzał? Ano, nic. Nie ujrzał niczego. A dokładniej mówiąc – płótna, starannie owinięte wokół niczego. Puste, a jednak nienaruszone.

Cud cudów to cud pusty w środku. Cud, który polega na tym, że Zmartwychwstały dyskretnie się usuwa, robiąc miejsce. Przedłuża ciszę szabatu. Gdyby nadciągnął otoczony wojskami anielskimi, wśród salw grzmotów i eksplozji błyskawic, nie wyróżniałby się specjalnie z tłumu osobników o zaniżonym poczuciu własnej wartości, którzy ro-

---

<sup>2</sup> Harry Houdini (1874–1926) – jeden z najslawniejszych iluzjonistów, specjalista od uciezek i pokazów akrobacji – przyp. red.

bią wokół siebie tyle szumu, ile się tylko da. Zmartwychwstały nie potrzebuje wywierać wrażenia. Zamiast szarżować, usuwa się, jakby chciał nam powiedzieć: „proszę, państwo przodem”. Tu, na tej ziemi, ustępuje nam miejsca. Aż do końca czasów.

## JAK MATKA

Określenie „usuwa się” wybrane jest nieprzypadkowo. Chrystus przecież nie „wycofuje się”, ani tym bardziej nie „znika”. Nie przestaje być obecny tylko dlatego, że Go nie widać. Przepuścić innych przodem może tylko ktoś, kto był pierwszy. Zwalnia dla nas miejsce, które należało wcześniej do niego.

Nie należy jednak wyobrażać sobie, że Bóg, stwarzając świat, zmuszony był ustąpić miejsca swemu dziełu tak, jak ocean musi się cofnąć, żeby ukazała się sucha ziemia, albo jak słoń musi się posunąć, żeby nie zdeptać mróweczki. Porównania te są bardzo obrazowe, ale niestety zupełnie nietrafione, bo stawiają Stwórcę i stworzenie na jednym poziomie, jako byty wobec siebie konkurencyjne. Gdyby tak się rzeczy miały, Bóg faktycznie musiałby się trochę zmniejszyć, żeby Jego stworzenie mogło urosnąć. Zresztą, taki obraz dałoby się łatwo

wykorzystać dla ukazania wyższości ateizmu. Słonia można upolować i sprzedać cenne kły, a mrówki urządzają sobie prawdziwą ucztę na porzuconym truchle. A gdyby osuszyć ocean, zamieniając jego dno w poldery, zyskałoby się mnóstwo powierzchni do zagospodarowania... Zgodnie z tą logiką stworzenie rozwinęłoby się najpełniej, gdyby Stwórca zniknął. Ale nasz Bóg wymyka się rozumowaniu tego typu. Bo kiedy On chce zrobić komuś miejsce, nie musi w tym celu się kurczyć – po prostu to miejsce robi. Jeśli byłby oceanem, to takim, który swoją substancją tworzy całą ziemię, aż po jej wnętrzości, i jest władny nadać tej ziemi każdą formę. Jeśli byłby słoniem, to takim, który w swoim wiecznym „teraz” stwarza mróweczkę i czasoprzestrzeń obejmującą jej egzystencję.

Istnieje analogia, która godzi to, co wydaje się nie do pogodzenia – ustąpienie miejsca i otoczenie obecnością, całkowitą niewidzialność i niewypowiedzianą bliskość. Jest ktoś, kto potrafi się usunąć, pozostając blisko, zrobić miejsce, które nie jest po prostu pustą przestrzenią, ale kanwą życia. To matka, która nosi dziecko w swoim łonie. Matka robi dziecku miejsce wewnątrz siebie. Karmi je swoim ciałem, otacza swoim ciepłem. Dziecko nie widzi matki, choć przecież w niej żyje, porusza się i jest.

Kiedy Stwórca dyskretnie się usuwa, mówiąc nam „proszę przodem”, nie robi się przez to mniejszy. Ani nie próbuje urosnąć w naszych oczach, ostentacyjnie okazując uprzejmość. Nie widzimy Go, bo On właśnie nas stwarza i utrzymuje w bycie – nas i wszystko, co istnieje. Tak objawia się Jego obecność. Uprzejme „proszę przodem” wyraża istotę Jego twórczego aktu. „Proszę przodem, niebo i ziemio”. „Proszę przodem, słońce, księżycu i gwiazdy”. „Proszę przodem, ryby morskie, ptactwo skrzydlate, zwierzęta pełzające i dzikie wszelkiego rodzaju”. „Proszę przodem, mężczyzno, kobieto, dzieci”.

Bóg nie musi stawać w blasku reflektorów, życząc sobie „obym zaistniał”. Jest władny powiedzieć „niechaj się stanie światłość”, i światłość zaczyna istnieć we wnętrzu Jego słowa. Stwórca posuwa się coraz dalej, po to, żeby wciąż przepuszczać nas przodem (podobnie jak brzuch kobiety ciężarnej wyprzedza ją samą, niczym dziób okrętu). Otula nas, podtrzymuje i unosi, tak doskonale, że prawie mamy rację, kiedy upieramy się, że On nie istnieje (bo rzeczywiście nie istnieje w taki sposób, w jaki my istniejemy). Płód nie widzi swojej matki, chociaż wszystko, co go otacza, jest znakiem jej obecności. Mógłby myśleć, że matka nie istnieje, bo ona jest wszędzie, a nie tylko gdzieś, w jakimś miej-

scu wewnątrz wielkiego brzucha. A więc ateści, wyznając wiarę w nieistnienie Boga, także – choć mimowolnie – składają cześć wszechogarniającej dobroci Przedwiecznego.

## POSPRZĄTAĆ PO SOBIE

Wróćmy do pustego grobu. Chusta, która była na głowie Jezusa, nie leży razem z płótnami, ale oddzielnie, zwinięta na jednym miejscu. Dlaczego? Niektórzy egzegeci twierdzą, że chusta po prostu została tam, gdzie spoczywała głowa Ukrzyżowanego; słyszałem też inne, bardzo skomplikowane, symboliczne interpretacje tego wersetu. Mam wrażenie, że głosiciele tych teorii nie garną się do prac domowych, ignorują więc fakt, w świetle którego wymigiwanie się od sprzątnięcia staje się naprawdę niezręczne. Jeśli, zajrzawszy do Grobu Pańskiego, zauważymy tylko niezwykle zniknięcie ciała, umknie nam pewien szczegół, który jest nie mniej frapujący. Oto Chrystus po trzech dniach zmarłych wstaje... I co dalej? Co teraz zrobi? Ano, przede wszystkim porządnie złoży chustę, która przesłaniała Jego twarz. Kto wie, czy to nie widok owej chusty sprawił, że Jan w jednej chwili uwie-



rzył. Uwierzył, że jego Mistrz żyje w chwale – bo któż inny poświęciłby czas prozaicznej czynności, jaką na co dzień wykonują praczki?

Ktoś mi zarzuci, że fantazjuję i bujam w obłokach. Wszak każdy czyn Zmartwychwstałego powinien być ściśle i jednoznacznie nadprzyrodzony. Stereotypowo widowiskowy. Podyktowany oczekiwaniami publiki, spragnionej demonstracji siły. Odpowiem, że aby zrozumieć mój punkt widzenia, trzeba najpierw zgłębić mistykę sprzątania. Co może być bardziej na obraz Boga, niż robienie porządku? „Tak więc usunę ślad po rodzie Jeroboama, jak uprzęta się gnój bez reszty”, mówi Pan ustami proroka Achiasza (1 Krl 14,10). Chrystus, według słów Jana Chrzciciela, „oczyści swój omłot” (Mt 3,12). Pamiętamy też, jak zrobił porządek z przekupnikami, którzy kłębili się na dziedzińcu świątyni, i jak uparł się, że umyje nogi apostołom. Kiedy myślę o dyskretnym uroku sprzątania, do głowy przychodzi mi porównanie dwóch dyscyplin sportu – hokeja i curlingu. W tym pierwszym krążek posuwa się naprzód, bo gracz bez pardonu wali go kijem. W drugim gracz pucuje lód przed krążkiem (zwanym w tej grze kamieniem), a ten po prostu sunie ku mecie (zwanej domem), jak gdyby robił to o własnych siłach.

Prawdziwy szef więcej powinien mieć z gosposi niż z kaprała. Gosposia, a nawet gospodyni, rzadko

pojawia się na scenie. Ale to ona ją stworzyła, urządziła przytulne wnętrze, gdzie aktorzy mogą poczuć się jak u siebie w domu. Gospodyni nie wkłada żadnego z bajecznych kostiumów, ale to ona je wszystkie uprała, wyprasowała, pocerowała i powiesiła na wieszakach w garderobie. Jej starania zamieniły zwykłe cztery ściany w miejsce, gdzie dobrze jest żyć. Podłogi lśnią czystością, komody wypełnia świeżo uprana, pachnąca bielizna, czeka na nas elegancko nakryty stół, a z kuchni dolatuje upojna woń, która mile łechce nasze nozdrza. Przebywanie tutaj jest prawdziwą przyjemnością; aż się chce rozsiąść na wygodnej kanapie, której kolor idealnie harmonizuje z odcieniem zasłon, podczas gdy wzorzysty dywan wnosi mocny akcent, intrygująco kontrastując z łagodnymi barwami wystroju. Pijąc wyborną, poobiednią kawę i prowadząc lekką konwersację, cieszymy oko widokiem tego wnętrza, gdzie w każdym szczególe przejawia się artystyczny zmysł i twórcza fantazja pani domu... Czyż w swoich staraniach gospodyni nie upodabnia się do samego Stwórcy,

który ukształtował i wykończył ziemię,  
który ją mocno osadził,  
który nie stworzył jej bezładną,  
lecz przysposobił na mieszkanie (Iz 45,18).

Tak na początku, jak i na końcu objawień Zmartwychwstały pozwala uczniom skonstatować swoją nieobecność. Najpierw Jego ciało znika z grobu, potem On sam znika sprzed ich oczu, kiedy wpatrują się w Niego, wstępującego do nieba. Jezus usuwa się, żeby przygotować im miejsce (por. J 14,2) i otworzyć nowy rozdział ich życia. Jan widzi to puste miejsce, które bezgłośnie go przyzywa, gdzieś na dnie serca słyszy cichutkie, ale wyraźne „proszę przodem, teraz twoja kolej”. I wierzy.

PS do mojej żony:

*Kochana, nie po to napisałem to wszystko o pracach domowych, żebyś oddała się im z jeszcze większym poświęceniem, usiłując wpasować się w okropnie niepraktyczny stereotyp kobiety uległej. Tu chodzi o metafizykę; nic na to nie mogę poradzić. Zresztą, przyznasz, że medytując nad wzniosłością sprzątnania, sam pozbawiłem się moich ulubionych wymówek...*

## IV

# IDŹ, ZOBACZ, CZY MNIE TAM NIE MA

*Maria Magdalena natomiast stała przed grobem płacząc. A kiedy [tak] płakała, nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch aniołów w bieli, siedzących tam, gdzie leżało ciało Jezusa – jednego w miejscu głowy, drugiego w miejscu nóg. I rzekli do niej: „Niewiasto, czemu płaczesz?”. Odpowiedziała im: „Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie Go położono”. Gdy to powiedziała, odwróciła się i ujrzała stojącego Jezusa, ale nie wiedziała, że to Jezus. Rzekł do niej Jezus: „Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?”. Ona zaś sądząc, że to jest ogrodnik, powiedziała do Niego: „Panie, jeśli ty Go przeniosłeś, powiedz mi, gdzie Go położyłeś, a ja Go wezmę”. Jezus rzekł do niej: „Mario!”. A ona obróciwszy się powiedziała do Niego po hebrajsku: „Rabbuni”, to znaczy: Nauczycielu! Rzekł do niej Jezus: „Nie zatrzymuj Mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: »Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego«”. Poszła Maria Magdalena, oznajmiając uczniom: „Widziałam Pana i to mi powiedział”.*

Ewangelia według św. Jana 20,11–18





Ewangelię można czytać tak, jak czyta się kryminały. Ale, uwaga! Dzieło ma absolutnie nietypową konstrukcję; w niczym nie przypomina powieści Agaty Christie, ani nawet *Króla Edypa* Sofoklesa. Agata Christie przedstawia zazwyczaj galerię postaci, mniej lub bardziej podejrzanych, a genialny detektyw przeprowadza śledztwo, w wyniku którego czytelnik dowiadyuje się, kto zabił. W greckiej tragedii sprawy nieco się komplikują. Śledztwo w sprawie morderstwa prowadzi Edypa do odkrycia, że zabił detektyw, a więc... on sam. Przykra sytuacja, ale czytelnik może smakować lekturę, spokojnie siedząc w fotelu. Pozostaje poza kręgiem podejrzeń, przynajmniej do czasu wizyty u psychoanalityka, który zechce mu wmówić, że i on jest Edypem. Ewangelia traktuje czytelnika zupełnie inaczej. Nie zachęca do zgadywania, kto zabił. Nie trzeba nawet czytać między wierszami, wystarczy po prostu przeczytać tekst, żeby trafić, na przykład, na następujący fragment: „Chrystus umarł – zgodnie z Pismem – za nasze grzechy” (1 Kor 15,3). Od razu wiadomo, że za wahaniem Piłata, wrzaskiem tłumu, rozgrywką

prowadzoną przez arcykapłanów stoję ja (a także Ty, szanowny czytelniku). Tamci są tylko narzędziami w naszych rękach albo, w najlepszym wypadku, użytecznymi pomagierami.

Wiemy, kto zabił niejakiego Jezusa z Nazaretu. Ale to nie znaczy, że śledztwo jest zakończone! Oto pojawia się następna zagadka. Sprawa jest dużego kalibru; wydaje się, że służby śledcze nie posiadają kompetencji koniecznych do jej rozwikłania. Niektórzy będą przekonywać, że w tym przypadku wystarczyłaby ścisła współpraca wydziału zabójstw, brygady antynarkotykowej i obyczajówki. Gdyby taka specgrupa powstała, za patronkę powinna obrać Marię z Magdali. To ona odgrywa kluczową rolę w drugiej części śledztwa, usiłuje odkryć „tajemnicę pustego grobu”, o wiele bardziej niesamowitą niż tajemnica żółtego pokoju<sup>1</sup>. Odpowiedź na pytanie „kto zabił” nie nastroczała trudności (ja to zrobiłem, i Ty też, szanowny czytelniku). Dużo gorzej jest ze zmartwychwstaniem. Oto prawdziwa zagwozdzka, coś tak niespotykanego, że nawet Sherlock Holmes czy Herkules Poirot bezradnie rozłożyliby ręce. Kto potrafi odpowiedzieć na pytanie, gdzie obecnie znajduje się ciało Chrystusa?

---

<sup>1</sup> Aluzja do tytułu znanej powieści kryminalnej Gastona Leroux, klasyka kryminału, autora *Tajemnicy żółtego pokoju* – przyp. red.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie chodzi tylko o to, żeby wskazać, gdzie widziano Jego ciało po tym, jak stwierdzono, że grób jest pusty. Trzeba jeszcze powiedzieć, gdzie to ciało znajduje się w chwili obecnej, czyli po wniebowstąpieniu. Gdzieś w niebie, pomiędzy Wielką Niedźwiedzicą a Małym Psem? Czy raczej w tabernakulum najbliższego kościoła parafialnego? *Credo* głosi, bez żadnych konotacji politycznych, że znajduje się ono z prawej strony – „po prawicy Ojca”. No dobrze, po prawicy, czyli gdzie? Nadal nie wiem, bo to nie moja prawica, więc z mojego punktu widzenia może to być równie dobrze i po lewej stronie...

Od razu widać, że Maria Magdalena to nie panna Marple<sup>2</sup>. Jak ma rozwiązać zagadkę pustego grobu, skoro przegapia wszystkie poszlaki, nawet te najbardziej oczywiste, i nie jest w stanie wyciągnąć prostych wniosków z tego, co się jej przydarza? Najpierw pojawia się dwóch aniołów. Maria Magdalena widzi ich, słyszy, co do niej mówią... i nie zwraca na to najmniejszej uwagi. Jak gdyby wysłannicy niebiescy nie byli nikim więcej, niż statystami mającymi gdzieś w tle wielkiej sceny miłosnej. Zamiast przeprowadzić regularne przesłuchanie,

---

<sup>2</sup> Fikcyjna postać detektywa, stworzona – podobnie jak wspomniany wcześniej Herkules Poirot – przez Agatę Christie – przyp. red.



które pozwoliłoby jej rozpocząć śledztwo i znaleźć konkretne tropy, zapomina języka w gębie. Gorzej – pozwala, żeby ją wzięto na spytki. „Niewiasto, czemu płaczesz?” – wygląda na to, że aniołowie interesują się nią dużo bardziej, niż ona nimi. Potem pojawia się Jezus. Maria Magdalena staje oko w oko z Tym, którego tak rozpaczliwie pragnęła znaleźć. I co? I Go nie rozpoznaje! Jest przekonana, że ma przed sobą miejscowego ogrodnika. To nie wszystko – właśnie jego uznaje za głównego podejrzanego w sprawie zniknięcia ciała: „Panie, jeśli ty Go przemieściłeś, powiedz mi, gdzie Go położyłeś” (J 20,15).

Kto koziołkuje bezradnie, ma szansę spaść na cztery łapy; tak właśnie dzieje się w tym przypadku. Maria Magdalena zbłądziła tyle razy, że w efekcie wróciła na właściwą drogę. Słusznie się domyśla, że stojący przed nią mężczyzna ma coś wspólnego ze zniknięciem Jezusowego ciała, chociaż zupełnie nie podejrzewa, że rabuś i porwany to jedna i ta sama osoba. Jak mogła nie rozpoznać Jezusa? W pierwszej chwili może to nas dziwić, ale czy mamy rację, zarzucając jej skrajny brak spostrzegawczości? Zauważmy, że rozmówcy celowo mydlą jej oczy, ukrywając swoją tożsamość. Dlaczego aniołowie z nieba udają dwóch zwyczajnych facetów, niegodnych chwili uwagi? Gdzie schowali swoje wspaniałe skrzydła i lśniące aureole? I, przede wszystkim,

dlaczego Chrystus zachowuje się tak, by wzięto Go za kogoś innego? Kobieta, która naprawdę dobrze Go zna, jest przekonana, że ma do czynienia z człowiekiem nie tylko obcym, ale i podejrzanym. Wystarczyłoby przecież, by zechciał, a Maria Magdalena i uczniowie idący do Emaus w jednej chwili zrozumieliby, kogo widzą. Ale nie, On woli zabawić się w chowanego albo inną maskaradę. Dziwne? Nie do końca. Jezus ma za sobą mękę i śmierć na krzyżu, a to, delikatnie mówiąc, nie było zabawne. Teraz Mądrość „igrajac na okręgu ziemi, znajduje radość przy synach ludzkich” (Prz 8,31).

## NIE ZAGUBIĆ W TŁUMACZENIU

Wtem Jezus zwraca się do niej po imieniu: „Mario”, i ten głos budzi w naszej Magdalence echo jej własnych wspomnień. „Rabbuni” – odpowiada, wpatrując się w Niego oczami, które nareszcie widzą. Ten króciutki dialog jest jedynym, który ewangelista przytacza w języku hebrajskim. Po co ten zabieg stylistyczny? Czyżby autor zdecydował się nagle uwzględnić lokalny koloryt, a może doprawić swój tekst szczyptą egzotyki? Chodzi raczej o coś innego. Mamy tu po prostu do czynienia z sytu-

acją, której nie da się precyzyjnie opisać, nie oddając głosu bezpośrednio bohaterom. Tłumaczenie miałyby się z celem, trzeba właśnie, żeby ten dialog wybrzmiał w swojej nieprzetłumaczalnej wyjątkowości, pokazując, że prawdziwe spotkanie ma w sobie coś, czego nie da się zamienić, podrobić ani przełożyć.

Jezus i Magdalena wypowiadają dwa słowa – oboje po jednym. Więcej nie trzeba, żeby uchwycić istotę dialogu między ludźmi, którzy się kochają. Zauważmy, że w uszach osoby postronnej słówka szeptane przez zakochanych nigdy nie brzmią specjalnie ciekawie ani mądrze. Stanu wiedzy ludzkości nie posuwają do przodu nawet o milimetr. Zakochani nie rozmawiają po to, żeby przekazać sobie informacje. (Gdyby tak było, po co mieliby bez końca powtarzać „kocham cię”?). Treść ich wypowiedzi nie ma większego znaczenia. („Kocham cię” to przecież ogólnik, wyświechtany frazes, który brzmi albo jak banał, albo jak czcza przechwałka). Forma jest równie mało istotna. (Gdyby chodziło o formę, zamiast po prostu wyznawać miłość, recytowaliby poematy, co zresztą wcale nie brzmiałoby lepiej. Ba, dawałoby wyznającemu niepotrzebną okazję do tego, żeby rozmiłować się we własnym głosie). Po co więc zakochani w ogóle gadają, niekiedy wręcz godzinami? Nie wyznanie jest ważne,

ale to coś nieuchwytnego, co wybrzmiewa w tonie głosu ukochanego człowieka. Coś, co druga osoba rozpoznaje sercem, i co napełnia ją szczęściem, bo wie, że te słowa skierowane są do niej, właśnie do niej, tylko do niej... Właściwie nie trzeba nawet wypowiadać tych słów, wystarczy sam dźwięk jej imienia w ustach ukochanego. *Maria* – jak w *West Side Story*:

All the beautiful sounds of the world in a single word  
Say it loud and there's music playing  
Say it soft, and it's almost like praying...<sup>3</sup>

Jan przekazuje nam w ten sposób coś, czego nie da się ująć w programie nauczania. Znamy tę maksymę mistrza Zhuanga, o której Claudel mówił, że powinna zostać wypisana nad głównym wejściem do każdej szkoły: „Naprawdę warte przyswojenia sobie są rzeczy, których nie sposób nauczyć”. Otóż *Maria* nie odpowiada „Ukochany!”. Jej „Rabuni!” to w polskim tłumaczeniu „nauczyciel”, ale nie chodzi przecież o szkolnego belfra. Ona mówi do niego „Mistrzu”. W relacji ucznia i mistrza jest

---

<sup>3</sup> Słowa piosenki *Maria* z musicalu *West Side Story* (Wszystkie najpiękniejsze dźwięki świata w jednym słowie. / Wypowiedz je głośno – zagra niczym muzyka. / Wypowiedz je cicho – zabrzmie niemal jak modlitwa) – przyp. red.

coś bardzo osobistego. Słów mistrza nie słucha się jak wykładu, słyszy się w nich wezwanie do naśladowania. Dla ucznia najwyklesze słowa stają się niezwykle, gdy chłonie je w głębokim, intymnym przeświadczeniu, że to jego przede wszystkim dotyczą, i że nikt inny nie mógłby być na jego miejscu, słuchać ich zamiast niego. Uczeń staje się świadkiem. Nie chodzi już tylko o to, żeby przyswoić sobie treść wykładu – świadek ma przekazać innym, kim jest mistrz. Musi więc pójść jego śladem, i nie tyle imitować jego sposób życia, co po prostu przyjąć go za swój.

Prawdziwa chwała nie polega na tym, że człowiek staje się rozpoznawalny z daleka, bo tak bardzo błyszczący, rzuca się w oczy i ma dokładnie tę samą twarz, którą każdy mógł zobaczyć w prasie, telewizji i na plakacie filmowym. „To on! Aktor, który dostał główną rolę u Mela Gibsona, teraz gra w serialu *Person of Interest!*” Mówi się, że sławny jest człowiek, ale tak naprawdę mamy do czynienia z czymś odwrotnym – człowiek zostaje przesłonięty przez jego własny, skomercjalizowany wizerunek. Tymczasem Maria Magdalena nie rozpoznaje Jezusa po wyglądzie ani po głosie, a dopiero wtedy, gdy On zwraca się do niej po imieniu. Zewnętrzny obraz, ten, który wszyscy mogą zobaczyć, tutaj nie odgrywa żadnej roli. Ważne

jest wewnętrzne echo Jezusowego wezwania, które może poruszyć konkretnego człowieka, gdy ten je usłyszy. Jezus zwraca się do Marii Magdaleny po imieniu, a potem powierza jej zadanie – ma przekazać innym świadectwo o tym spotkaniu, które jest przeżyciem wewnętrznym, właściwie nieprzekazywalnym... Właśnie dlatego z początku nikt jej nie wierzy. Dobrej Nowiny nie da się obwieścić tak, jak ogłasza się najnowszego newsa. To nie jest informacja adresowana do wszystkich, ale wezwanie skierowane do każdego z osobna.

## RAJ ODWRÓCONY

Często podkreśla się symetrię pomiędzy sceną upadku w ogrodzie Eden i sceną uniesienia w ogrodzie kalwaryjskim. Tam niewinna kobieta ulega kusicielowi i częstuje Adama zakazanym owocem. Tutaj kobieta grzeszna spotyka zmartwychwstałego Zbawiciela i przekazuje Jego braciom niesłychaną wiadomość o tym, że On żyje. W tekście św. Marka całe wydarzenie ujęte jest jednym zdaniem, tyleż krótkim, co szokującym. Wiadomość o wyróżnieniu, które spotyka Marię Magdalenę, ewangelista zderza z przypomnieniem upodlenia,

w jakim żyła dawniej: „Po swym zmartwychwstaniu, wczesnym rankiem w pierwszy dzień tygodnia, Jezus ukazał się najpierw Marii Magdalenie, z której wyrzucił siedem złych duchów” (Mk 16,9). Wiekuista, nadprzyrodzona Wiosna objawia się najpierw przywiedłej róży, tej, którą obsiadło siedem demonów, po jednym na każdy dzień tygodnia, albo w paskudnej parodii darów Ducha Świętego. Oto więc demon lęku przed życiem i tym, co przynosi nowego, zjeżony, kładący uszy po sobie i odsłaniający kły, żeby przypadkiem nie dać się pogłaskać. Demon nieszczerzej religijności, który jest jak bluszcz – zawsze pełza, nawet jeśli wygląda, jakby wzleciał w niebo. Demon pychy, który swoje paskudne rogi chowa coraz częściej pod laboratoryjnym czepkiem naukowca albo pod profesorskim biretem. Demon słomianego zapału, z krzywym zwierciadłem, które każde potknięcie przedstawia jako sromotną klęskę, a każdą niedogodność jako przeszkodę nie do pokonania. Demon złej rady, wciskający nam, niczym nachalny domokrażca, cały wachlarz cudownych wynalazków, dzięki którym bez najmniejszego problemu trafimy prosto do piekła. Demon sztucznej inteligencji, który robi wszystko, by nas przekonać, że największym osiągnięciem ludzkiej myśli nie jest uwielbienie, a kalkulacja. Demon „duchowości” serwowanej online,

który oferuje „pogodę ducha, wewnętrzną wolność, poczucie harmonii i spokoju na co dzień”, zapewniając nas przy okazji, że w poprzednim wcieleniu byliśmy władcą imperium, natomiast szef, który codziennie bierze nas do galopu, jest tylko iluzją... Nasza Maria, która nie jest ani świętą, ani dziewicą, ma wszelkie szanse na spektakularny sukces wśród pięknych i bogatych tego świata. Niestety, spotyka ją straszny pech – lub, jak kto woli, dotyka ją łaska – oto siedem kluczy do sukcesu zostaje jej odebranych, a Zmartwychwstały obarcza ją niezbyt wdzięcznym zadaniem przekazania rzeczy niewiarygodnej bandzie ciężko kapujących facetów.

W raju niewiasta mówi wężowi, że „o owocach z drzewa, które jest w środku ogrodu, Bóg powiedział: Nie wolno wam jeść z niego, a nawet go dotykać” (Rdz 3,1). Mija się z prawdą – Stwórca nie zakazał dotykania owoców. W ogrodzie kalwaryjskim rzecz ma się inaczej. Pierwsze przykazanie, skierowane przez Zmartwychwstałego do tej, którą tak aniołowie, jak i On sam nazywają „niewiastą”, brzmi: *noli me tangere*, a więc: „nie zatrzymuj mnie”, albo: „nie dotykaj”. Osoby skłaniające się ku przesadnej pruderii mogą podejrzewać, że Jezus trzyma Magdalenę na dystans, żeby zapobiec nadmiernemu zmysłowemu pobudzeniu byłej prostytutki. Cóż, trafiają jak kulą w płot. Kontynuując odwróconą



analogię do sceny w ogrodzie Eden, widzimy, że Zmartwychwstały, choć faktycznie nie pozwala niewieście się dotknąć, to przecież poleca, żeby poszła do Jego braci i przekazała im coś ważnego. Jawnogrzesznica staje się apostołką. Resumując – niewiasta w raju przekazała mężczyźnie kłamstwo, które wcisnął jej wąż. Niewiasta w ogrodzie kalwaryjskim ma przekazać ludziom, na prośbę Zbawiciela, wieść o Jego zmartwychwstaniu. Zakazanego owocu nikt nie zabraniał dotykać, natomiast nie wolno było go zjeść. Chrystus zdecydowanie odsuwa od siebie Marię Magdalenę, by ta Go nie dotykała. A przecież to On właśnie powiedział: „Ja jestem chlebem żywym” (J 6,51). Teraz mówi: „nie zatrzymuj mnie”, ale trochę wcześniej mówił: „Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie” (J 6,53). Jego *noli me tagere* nie unieważnia nakazu, w myśl którego mamy brać Go do ust, smakować i pochłaniać, bardziej dosłownie niż w namiętym pocałunku. To właśnie robimy, przyjmując komunię świętą. Dlaczego więc *noli me tagere*? Interpretacja tego fragmentu rozmowy Jezusa z Marią Magdaleną wymaga szczególnej przenikliwości – zwłaszcza że tutaj właśnie napotykaamy kolejną poszlakę w naszym śledztwie.

## KŁOPOT Z WCIENIENIEM

Ustalmy wreszcie, gdzie jest ciało Zmartwychwstałego. Czy po prostu stoi sobie naprzeciwko Marii Magdaleny, jeszcze jedno ciało pośród tylu innych? Jeśli tak jest, to nasuwa się pytanie, po co zmartwychwstał. Jaki jest sens zmartwychwstania, skoro przywraca ono po prostu stan rzeczy sprzed śmierci? A może zbyt pochopnie osądziliśmy naszą panią detektyw, która w rzeczywistości jest o wiele bystrzejsza niż panna Marple? Może istnieje powód, dla którego Zmartwychwstałego nie rozpoznała, pomyliła z miejskim ogrodnikiem, ba, posądziła nawet o to, że kradnie umarlaków.

Wyznawcy judaizmu zawsze mieli problem z wcieleniem. Uważają, że nie może ono iść w parze z miłością bliźniego. Bo kiedy boska transcendencja pogrąży się w immanencji tego świata, zostaje – w ich mniemaniu – zdegradowana, sprowadzona do poziomu, który opisaliśmy wcześniej – oto Stwórca staje się dla stworzeń konkurentem, Syn rywalem dla braci. Dopóki Przedwieczny nie był człowiekiem, a jedynie stwórcą wszystkiego, co istnieje, człowiek mógł Go dostrzec tylko w innych ludziach (a nawet w komarach, łosiach i szuwarach), podobnie jak wielkiego pisarza poznajemy przez pryzmat jego dzieł czy korespondencji.

Ale jeśli Przedwieczny stanie się jednym z ludzi, to ja, osoba pobożna, ku temu właśnie człowiekowi się zwrócę, pokazując plecy innemu człowiekowi, mojemu bliźniemu, którego znam od dawna i, nawiasem mówiąc, serdecznie nie znoszę. Adriana i Nikołą stale mam w sąsiedztwie, aż tu nagle pojawia się Bóg, robiąc *entrée* jeszcze bardziej spektakularne niż John Wayne wkraczający do *saloonu*. Tamtych dwoje, oczywiście, nie wytrzymuje konkurencji. Ja zaś mam świetną wymówkę, żeby nie zacieśniać relacji z Adrianem i Nikołą; wszak odewrałoby mnie to od kontemplacji Jezusa!

A co z wizerunkami? Tutaj pojawia się ten sam problem. Dlaczego modlimy się przed ikoną przedstawiającą Jezusa, a nie przed własnym dzieckiem, żoną albo teściem, przed hydraulikiem, napotkanym na ulicy bezdomnym, czy nawet przed ministrem finansów? Wychodziłoby na to, że odkąd Chrystus zaczął istnieć w ciele, przesłania sobą takiego na przykład Adriana, faceta z krwi i kości, do tego stopnia skutecznie, iż wystarczy nam spojrzeć na ikonę Chrystusa, a zapominamy, że Adrian stworzony jest na obraz Elohim. Nasz sąsiad bezdyskusyjnie jest obrazem Stwórcy, jest nim w sposób o wiele bardziej bezpośredni niż najpiękniejsze nawet malowidło, chociaż sam urodą nie grzeszy, a jego towarzystwo kojarzy nam się równie miło, co

atak roju os. Zachodzi obawa, że wcielenie, legitymizując ikonografię (Bóg, stając się człowiekiem, sam stworzył swój wizerunek), spycha nas z powrotem w bałwochwalstwo, którego najohydniejszym obliczem jest absolutna pogarda dla bliźnich. Czym jest bowiem idolatria? Teoretycznie polega na otoczeniu jakiegoś stworzenia czią należną Stwórcy. W praktyce bezpośrednią konsekwencją faktu, że jednemu ze stworzeń oddaje się boską cześć, jest odebranie wszelkiej godności innym stworzeniom, wypchnięcie ich poza nawias naszej uwagi. Bałwochwalstwo potrzebuje przestrzeni, więc tworzymy ją, wykluczając innych. Nareszcie mamy ważki powód, by kazać wszystkim łamagom, ofermom i popaprańcom wynosić się w cholerę. Tak, was przede wszystkim to dotyczy, Nikolo i Adrianie! Wynocha, ale już! Słyszycie? Nie mam dla was czasu. Dalej, jazda! Muszę przygotować się na przyjęcie Pana...

### ABYŚMY PRZEJRZELI NA OCZY

Chciałbym w tym miejscu podzielić się pewnym spostrzeżeniem. Może się ono wydawać naiwne, niemniej jednak uważam, że nie sposób odmó-

wić mu słuszności. Otóż, patrząc na portret, uczymy się doceniać gęby, które widzujemy na co dzień. Dlaczego tak twierdzą? Bo byłem raz w Luwrze i podziwiałem tam płótno Dominika Ghirlandaia, arcydzieło przedstawiające starucha z wielkim kinolem obrośniętym guzami. Teraz w wielkim kinolu obrośniętym guzami potrafię dostrzec arcydzieło. Natomiast kiedy patrzę na dzieła malarzy kubiistów, zaczynam widzieć jakiś sens, ba, może nawet pewien urok, w rozmowach z moim sąsiadem Adrianem.

Nasz intelekt jest z natury tak wąty, że potrzebuje wsparcia w postaci przykładów, które unaoczniają pewne rzeczy; nie tylko gdy chodzi o kwestie złożone, ale też i o sprawy najprostsze. Widzieliśmy już, jak to działa. Wyobraźmy sobie, że idziemy na piwo. Barman napełnia mój kufel – sytuacja jest tak zwyczajna, że nie poświęcam jej nawet jednej myśli. Ale gdyby tego samego cienkusza nalał mi sam król jegomość... „Ach, cóż za piękny gest! Jakaż to wielka łaska! Przewyborny trunek!” Kiedy Bóg stał się człowiekiem i zaczął żyć zwyczajnym życiem, dostrzegliśmy boskie źródło tego, co zwyczajne. Wcielenie było konieczne, nie tylko ze względu na czyny niepojęte i cudowne, których dokonał Chrystus, ale właśnie po to, żeby zbawić najprostsze gesty, z których składa się zwyczajne ży-

cie. To On ocalił dla nas rzeczy tak powszednie, jak nalewanie piwa, rąbanie drewna, przechadzka z przyjaciółmi czy dzielenie się chlebem, a także tę chwilę, kiedy wymawiam z czułością imię mojej żony, Siffreine, tak jak Jezus powiedział „Mario”. Bez ukrytych, lubieżnych intencji...

Gnostyk Walentyn Egipcjanin odrzuca wcielenie, bo jest dla niego nie do pomyślenia, by Przedwieczne Słowo miało nagle zacząć korzystać z wychodka. A przecież sama myśl, że Słowo Boga faktycznie korzystało z wychodka, wprowadza nas na poziom mistyki transcendentnej. Oto nasze ubikacje stają się prawdziwymi świątyniami dumania, miejscami, które pobudzają do najgłębszej kontemplacji (do tego tematu jeszcze wrócimy).

Istnieje pewien aspekt wierzeń pogańskich, który jest naprawdę piękny, i w tym właśnie aspekcie chrześcijaństwo posuwa się znacznie dalej, czyniąc z wcielenia główny dogmat wiary. Otóż pogańskie wśród drzew dopatrują się driad i satyrów, w jeziorach i rzekach widują ondyny. Bożki i boginki lasów, pól oraz wód sprawiają, że pszenica, oliwa, misa i pług pełne są poezji, która tak pięknie wybrzmiewa u Wergiliusza i u Owidiusza. Aż tu przychodzi chrześcijaństwo i głosi, że sam transcendentalny Bóg, nie zmieniając swojej wszechmocnej natury, przyszedł na świat, żeby wieść zwyczajne

życie. Został cieślą w Nazarecie, niewielkiej miejscinie położonej w Dolnej Galilei. To dopiero jest rewolucja. Najzwyczajniejszy w świecie hebel staje się boskim narzędziem. Codzienny spacer uliczkami – wypełnieniem niebieskiego posłannictwa. Jeśli zdarzy się nam schrupać figę i popić ją kilkoma łykami wody, naśladujemy samego Mesjasza – warto jest pościć, żeby docenić głębię tej świętej tajemnicy. Oddychamy, jak On oddychał; kiedy sobie to uświadomimy, czujemy, że zdumienie zapiera nam dech. Możemy rozmawiać z matką, pracować z Piotrem, Jakubem i Janem, nawiązać znajomość z siedmiokrotną rozwódką – we wszystkim, co zwyczajne, kryje się niezmierzone duchowe bogactwo.

## NAJWIĘKSZY W NAJMNIEJSZYM

Syn nie zasłonił nas sobą, kiedy stał się jednym z ludzi. Nie przyszedł na świat, żeby ukraść nam *show*. Przeciwnie; zrobił to, żeby przygotować nam miejsce. Boskie miejsce. Ta konstatacja prowadzi nas prościutko do rozwiązania kryminalnej zagadki, jaką zadaje Ewangelia. Ciało Zmartwychwstałego nie jest po prostu jednym z wielu organizmów

ludzkich na planecie. To jest Ciało, którego członkami są wszystkie inne ludzkie ciała: „Wy przeto jesteście Ciałem Chrystusa i poszczególnymi członkami” (1 Kor 12,27, por. Ef 4,25).

Tak kończy się nasze śledztwo. Zagadka jest rozwiązana. Ciało Chrystusa tworzą moi bliźni. Ktoś jest kolanem, ktoś pachą. A palec Boży? To ten facet, który właśnie nadepnął mi na odcisk. Owszem, przyznaję, że potrzebna jest wiara, aby na to rozwiązanie wpaść. Ale tylko ono jest logicznym dopełnieniem odwróconej analogii pomiędzy upadkiem w raj a uniesieniem w ogrodzie kalwaryjskim. Kłamstwo węża – „będziecie jako bogowie” – staje się prawdą dzięki Chrystusowi. Nasza detektywka otrzymała ostatnią wskazówkę. Chcesz znaleźć ciało Pana? Udaj się do Jego braci.

No dobrze, ale dlaczego Jezus ukazuje się Marii z Magdali, a nie Marii z Nazaretu? Chyba nie tylko dlatego, że chce uniknąć miliona pytań i przejawów troski, którymi bez wątpienia zbombardowały Go ta ostatnia, jak na prawdziwą żydowską matkę przystało: „Dobrze Cię tam karmią? Mam nadzieję, że nie spocifeś się, kiedy wstąpifeś do piekieł... Coś ty taki rozchełstany? Chodź no tu do mnie, zawiążę Ci porządnie tę białą szatę!”. Prawda jest taka, że Maria, matka Jezusa, nie musiała nawet widzieć pustego grobu i płócien, żeby uwie-



rzyć. Wiedziała, że Ten, dla którego zrobiła miejsce w swoim łonie, urodził się po to, żeby każdemu człowiekowi przygotować miejsce nie z tej ziemi. Zachowała w sercu Jego słowa, gdy powiedział: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,40). Potrafiła dostrzec ciało swojego zmartwychwstałego Syna w tych najmniejszych, tych, którzy pozostają w cieniu... A także w tych, którzy muszą pławić się w blasku, rozpaczliwie chcąc uchodzić za interesujących. Ponieważ w głębi serca za takich się nie uważają, z tym większym zapałem zamęczają wszystkich wokół gadaniną, która w ich mniemaniu jest pełna błyskotliwych spostrzeżeń. W takim typku Maryja też rozpozna swoje dziecko; wiem coś o tym.

## V

# MACIE TU COŚ DO JEDZENIA?

*Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu. (...) Lecz gdy oni z radości jeszcze nie wierzyli i pełni byli zdumienia, rzekł do nich: „Macie tu coś do jedzenia?”.*

Ewangelia według św. Łukasza 24,30–31.41

*A kiedy zeszli na ląd, ujrzeni żarzące się na ziemi węgle, a na nich ułożoną rybę oraz chleb. (...) Rzekł do nich Jezus: „Chodźcie, posilcie się!”. Żaden z uczniów nie odważył się zadać Mu pytania: „Kto Ty jesteś?”, bo wiedzieli, że to jest Pan. A Jezus przyszedł, wziął chleb i podał im – podobnie i rybę.*

Ewangelia według św. Jana 21,9.12–13

*(...) ukazywał się im przez czterdzieści dni i mówił o królestwie Bożym. A podczas wspólnego posiłku (...)*

Dzieje Apostolskie 1,3–4





„System trawienny funkcjonujący cicho i sprawnie, zgodnie ze swym przeznaczeniem – to podstawa wszelkiej poezji”<sup>4</sup>. Ta złota myśl znaleziona u Chestertona nie jest zbyt górnolotna, tym niemniej znakomicie wpisuje się w logikę zmartwychwstania.

Jezus powstał z martwych, żyje w ciele uwielbionym i jeść nie potrzebuje. A jednak to robi. W jakim celu?! Przecież to On właśnie, po czterdziestodniowym poście, oparł się pokusie Szatana, cytując fragment z ósmego rozdziału Księgi Powtórzonego Prawa: „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych” (Mt 4,4). Dlaczego więc teraz, kiedy mógłby żyć wyłącznie Bogiem, upiera się, że będzie jadł chleb? Słyszałem nie raz, że Jezus chce w ten sposób udowodnić uczniom, iż nie jest jakimś byle duchem, ale posiada autentyczne, oryginalne, certyfikowane ciało. Stąd tylko krok do stwierdzenia, że Jezus

---

<sup>4</sup> Gilbert Keith Chesterton, *Człowiek, który był Czwartkiem*, przeł. M. Skibniewska, Fronda, Warszawa 2008, s. 6.

zwyczajnie udaje – odgrywa przedstawienie, posila się na pokaz. Kiedy dopadają nas dolegliwości gastryczne, wierzymy tym mocniej, że nie mogło to być nic innego, jak tylko pokaz. Wykluczone, żeby Zmartwychwstały odczuwał przyjemność z prozajicznej czynności, jaką jest przyjmowanie pokarmu. A już na pewno nie musi pożywienia trawić! (Strach pomyśleć, co by było, gdyby proces trawienia nie okazał się do końca chwalebny, i, hm, wygenerował odpady). A więc – *summa summarum* – wychodzi na to, że Jezus jest jednak duchem. Takim, który lepiej od innych duchów opanował sztukę tworzenia iluzji. Cóż, muszę przyznać, że nie bardzo mnie to przekonuje. Ten, który jest Prawdą, miałby wprowadzać w błąd? Nie sądzę. Skoro Jego ciało jest prawdziwe, dlaczego miałby udawać, że się odżywia? To bez sensu. Jeśli decyduje się dzielić posiłek z uczniami, robi to prawdziwie. Nie ułatwia zadania teologom – wyraźnie trzyma stronę zjadaczy chleba, którzy stanowią grupę liczniejszą (wszak teolodzy także, za kogo by się nie mieli, do tej grupy należą). Potwierdza intuicję Chestertona. Zmartwychwstały je, ale nie dlatego, że musi zaspokoić głód. Robi to dla samej poezji związanej z tą czynnością. A skoro tak, winniśmy poświęcić chwilę na kontemplację owej poezji.

## WEWNĘTRZNE PIĘKNO

Istnieje oczywiście realna groźba zagłady dla tych, których bogiem jest brzuch (por. Flp 3,19). Nieszczęśni gastrochwalcy narażają się na to niebezpieczeństwo chyba dlatego, że niewystarczająco jeszcze skupili się na kontemplacji własnego brzucha. Gdyby zechcieli to zrobić, zrozumieliby, jak bardzo jest boski, i z całą pewnością naprostowaliby swoje apetyty. Wystarczy przecież uświadomić sobie, ile w ciele jest narządów zgranych ze sobą w genialnie pomyślanym współdziałaniu, od siekaczy aż po ostatni zwieracz. Wyobrazić sobie cudownie harmonijne falowanie jelit, te pozornie oczywiste ruchy będące w rzeczywistości zawiłym tańcem zwanym perystaltyką. Tutaj porządku strzeże dwieście milionów neuronów, tworzących coś jakby autonomiczną delegaturę mózgu. Tutaj, pod nieboskłonem przepony, enzymy i bakterie żyją w najlepszej komitywie, tworząc najgęstszy ekosystem na naszej planecie. Tutaj, w zwojach jelita, niestrudzenie pracują kosmki – cichutkie, subtelne i zdumiewająco skuteczne, wychytując wszystko, co wartościowe, z serwowanej im papki. Ale wróćmy do początku. Czyż nie zachwyca nas ślina? Napływa do ust jak na zawołanie, wystarczy bodziec wzrokowy albo węchowy, a nawet sama

wyobrażnia (imaginujemy sobie nasze ulubione danie i zaraz czujemy, jak delikatna słodycz wypełnia wnętrze ust). Albo ten zdumiewający żołądek. Wydziela litry kwasu solnego i jednocześnie śluz, który chroni jego ściany, nie dopuszczając, żeby pożarł sam siebie! Czy istnieje bardziej zachwycająca maszyna? Czy istnieje w ogóle jakaś maszyna, która potrafi działać na jedzenie, a nie na paliwo?

Paliwo (benzyna, gaz, prąd elektryczny i tym podobne) sprawia, że maszyna działa. Jeśli nie będziemy dostarczać maszynie paliwa, ta przestanie pracować, stanie na dobre. Ale nie przestanie istnieć. Paliwo nie jest budulcem. Możemy latami nie dolewać benzyny do baku, a samochód od tego nie zmarnieje. Paliwo nie tworzy silnika ani żadnej innej części samochodu. Inaczej jest z jedzeniem. Dostarcza ono nie tylko kalorii, które są niezbędne do funkcjonowania maszynerii ciała, ale też pozwoli się w nie zamienia. Pozwala rosnąć, obdarza siłą, umożliwia powoływanie na świat potomstwa. Ten właśnie zdumiewający sens kryje się w słowach „restauracja” czy „refektarz”. Jedząc, odbudowujemy się, regenerujemy, tworzymy na nowo... Aż chciałoby się powiedzieć: „zmartwychwstajemy”.

Jeśli piękna Gisele Bündchen skonsumuje na lunch łososia w papilotach, to łosoś w papilotach stanie się częścią Gisele Bündchen. Supermodel-

ka przechadza się po wybiegu, stawiając miękkie, roztańczone kroki, zachwyca gibką i smukłą figurą oraz bardzo przyjemnymi dla oka krągłościami. Ale nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie łosoś zjedzony dziś w południe, mule, które spałaszowała poprzedniego dnia, tarta z brokułem, sałatka z komosy ryżowej i tofu, lampka bordeaux... Wszystkie te artykuły spożywcze, wrzucone do magicznego alembiku, w wyniku destylacji dają coś bardziej upojnego niż najznakomitszy trunek. Żaden współczesny artysta nie może się równać z układem trawiennym. Żaden nie potrafiłby połączyć w jedno rzeczy rażąco przyziemnych i zachwycająco pięknych. Żaden nie jest w stanie sprawić, że zwyczajny stek z frytkami zamieni się – niepostrzeżenie, lecz stuprocentowo skutecznie – w zjawiskowo piękną kobietę.

## MUS – NIE MUS

Niesamowite zjawisko, jakim jest przyswajanie pokarmu, zostaje często spłycone – niektórzy widzą w czynności jedzenia metaforę chciwości. Że niby zjadacz zagarnia dla siebie, pochłania to, co pojawia się przed nim na stole. Ale kiedy zastanowimy się głębiej nad sensem całej sprawy, nie spo-



sób nie dostrzec, że konieczność posilania się jest lekcją dla każdego, kto zapomniał o skromności. Przecież nawet człowiek niezwykle uduchowiony żyje dzięki haustom tlenu, które chciwie wciąga w płuca, dzięki misce zupy i kromce chleba. Kiedy nie mamy czego do garnka włożyć, przestajemy koczować, nasz niepodległy byt wygląda z chwili na chwilę coraz mizerniej. A przecież nasze istnienie zależy nie tylko od pożywienia. Możemy stać na własnych nogach dzięki temu, że zanurzeni jesteśmy w powietrzu. Gdyby powietrze znikło, runęlibyśmy w próżnię. Chodzimy po ziemi, ale co jeszcze ważniejsze – chodzimy na wodę. Jeśli wody zabraknie, utkniemy w miejscu, a potem obrócimy się w proch. Nie wymagajmy od poety, żeby odpowiednie dał rzeczy słowo, jeśli jeszcze nie wypił porannej kawy i nie zatopił zębów w grzance z konfiturą. Owszem, lira jest symbolem boskiej inspiracji poety, ale źródłem jego wciąż odradzającej się siły jest lodówka. Życie poezją może tylko ten, kogo, dzięki pisaniu wierszy, stać na żywność.

Kto zrozumie, jak wiele jest rzeczy, bez których nie jesteśmy w stanie zrobić kroku, ten znajdzie tym samym mnóstwo okazji do wdzięczności. Cześć i chwała kurzemu udku, które pozwala mi pewnie stać na własnych nogach! Dzięki niech będą zieleńce, gdyby nie ona, nie miałbym zdrowia, żeby

robić kapuchę! Pochwalony niech będzie łyk powietrza, bez niego nie mógłbym wyśpiewać modlitwy uwielbienia! Oddycham, piję, jem – i wszystko to, co wchłaniam, w jakiś cudowny sposób czyni mnie zdolnym do wyrażenia tego, co chciałbym wyrazić. Jeśli więc chcę, żeby moje słowa były prawdę moje, powinienem przede wszystkim ofiarować tym rzeczom, które żywią mój wymowny język, istnienie w sferze duchowej i moralny szacunek. Powietrze wibruje od dźwięków muzyki, ja jestem wesół jak szczypiorek na wiosnę, a kura... No cóż, zwykła kura staje się symbolem tak pięknym, że sam Jezus chce się porównywać do ptaka, który „swe piskłeta zbiera pod skrzydła” (Mt 23,37).

Jedzenia nie można traktować byle jak. Jego obecność, hojna i bezinteresowna, jest darem, który pobudza do wdzięczności. Jeśli się zagapię, przypomni mi o tym burczenie w brzuchu – to pierwsze nuty harmonii, którą trzeba mi rozwinąć. Jak to się dzieje, że istnieją rzeczy dla mnie jadalne? Skąd ta cudowna komitywa pomiędzy moim ciałem a światem zewnętrznym? Zbieracze i łowcy wierzyli święcie, że obfitość jagód i zwierzyny jest oznaką przychylności bogów. Klienci supermarketów raczej nie podzielają tego przekonania. Wchodzimy między regały z kartą płatniczą w kieszeni, przekonani, że wszystko, co nam potrzebne, mamy na wyciąg-

nięcie ręki. A przecież możemy czerpać pełnymi garściami z dobrodziejstw natury tylko dlatego, że natura sama się nam rozdaje. Ani ten dar, ani nasza zdolność do jego przyjmowania nie są naszą zasługą. W tym miejscu ludzie zmagający się z problemami gastrycznymi po raz pierwszy staną ramię w ramię z żarłokami, żeby wyrazić swój sceptycyzm wobec gloryfikacji zwykłej czynności jedzenia. Dla tych pierwszych temat jest trudny, bo gdy przychodzi do trawienia, ciało, ku ich utraپieniu, odmawia posłuszeństwa. Ci drudzy nie widzą niczego szczególnie atrakcyjnego w zaspokajaniu głodu, bo robią to zbyt szybko i łapczywie, by rozsmakować się w duchowym pięknie tej prozaicznej czynności. Ci i tamci mogą więc zakrzyknąć jednym głosem: „Jak można układać hymn pochwalny na cześć kurczaka, hodowcy drobiu oraz Stwórcy jednego i drugiego? I w dodatku do wtóru odgłosów gastrycznych?! Cóż to za dziwaczna, niewiedzona poezja?!”. Ależ nie – to poezja najzwyczajniejsza w świecie, codzienna. Poezja modlitwy przed posiłkiem i dziękczynienia po deserze. Poezja, która stanowi najgłębszy sens fizjologii.

Chrystus uwrażliwia apostołów na piękno tej poezji. Odkąd zmartwychwstał, czerpie siły bezpośrednio z przedwiecznego źródła życia; to ono napęłnia Jego ciało energią, przenika je, tworzy

i utrzymuje w bycie. Jeśli więc raczy się kolacyjką w gronie uczniów albo pieczoną rybką z ogniska, na pewno nie robi tego przymuszony głodem. Jedząc, wynosi do chwały tę zwyczajną czynność. Możemy teraz pozwolić sobie na to, żeby dostrzec, jak bardzo nasze zwyczajne życie jest w gruncie rzeczy cudowne. Chleb także pochodzi z ust Bożych. Kiedy św. Paweł nakazuje braciom: „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie” (1 Kor 10,31), nie usiłuje narzucić jakiegoś zewnętrznego ograniczenia, nie chce, żebyśmy wcisnęli nasz apetyt w mundurek pobożności. Przeciwnie – apostoł wzywa do pobożności, która jest efektem procesu trawienia. Namawia po prostu, żebyśmy dostrzegli, jak wiele boskiego geniuszu kryje się w zwyczajnych czynnościach, i pozwolili sobie na wdzięczność. Fantastycznie jest móc jeść i pić. Ale, ostrożnie! Jeśli naprawdę zrozumiemy, jak niezwykle jest ten powszedni cud, zachwyty może chwycić nas za gardło.

## PRAWO STOŁU

Czytamy w Ewangelii, że za ziemskiego życia naszemu Panu zdarzało się karmić tysiące ludzi cu-

downie rozmnożonymi chlebami i rybami. Ale na to, żeby zwyczajnie zajął się gotowaniem, trzeba poczekać. Aż do zmartwychwstania. W niektórych małżeństwach podobnie – tylko wydarzenie takiego kalibru może sprawić, że mąż stanie przy garach. Żon zresztą też to dotyczy. W dzisiejszych czasach wszyscy są przytłoczeni ilością mrożonych gotowców, które zdają się mnożyć na sklepowych półkach.

Zmartwychwstały rozpala ognisko na brzegu jeziora, a gdy żaru jest już dość dużo, na drwach ponad nim układa rybę i chleb, pilnuje, żeby jedzenie się nie spaliło, a smakowicie przypiekło. Że co...? Że jak...? Zwyczajca śmierci, piekła i szatana uczy nas, jak urządzić zaimprovizowanego grilla? Ostatnie słowo Ewangelii to przepis na pieczoną tilapię z grzankami? Dramat Golgoty musiał się wydarzyć po to, żeby potem mogło dojść do beztróskiego pikniku na plaży? Zbawiciel zstąpił z nieba i wstąpił do piekieł, a potem, jak każda mamuśka, zagania dzieciaki do stołu: „Chodźcie, posilcie się”?!

Czytając kiedyś wywiad z Marguerite Duras, trafiłem na fragment, który rzuca światło na tę tajemnicę, niezgłębioną w swej prostocie: „Nigdy, przenigdy – powiada pisarka – człowiek nie powinien być zmuszony do tego, żeby gotować tylko dla siebie. To prosta droga na dno rozpacz. Trudno

nawet myśleć o sytuacji, w której człowiek musiałby przyrządzać ziemniaczki z patelni albo omlet po wietnamsku tylko i wyłącznie dla siebie. To byłoby nie do zniesienia. Jedzenie jest dla wszystkich, naprawdę dla wszystkich. Jak życie. Co innego literatura...”.

Zaproszenie na poczęstunek to przekaz konkretny, trafia do każdego. Nie mają takiej mocy słowa, w które ubieramy teorie, ani wizje artystyczne. Dowód na poparcie powyższej tezy mamy na każdym wernisażu. Kiedy goście oglądają dzieła sztuki, często dalecy są od zachwytu, ba, część z nich niezbyt gorliwie udaje jakiegokolwiek zainteresowanie. Wszyscy jednak ze zgodnym entuzjazmem sięgają po tartinki i kieliszki wina. Wystawa albo wykład przyciągnie zaledwie garstkę. Trafi do tych, którzy mają określone sympatie polityczne, preferencje estetyczne czy zainteresowania naukowe. Wokół stołu zgromadzą się wszyscy, tutaj nie trzeba żadnych kwalifikacji, wystarczy być głodnym. Tutaj spotkają się mądrale i głuptasy, staruszkowie i małolaty, królowie życia i nieboraki, niewiniątka i grzesznicy, błazny i ważne figury, ludzie sympatyczni, nieznośni... i nie tylko ludzie – także zwierzaki oraz Osoby Boskie. Kobieta kananejska słusznie zauważa, że „i szczenięta jedzą z okruszyn, które spadają ze stołów” (Mt 15,27). A Abraham, widząc Przed-

wiecznego, który pod postacią trzech mężów stanął na progu jego namiotu pod dębami Mamre, czuje, że chyba nie da rady zabawić Go błyskotliwą konwersacją, więc zamiast tego ugascza Go ciepłymi jeszcze podpłomykami, mlekiem, serem i świeżutką cielęcina. Dobrze jedzenie staje się nicią porozumienia pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Każdemu smakuje.

Przy stole gaduła zostaje zakneblowany krwistym stekiem, a niemota, żując taki sam stek, sprawia wrażenie filozofa. Piękna dziewczyna gryzie, a brzydulka staje się miłą towarzyszką biesiady. Doktor habilitowany krztusi się i rozpaczliwie kaszle, a człowiek umyślowo opóźniony gładko przełyka. Z największym namaszczeniem posila się niemowlę. Zdrajca i święty jedzą z tego samego półmiska: „Ten, który ze Mną rękę zanurza w misie, on Mnie zdradzi” (Mt 26,23). Przy stole wszyscy są równi, bardziej nawet, niż na łożu śmierci. Oto religia prawdziwie katolicka. Nie wymaga wyznawania konkretnej ideologii ani wyrażania się zgodnie z określoną frazeologią. Wystarczy, że wszyscy razem otworzymy szeroko gęby, gotowi, by nas nakarmiono.

Ja jestem Pan, twój Bóg,  
który cię wyprowadził z ziemi egipskiej;  
otwórz szeroko usta, abym je napełnił (Ps 81,11).

„KTO SPOŻYWA MOJE CIAŁO I KREW  
MOJĄ PIJE” (J 6,56)

Wyobraźmy sobie, że wyszedłszy z biura do najbliższego parku, żeby w miłych okolicznościach przyrody przegryźć coś na lunch, spotykamy kłoszarda. Możemy rzucić mu złotówkę albo dwie, kupując w ten sposób spokój sumienia i dobre mniemanie o sobie (warto zauważyć przy okazji, że to ów kłoszard właśnie jest w posiadaniu naszego spokojnego sumienia i dobrego mniemania o sobie, skoro kupujemy je od niego). Możemy nawet poświęcić parę minut na pogawędkę, racząc go garścią życiowych mądrości i udając, że słuchamy, kiedy do nas mówi. Najlepiej by było wyciągnąć kanapkę oraz flaszkę czerwonego wina i zaprosić go, by dzielił z nami posiłek. Dopiero wtedy mielibyśmy ze sobą naprawdę coś wspólnego. Siedzielibyśmy ramię w ramię, w bliskości wyraźnie odczuwalnej, i mogłoby się okazać, że gdy idzie o apetyt, wiele możemy się od niego nauczyć.

Siedzimy więc z tym człowiekiem ramię w ramię, dzielimy się chlebem i winem, ale... prze-wąchujemy, że to nadal jest o wiele za mało. Owszem, po chwili, skupieni na jedzeniu, zaczynamy naprawdę rozmawiać, jednak zaraz okazuje się, że pełna gęba znaczy dla nas więcej niż wymowny ję-



zyk. A gdyby można było połączyć te dwie rzeczy? Gdyby kromka chleba była zarazem prawdziwym Słowem, a nasz cienkusz – nowym winem Królestwa? A może odwrotnie – gdyby odwieczne pytanie filozofii: „Co to jest?” mogło stać się dostępne, podzielne i sycące jak chleb? (manna, którą jedli Izraelici na pustyni, od tego właśnie pytania bierze nazwę; po hebrajsku brzmi ono: *man hou?*).

W Emaus uczniowie rozpoznają Zmartwychwstałego po łamaniu chleba. Kiedy do nich dociera, kogo widzą, On po prostu znika. A oni zaczynają dostrzegać samych siebie. „Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?” (Łk 24,32). Ten fragment Ewangelii nie dlatego jest zdumiewający, że opowiada o tym, jak Jezus przyłączył się do uczniów idących do Emaus, a oni Go nie rozpoznali. Najdziwniejsze jest to, że oni samych siebie nie poznawali, kiedy ich serca stanęły w ogniu. Nie wystarczyła najbardziej trafna i błyskotliwa interpretacja Pisma. Potrzeba było, żeby Światło usiadło z uczniami przy stole, więcej – żeby stało się pokarmem. Czymś, co nie tylko pobudza umysł, ale przenika człowieka do głębi, dotyka najbardziej podstawowych życiowych procesów. „Prawo Twoje mieszka w moim wnętrzu” (Ps 40,9). Zmartwychwstały potrafi zniknąć jak gdyby rozplywał się w powietrzu, ale rów-

nocześnie staje się czymś konkretnym, dotykalnym i bliskim – powszednim chlebem. Słowo, które stało się ciałem, teraz jest pokarmem krzepiącym ciało. Może i znika sprzed ich oczu, ale za to pozwala się smakować. Nie objaśnia już, a odżywia.

Oto komunia, którą Jezus ustanawia, gdy dla wszystkich obficie zastawia Święty Stół. Rzecz nie dorównuje zawilścią duchowym naukom, ale przecież przewyższa je wszystkie (co oczywiście nie zmienia faktu, iż wyraża ją osobny dogmat).

PS do mojego proboszcza:

*Księżę proboszczu, mam nadzieję, że nie wyciągnie ksiądz z powyższego rozdziału nazbyt pochopnych wniosków dotyczących zmian w liturgii. Nie sugeruję bynajmniej, żeby upodobnić Eucharystię do zaimprovizowanej przekąski w gronie kumpli. Wręcz przeciwnie – chciałem powiedzieć, że moim zdaniem nawet przekąska w gronie kumpli powinna być okazją do dziękczynienia, tak naturalnego, jak samo jedzenie. Zaś nasz przewód pokarmowy – nawet jeśli nie funkcjonuje tak cicho i sprawnie jakbyśmy chcieli – czyż nie ma w sobie czegoś z różańca? Takiego różańca, który odmawia w nas samo życie. I który jest, w dosłownym znaczeniu, budujący.*



## VI

# JAK OZNAJMIA PISMO

*I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego. (...) Potem rzekł do nich: „To właśnie znaczyły słowa, które mówiłem do was, gdy byłem jeszcze z wami: Musi się wypełnić wszystko, co napisane jest o Mnie w Prawie Mojżesza, u Proroków i w Psalmach”. Wtedy oświecił ich umysły, aby rozumieli Pisma.*

Ewangelia według św. Łukasza 24,27.44–45

*[Bogacz, po śmierci cierpiący męki w płomieniu] rzekł: „Proszę cię więc, ojcze Abrahamie, pošlij Łazarza do domu mojego ojca! Mam bowiem pięciu braci: niech ich przestrzeże, żeby i oni nie przyszli na to miejsce męki”. Lecz Abraham odparł: „Mają Mojżesza i Proroków, niechże ich słuchają!”. „Nie, ojcze Abrahamie – odrzekł tamten – lecz gdyby kto z umarłych poszedł do nich, to się nawrócą”. Odpowiedział mu: „Jeśli Mojżesza i Proroków nie słuchają, to choćby kto z umarłych powstał, nie uwierzą”.*

Ewangelia według św. Łukasza 16,27–31





„A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara” (1 Kor 15,14). Takie zdanie napotykamy u św. Pawła. Kuriozalne. Testament z reguły działa na odwrotnej zasadzie – autor musi leżeć martwy, żeby treść nabrała ważności. Zresztą podobnie jest z całą literaturą. Aby dzieło zaczęło żyć, autor musi zniknąć. Możemy w spokoju poczytać go tylko wtedy, kiedy do nas nie gada. A dopiero gdy odejdzie z tego świata, jego dzieło wpisze się ostatecznie w dziedzictwo literatury. Kiedy autora już nie ma, pozostają tylko jego książki. Jego styl, idee, które chciał przekazać, postacie, które stworzył. Teraz dopiero możemy mieć używanie – pisać doktoraty na temat jego twórczości, prowadzić wykłady uniwersyteckie. Możemy doszukiwać się pokrewieństwa dusz, twierdzić, że „Balzak” i „Melville” rozumieją nas lepiej niż nasi bliscy. A pewnie, że rozumieją nas lepiej, wszak „Balzak” i „Melville” to tylko nazwiska na okładce, nie będą zadawać męczących pytań i na pewno nikomu nie powiedzą, że ostatnio widzieli nas dziesięć lat temu na pogrze-

bie stryjecznego dziadka, albo że kiedy z nami rozmawiają, nigdy nie mogą się połąpać, o czym gędzimy.

Gdybyśmy zapytali Catherine, co sądzi o Dickensie, byłaby zapewne oszczędna w zachwytach. Pan Charles zrobił jej dziesiątkę dzieciaków, a potem się z nią rozwiódł. My znamy Dickensa tylko przez pryzmat jego powieści, więc nic nam nie przeszkadza uważać, że był najzacniejszym człowiekiem pod słońcem. Podobnie z Sokratesem – jest naszym drogim przyjacielem, od kiedy wypił cykutę. Gdyby pojawił się przed nami we własnej osobie, kto wie, czy nie dołączylibyśmy do sędziów, którzy wydali na niego wyrok. Jeśli wierzyć św. Pawłowi, z Ewangelią rzecz ma się zupełnie inaczej niż z literaturą.

## PUSTA WIADOMOŚĆ I NIEWIDOCZNA OBECNOŚĆ

Osobisty kontakt z drugim człowiekiem bywa uciążliwy, czasami wstydlivy, a nawet – nie bójmy się tego słowa – nieco smrodliwy. Fizyczna obecność narzuca ograniczenia. Michel Houellebecq ujmuje rzecz następująco: „Nigdy w rozmowie nie zwierzamy

się tak całkowicie, jak wobec pustej kartki papieru, pisząc do nieznanego adresata”<sup>1</sup>. Przyjmując punkt widzenia czytelnika, należałoby pewnie powiedzieć, że nigdy w rozmowie nie jesteśmy otwarci na to, co ktoś chce nam przekazać, tak całkowicie, jak wobec kartki papieru zaczernionej pisaniną znanego autora. Niech jeszcze ten poeta czy mędrzec, za życia przeklęty, przeniesie się na tamten świat, a spłynie na niego błogosławieństwo. Przesłanie, z którym chciał trafić do ludzi, zacznie rozpowszechniać się o niebo lepiej, każdy czytelnik będzie mógł interpretować je tak, jak mu wygodnie. Poza tym, o wiele bardziej praktycznie jest mieć książkę w rękach, niż jej autora na głowie. (Proszę sobie wyobrazić, że zamiast niniejszej książeczki, na państwa nocnym stoliku tkwią ja, jej autor, we własnej osobie. Cóż, szybko dojdziemy do wniosku – wszyscy troje: mój czytelnik, ja i współmałżonek czytelnika – że taka sytuacja do najzręczniejszych nie należy).

Przypadek Biblii jest zupełnie nietypowy. Ogólna zasada, która dotyczy każdej książki, tutaj nie działa. Wiadomość jest pusta, przesłanie nie ma sensu, jeśli jego autor nie żyje, nie siedzi sobie na

---

<sup>1</sup> Michel Houellebecq, *Uległość*, przeł. B. Geppert, W.A.B., Warszawa 2015, s. 79.



naszym nocnym stoliku (albo raczej – nie czeka dyskretnie przed progiem, bo to Ktoś bardzo dobrze wychowany). Przesłanie o tym właśnie mówi, że On jest blisko, tuż za zasłoną widzialności:

Oto stoję u drzwi i kołaczę:  
jeśli kto posłyszyc mój głos i drzwi otworzy,  
wejdę do niego i będę z nim wieczerzał,  
a on ze Mną (Ap 3,20).

Skoro potrzebne jest przesłanie głoszące wieść, że jego autor zmartwychwstał, żyje i kołacze do naszych drzwi, to znaczy, że same tylko objawienia Zmartwychwstałego są z jakiegoś powodu niewystarczające. Abyśmy mogli w ogóle je dostrzec, potrzebujemy Pisma – jak okularów, które wyostrzają nasz wzrok. Święty Łukasz usiłuje wbić nam to do głowy, gdy opisuje wydarzenia *post resurrectionem*. Podczas obu spotkań uczniów ze Zmartwychwstałym, pierwszego w drodze do Emaus, drugiego w Wieczerniku, porządek wydarzeń jest symetryczny, a więc na pewno nie przypadkowy. Za pierwszym razem Jezus najpierw wyjaśnia uczniom Pismo, a potem siada z nimi do stołu. Za drugim razem najpierw siada do stołu, a potem objaśnia Pismo. Kilka rozdziałów wcześniej, w przypowieści o bogaczu i Łazarzu, Łukasz każe Abrahamo-

wi wypowiedzieć te mocno niepokojące słowa: „Jeśli Mojżesza i Proroków nie słuchają, to choćby kto z umarłych powstał, nie uwierzą” (Łk 16,31). To jakby negatyw wypowiedzi św. Pawła: „Jeśli przesłanie nie zostanie wysłuchane, próżne jest zmartwychwstanie”.

Gdyby pośrodku państwa salonu stanął nagle Jezus Chrystus, ale nie umieliby państwo ująć tego objawienia w monstrancję znajomości Pisma, poczynając od Mojżesza, Proroków i Psalmów, nie pojęlibyście sensu tego, co widzicie. Bylibyście przekonani, że macie przed sobą domokrażcę, który sprzedaje jakiś mocno egzotyczny towar, podróznika w czasie albo, nie przymierzając, Żyda Wiecznego Tułacza, ale na pewno nie rozpoznalibyście w Nim Mesjasza. Powiem więcej – jestem przekonany, że Jezus Chrystus już nie raz pojawił się u państwa w salonie, gdzieś pomiędzy kominem a skórzanym narożnikiem. A już na pewno był u państwa w jadalni. Problem w tym, że nie potrafiliście wykryć Jego obecności; mieliście po prostu za mało danych. Więc pozostał niezauważony. Nauczanie Pisma jest daremne, jeśli próbujemy przyswoić je sobie, abstrahując od realnej obecności Mesjasza. Natomiast obecność Mesjasza jest dla nas niewidoczna, jeśli nie patrzymy na nią przez pryzmat Pisma.

## NAJPIERW PRZODKOWIE, POTEM WNIEBOWSTĄPIENIE

Zmartwychwstanie bez całej Biblii w tle byłoby sentymentalną bzdurą, podobnie jak bożonarodzeniowy żłóbek bez rodowodu Jezusa. W stajence wzrusza nas dzieciątko, które Maryja piastuje, a Józef pielęgnuje. Urodził się synek – cóż za szczęśliwe wydarzenie, oto rodzinka nareszcie jest w komplecie. Żeby było jeszcze bardziej uroczo, towarzyszą im wiernie wołek i osiołek, choć tych ostatnich zastąpi wkrótce yoreczek i Internet. Stojąc przed pustym grobem, podziwiamy nowego człowieka, kogoś, kto zdołał się wyrwać ze szponów naszej wspólnej, ziemskiej kondycji. Oto wspaniały, wolny człowiek, który sam wyniósł się do chwały, jak prawdziwy *self made man*, lub – nie owijając dłużej w bawełnę – jak Antychryst.

Jak tak dalej pójdzie, miejsce Jezusa z Ewangelii zajmie niepostrzeżenie pan Bounderby z *Ciężkich czasów*, „który wydawał się balonem gotowym do lotu. Człek, który bez ustanku przechwalał się, iż wszystko sam sobie zawdzięcza”<sup>2</sup>. Ów „człowiek bogaty, bankier, kupiec, fabrykant” nie przyzna-

---

<sup>2</sup> Charles Dickens, *Ciężkie czasy*, przeł. A. Korzeniowski, Tower Press, Gdańsk 2001, s. 14.

je się do własnej matki, której każe żyć w ukryciu i trzymać się od niego z dala. Wszystko po to, by móc bezkarnie opowiadać, że jako noworodek został porzucony w rowie – chce bowiem uchodzić za kogoś, kto nikomu nie jest nic dłużny, a wydzwignął się z błota na wyżyny sukcesu wyłącznie dzięki własnej przemyślności i sile charakteru. Jeśli nazwiemy go skurwysynem, tylko się ucieszy. Określa się tak już od dawna, bo im bardziej poniży matkę, tym dobitniej wykaże, iż wszystko zawdzięcza sobie samemu. Oczywiście, że wierzy w zmartwychwstanie. Definiuje je jako samorekonstrukcję, wybicie się ponad historię. Wzrusza się też na widok bożonarodzeniowej szopki, bo widzi w niej samotnego chłopczyka leżącego na wiązce brudnej słomy i myśli o tym, że ten chłopczyk poradzi sobie sam, bez niczyjej pomocy. Ba, zyska nawet sławę.

Nic nie łechce naszej pychy równie rozkosznie jak tego typu naiwne obrazki, przedstawiające Boga, który stał się człowiekiem, ale nie zniżył się do tego, żeby stać się częścią ludzkiego rodu. Człowiek – to brzmi dumnie, ludzkie plemię – już nie tak bardzo. A przecież ziemskie życie Chrystusa wpisane jest w historię konkretnego plemienia. Żeby nie pozostawić nam złudzeń, św. Mateusz zaczyna spisywanie Ewangelii od rodowodu Jezusa (Mt 1,1–18), poczynając od Abrahama, aż do Józego-

fa. A gdybyśmy zaczęli fantazjować na temat zmartwychwstania będącego tryumfem jednostki, która wyrwa się z niewoli międzyludzkich więzi, odrzucając swoją kondycję i swoją historię, to św. Łukasz już w trzecim rozdziale swojej Ewangelii pokaże nam, że Jezus ma swoje bardzo konkretne miejsce w ludzkiej historii (Łk 3,23–38). Poczynając od Józefa, wylicza mężczyzn z Jego rodu, cofając się siedemdziesiąt siedem pokoleń wstecz, aż do Adama. Wywodzi więc pochodzenie Jezusa od Boga Stwórcy – tyle że nie idzie na skróty, a drogą genealogii. Skąd u ewangelistów tak imponująca wiedza historyczna? Od samego Jezusa. Zmartwychwstały jest rabbim – robi swoim uczniom gruntowną powtórkę z Pisma. Tłumaczy im, że nie przyszedł, by znieść, ale by wypełnić historię narodu wybranego.

## TEN, KTÓRY WYPEŁNIA I ODKUPUJE HISTORIĘ

Gdy ze związku pewnej pani z pewnym panem rodzi się dziecko, mamy do czynienia ze zjawiskiem o wiele bardziej cudownym i niezgłębionym, niż gdy ktoś wyskakuje z uda Zeusa. Weźmy pierwszego lepszego ptaszka, posadźmy go na gałęzi jego

własnego drzewa genealogicznego, a usłyszymy śpiew, w którym pobrzmiwa echo głębin czasu. Z Dionizosem sprawa jest prosta – nie należy do historii, bo to antyczny bóg, postać przezroczysta jak symbol, którym zresztą jest. Ale weźmy takiego Dionizego Mouillona, syna François'a Mouillona i Sandry z domu Adjaho. Ten Dionizy – to dopiero zagwozdzka. Nie jest jednowymiarowy, jak olimpijski bóg. Nie symbolizuje żadnego żywiołu ani ogólnej idei. To nie archetyp, tylko zwykły typek, a więc ktoś o wiele bardziej tajemniczy i niepojęty.

Szansa, że nasz Dionizy – człowiek najzwyczajniejszy w świecie – w ogóle się na tym świecie pojawi, była o wiele mniejsza niż szansa na trafienie szóstki w totolotka. Aby tak się stało, musieli się poznać – w sensie biblijnym – potomkowie dwóch rodzin. Pozornie prosta rzecz; rodzina ojca pochodzi z Burgundii, a rodzina matki z Beninu. Ale to przecież dopiero początek. By dojść do dnia, w którym komórki Dionizego zaczęły się dzielić, obydwa rody musiały przebyć bardzo długą drogę, pełną niebezpiecznych zakrętów i śmiertelnych pułapek. Nieostrzegalni i niezmordowani, przetrwali wszystkie epoki historyczne. Dwie wojny światowe, epokę kolonialną, rewolucję francuską, wspaniały *Grand Siècle*, królestwo Dahomeju, średniowiecze, antyczny Rzym, Galię, jaskinie, wygnanie

z raju, stworzenie świata... Wszystkie gatunki, które przekazywały sobie pałeczkę w procesie ewolucji, ludzie, którzy kiedyś, w pomroce dziejów, żyli i umierali, zostawiając po sobie dzieci, dzieci tych dzieci, wnuki i prawnuki, słowem – *T. rex*, człowiek z Tautavel, Joanna d’Arc, konferencja w Brazzaville, wszystko to miało sprawić, by dzisiaj mógł chodzić po ziemi niejaki Dionizy Mouillon.

Jego zwyczajne życie jest zwieńczeniem epepei nieporównanie bardziej obszernej i barwniejszej niż *Iliada*. Jego zwyczajne narodziny – efekt przypadkowych miłości i miłosnych przypadków – włączają go w sieć szerszą i bardziej wpływową niż *World Wide Web*. Gdyby nasz Dionizy był aniołem, który zstąpił z nieba, albo bogiem przebywającym chwilowo poza Olimpem, mielibyśmy przed sobą byt znacznie mniej zagadkowy – bo nie nosiłby w sobie zapisu niepojęcie cennej płataniny nici życia, wobec której chyba nawet Parki mogą stracić swoją boską stanowczość i poczuć się nieco zagubione.

Dionizy Mouillon jest kimś więcej niż celebrytą, więcej nawet niż prawdziwą sławą. Jest synem. Sławny muzyk, artysta, aktor czy sportowiec kojarzy się nam z jego własnymi wyjątkowymi dokonaniami – bestsellerowymi płytami, pobitymi rekordami czy otrzymanymi statuetkami Oscara. Syn to

ktoś, kto sprawia, że cofamy się myślą do początków ludzkości, bo dzisiaj on właśnie jest jej ukoronowaniem. Tak, Dionizy Mouillon, specjalista od logistyki w firmie M&M's, jest wypadkową i niejako żyrantem całej historii ludzi, którzy przyczynili się do jego przyjścia na świat. Jeśli stanie się człowiekiem po prostu dobrym, to jego przodkowie o pokręconych losach – ojciec alkoholik, babka wiedźma, prapradziad lichwiarz – wszyscy dostąpią, w pewnym szczególnym sensie, usprawiedliwienia.

„Po owocu bowiem poznaje się każde drzewo; nie zrywa się fig z ciernia ani z krzaka jeżyny nie zbiera się winogron” (Łk 6,44). Drzewa genealogiczne nie stanowią wyjątku od tej reguły. Jeśli na takim drzewie wyrośnie słodki i soczysty owoc, na przykład figa albo winne grono, to kolczasta płątina dawnych pokoleń nagle nabierze sensu. Drzewo zostanie odkupione przez owoc. Ludzki owoc ma szczególną moc – jest w stanie, dzięki łasce i swojej wolności, napełnić drzewo nowymi sokami, wyrastając ponad ograniczenia własnych korzeni. Oto jego chwała – i zarazem jego krzyż. Musi wziąć na ramiona gałąź, która go nosiła.

Każdy człowiek jest synem (lub córką). Każdy może więc wypełnić rolę mesjańską, nawet Dionizy Mouillon albo jego siostra Diana. Niewykluczone



zione, że w tym miejscu czytelnik zada sobie pytanie, czy przypadkiem nie robię z niego głupka. „Usiłował mi wmówić, że Jezus przyszedł do mnie do salonu, ba, że siedział przy moim stole, a nie rozpoznałem Go. Dobrze widzę, do czego zmierza autor tej książki. Zaraz oświadczy, że właściwie nie o Jezusa mu chodzi, tylko o jakiegoś Dionizego Mouillona albo innego, równie nudnego typka, którego ustawił na świeczniku, ukazując dzieje świata i ludzkości z kuriozalnej perspektywy. Jeszcze chwila, a się dowiem, że pierwszego lepszego frajera mam przyjąć jak Mesjasza, tylko dlatego, że jest czyimś synem. Albo i córką...” Cóż, ośmielę się zauważyć, że to akurat czytelnik już wie; takim wnioskiem zakończyło się przecież śledztwo pani detektyw Marii Magdaleny na tropie ciała Zmartwychwstałego. Tutaj ważne jest co innego – odkrycie prawidłowości, która pozwala lepiej dostrzec sens Wcielenia i Zmartwychwstania. Jak powiedzieliśmy, owoc może odkupić drzewo. Wystarczy, że na świat przyjdzie człowiek prosty i dobry, a cała historia zostanie usprawiedliwiona. Nie darmo na przyjście Sprawiedliwego czekano od wieków. I wreszcie pojawił się człowiek na tyle boski, by być po prostu dobrym. Przyszedł na świat w rodzinie, której przodkowie byli nie mniej specyficzni, niż w przypadku pochodzącej z kazirodczego

związku Antygony. To ród cudzołożnika Dawida, bałwochwalców Jorama i Achaza... Wywodzący się od Adama, pierwszego spośród grzeszników. Łaska, którą przyniósł Sprawiedliwy, rozlała się tak szeroko, że nawet Dionizy Mouillon, spec od logistyki, o ile zechce być prostytutką, może zostać współodpowiedzialnym za zbawienie.

## POZWÓLMY, BY CZYTAŁO NAS PISMO

Zmartwychwstały czyta Pismo – i wszystko, co odnosi się do Niego, staje się jasne. Nie mogłoby być inaczej, skoro jest On nie tylko od patriarchów czekanym Zbawicielem, ale też Słowem Boga. Biblia to Jego autobiografia – cała, co do jednego wersektu. Wszystko, co Pismo zawiera, mógłby opowiedzieć jako anegdotę, i dlatego „słowo Jego było pełne mocy” (Łk 4,32). Prawdziwa anegdota wcale nie musi być anegdotyczna. Anegdota opowiadana jest wtedy, kiedy opowiadający ma żywy, osobisty stosunek do relacjonowanego wydarzenia. Na przykład podróżnik, który szczęśliwie wrócił do domu i przy biesiadnym stole raczy gości opowieściami o swoich przeżyciach, opowiada anegdoty. A jego słuchaczom zapadają one w pamięć o wiele głę-

biej, niż gdyby przeczytali historię jego wyprawy na kartach najlepszej nawet powieści. Jeszcze raz stół okazuje się uprzywilejowanym miejscem międzyludzkiej komunikacji.

Mędracy, którzy patrzą na Biblię szkiełkiem i okiem, nie potrafią czytać jej w taki sposób. Nie dlatego, że zbyt mało przykładają się do jej czytania. Wręcz przeciwnie – czytają ją zbyt usilnie. Rozkładają na czynniki pierwsze, dopatrują się znaczeń ukrytych między wierszami, luki uzupełniają, czerpiąc wiedzę z odkryć archeologicznych, piszą obszerne dzieła na ten temat, analizują tak wnikliwie, że tracą z oczu rzeczywistość i puszczają mimo uszu ostrzeżenie, które św. Jan zapisał w swojej Ewangelii: „Jest ponadto wiele innych rzeczy, których Jezus dokonał, a które, gdyby je szczegółowo opisać, to sądzę, że cały świat nie pomieściłby ksiąg, które by trzeba napisać. (...) Te zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, i abyście wierząc mieli życie w imię Jego” (J 21,25; 20,31).

Wydaje nam się, że Pismo Święte to książka do czytania? To źle nam się wydaje. Pismo Święte jest czymś więcej niż lekturą – to klucz do szyfru. Żeby z niego prawidłowo skorzystać, trzeba przejść od interpretacji tekstu do odczytania sensu otaczającego nas świata. Od zadumy nad ponadczasową

mądrością do przekonania, że chodzi tu o coś, co dotyczy nas osobiście. Od lektury żywota Pana Jezusa Chrystusa do życia w imię Jego.

Gdybyśmy nie mieli w ręku klucza do szyfru, chwała Boża byłaby dla nas tylko hipnotycznym widowiskiem. Mało tego, nie mielibyśmy nawet pojęcia, co naprawdę znaczy słowo „Bóg”. Bylibyśmy przekonani, że najgorsze, co może zrobić człowiek, to „uznać się za Boga”, a przecież psalmista mówi:

Jesteście bogami  
i wszyscy – synami Najwyższego (Ps 82,6).

Tak naprawdę w aspirowaniu do bycia Bogiem nie ma niczego złego. Niebezpiecznie robi się dopiero wówczas, gdy nie mając klucza do szyfru, źle rozumiemy słowo „Bóg”. A kiedy już użyjemy klucza, okazuje się, że dramat polega raczej na tym, iż niewystarczająco serio uważamy się za bogów i mesjaszów – synów Najwyższego. Gdybyśmy starali się być jak Bóg, o którym mówi Pismo, bylibyśmy nieskorzy do gniewu i miłosierni. Kochalibyśmy każde stworzenie miłością, która przepuszcza przodem, daje wolność, pozwala wybrać wierność albo się zbuntować. A kiedy wydarzyłoby się to ostatnie, przebaczylibyśmy. Nie przestalibyśmy przebaczać, nawet gdy stworzenie przybiłoby nas do krzyża...

Nic tak nie uczy pokory, jak uznanie się za Boga.

Pismo Święte demaskuje nas – wcale nie chcemy być jako Bóg, wolimy czcić bożków, takich nie za dużych, ulepionych na miarę. Pismo pozwala zobaczyć, jak bardzo jesteśmy martwi. I jak bardzo potrzebujemy zmartwychwstania. Jest niczym reflektor, który nagle zwraca się ku nam i wydobywa nasze serca z sennego mroku. Doświadczenie to nie jest dla nas miłe ani pochlebne. Można by je porównać chyba do sytuacji, gdy zaglądamy w lustro, spodziewając się ujrzeć tam chłopca jak malowanie, a widzimy gnijącego trupa. Wolimy oszczędzić sobie takich przeżyć, nie pozwalamy więc, żeby Pismo nas odczytało. Skupiamy się na lekturze. Im bardziej naukowe jest nasze podejście, tym lepiej. Naświetlamy, wyjaśniamy, byle tylko samemu nie dostać się w krąg światła. Formułujemy obiektywne sądy, byle tylko nie zostać osądzonym. I żeby nie widzieć belki we własnym oku, gotowi jesteśmy świadczyć porady okulistyczne.

## VII

# DZIEŃ DOBRY I PRZEPRASZAM

*Wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, tam gdzie przebywali uczniowie, gdy drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami, przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: „Pokój wam!”. A to powiedziawszy, pokazał im ręce i bok. Uradowali się zatem uczniowie, ujrzawszy Pana. A Jezus znowu rzekł do nich: „Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”. Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane”.*

Ewangelia według św. Jana 20,19–23





Zmartwychwstanie Chrystusa nie ma nic wspólnego z ożywieniem umarłaka. Gdyby taka procedura była medycznie możliwa, okazałoby się, że zmartwychwstanie jest jej absolutnym przeciwieństwem, bardziej nawet, niż jest przeciwieństwem śmierci. Wyobraźmy sobie następującą sytuację: przychodzi facet do lekarza i umiera. Choć pacjent jest całkowicie i jednoznacznie martwy, lekarz go ożywia. Umarły siada i otwiera oczy, zdrowy jak ryba. Ale że nie posiada rybiego instynktu, który poprowadziłby go pewnie przez życiowe wiry, wyskakuje z nieco kłopotliwym pytaniem:

– Panie doktorze, co mam teraz zrobić z moim życiem? Komu albo czemu je poświęcić? Skoro zdecydował pan, że mam odbyć drugą rundę, musiał pan mieć jakiś powód. Dotąd niespecjalnie się nad tym wszystkim zastanawiałem, urodziłem się, to po prostu żyłem. Teraz jest inaczej. Pan sprawił, że jeszcze dycham, więc proszę mi wytłumaczyć, co mam dalej robić.

Lekarz, zbity z pantafyku, radzi pacjentowi, żeby ten położył się i odpoczął:



– W pana stanie wszelkie pobudzenie nerwowe jest niewskazane. Do jutra potrzymam pana na obserwacji, proszę porządnie się dziś wyspać, rano z pewnością poczuje się pan lepiej.

To powiedziawszy, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku opuszcza pokój byłego umarlaka. Ten widząc, że odpowiedzi się nie doczeka, co prędzej wiesza się na pasku od szlafroka. Za jakiś czas lekarz wraca i znajduje faceta martwego. Oczywiście natychmiast odcina go ze stryczka, przewozi na salę reanimacyjną i na powrót ożywia, po czym z miejsca zaczyna robić mu wygawor:

– Drogi panie, jak tak można? Toż to ewidentny brak szacunku dla nauki i jej dobrodziejstw!

– Proszę o wybaczenie – wpada mu w słowo dwukrotnie ożywiony trup – ale czy pańska nauka, która zafundowała mi bonus w postaci dodatkowego życia, nie mogłaby dorzucić jeszcze odpowiedzi na pytanie o jego sens? Przykro mi, ale muszę nalegać, a właśnie zdałem sobie sprawę, że jako były nieboszczyk jestem o wiele bardziej uparty, niż byłem za pierwszego życia. Albo istnieje jakiś sens, dla którego warto żyć, albo tego sensu nie ma i wtedy mogę równie dobrze ze sobą skończyć.

– Ależ szanowny panie – lekarz na to – nauka ofiarowuje nam nieśmiertelność. Czyż nie jest to wielkie dobro?

– A co dokładnie chciałby pan unieśmiertelnić? Własną głupotę? Cóż, to zrozumiałe, dopiero to uczyni pana nieskończenie głupim...

Nie ma sensu dłużej ciągnąć tej opowieści. Każdy już się domyśla, jaka będzie puenta. Lekarz zdzierżyć nie może tego nagabywania, w końcu czuje, że miarka się przebrała. Człowieka, którego dwukrotnie przywrócił do życia, własnoręcznie poddaje eutanazji. Nonsens? Niestety, nie. Poszukiwanie nieśmiertelności i praktyka eutanazji rządzą się tą samą logiką. Celem jest osiągnięcie całkowitej kontroli nad życiem. Ale w momencie, kiedy postawi się pytanie o sens przedłużania życia w nieskończoność, technonauka okazuje się bezradna, bo jej metodologia z założenia wyklucza wszelką metafizykę. Dlatego bez wahania może zastosować drugie rozwiązanie. Nauka nie ma problemu z wyeliminowaniem człowieka, któremu swoją mocą dała życie.

Zauważmy, że w naszej dydaktyczno-moralizatorskiej bajeczce ofiara medycznego ożywiania zachowuje się grzecznie i miło. Z łatwością jednak można sobie wyobrazić kogoś, kto w podobnej sytuacji byłby o wiele mniej grzeczny, ba, rozpętałby istne piekło. Myślę, że najmniej powściągliwie zachowaliby się święci. I mieliby ku temu powody. Wyobraźmy sobie: dobry doktor swoją ingerencją spr-

wia, że muszą odwołać swoje: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tm 4,7). Zamiast dostąpić wiecznej szczęśliwości, zostają odesłani na linię startu i znów muszą przebierać kulasami, ryzykując, że tym razem nie dotrą szczęśliwie do mety, tylko pobłądzą i odrzucą łaskę *in extremis*. Trudno się dziwić ich niezadowoleniu. Dlatego ożywianie zmarłych powinno się zostawić Bogu; On już sobie poradzi z ewentualnymi zażaleniami. Jezus wskrzesza syna wdowy, córkę Jaira (i oczywiście poleca, żeby dziewczynce zaraz dano coś do zjedzenia). Wskrzesza też swojego przyjaciela Łazarza. Pozwala sobie na nietakt, jakim jest naruszenie prywatnej strefy czyjejś śmierci. Ale On, w odróżnieniu od medycyny, daje ożywionemu możliwość, by następnym razem umarł za coś, co jest tego naprawdę warte. Gdyby nasz dobry doktor ożywił świętego, ten nie dość, że powiedziałby bez ogródek, co sądzi o tak niefrasobliwym postępowaniu, to jeszcze zacząłby wzywać lekarza do męczeństwa.

Oto sedno sprawy. Nie nieśmiertelność jest cenna, a oddanie życia. Nie ożywianie umarłego, a przebudzenie żyjącego. Jeśli człowiek nie ma w sobie zwyczajnej radości życia, nie będzie szczęśliwy, kiedy go ożywią. Może najwyżej powracać kolejny raz na ten padół łez z ponurym uporem zombie. Zwyczajnej radości życia brakuje, gdy człowiek nie ma czemu

swojego życia poświęcić (bo życie z założenia jest płodne). Zmartwychwstały nie przychodzi po to, żeby reanimować nas na siłę, czy ktoś chce, czy nie. Przychodzi, żebyśmy mogli przystąpić do sakramentu, który odradza nas już teraz, od wewnątrz. Niczego nie narzuca, ale daje nowy oddech, nasycą dobrem nasze życie, sprawia, że zaczynają w nas krążyć żywotne soki. Napełnia nas nadzwyczajną mocą, której potrzebujemy każdego dnia w naszym zwyczajnym życiu. To moc dawania i przebaczenia. Moc, która sprawia, że nie koncentrujemy wysiłków na tym, by za wszelką cenę zachować nasze własne, króciutkie, żałośniutkie życie, ale z hojnością pozwalamy, żeby przepływała przez nas potężna jego rzeka. Przyjmujemy i dajemy tak wiele, że przerasta nas to, podobnie jak drzewo, w którego gałęziach gnieźdzą się ptaki niebieskie, przerasta ziarnko gorczycy (piszę te słowa z myślą o Tobie, kochana żono).

## PRZECIW POBOŻNEMU ROZDWOJENIU JAŻNI

Wieczorem pierwszego dnia tygodnia Jezus stanął pośród uczniów zamkniętych w Wieczerniku. Nie – powtórzmy to raz jeszcze – nie przeszedł na

ich oczach przez ścianę, tylko nagle spostrzegli, że przyszedł i jest, choć drzwi pozostawały cały czas zaryglowane; nawiasem mówiąc, taka sztuczka udaje się też nielegalnym imigrantom. Staął pośród nich – a więc można podejrzewać, że po prostu był tu cały czas – i zaczął od słów „pokój wam!”.

Uduchowiony egzegeta przywoła w tym miejscu obraz niebiańskiego pokoju, zstępującego z wysokości niczym gołębicą, i roztoczy tak górnolotne wizje, że poczujemy się bezradni, zbyt przybici ziemskimi troskami, żeby śledzić jego wywód. Akurat bierze nas grypa i paskudnie łamie w kościach, dostaliśmy nieprzyjemną wiadomość z urzędu skarbowego, jesteśmy w nerwach, bo nasi piłkarze właśnie walczą o wejście do ćwierćfinału mistrzostw świata, albo z sercem w gardle śledzimy doniesienia o groźbie kolejnego ataku terrorystycznego... Jak w takich warunkach dać się porwać uniesieniu? Dopada nas rozdwojenie jaźni tak typowe dla ludzi wierzących. Nad głową złociste obłoki, pod nogami trzęsawisko. A pośrodku my, dobrzy chrześcijanie, miotani w górę i w dół jak pajace na sprężynie. Jezus chce nam tego oszczędzić. Mówiąc uczniom to, co im powiedział, nie zamierzał wprowadzić podziału między błogostanem nieba a nerwową bieganiną na ziemi. Wystarczy wpisać Jego słowa w kontekst. „Pokój wam!” to po hebrajsku *shalom alejchem*, czyli najzwyczajniejsze, codzienne powitanie.

Rzecz zdumiewająca – Mesjasz stał się człowiekiem, został wydany na śmierć i ukrzyżowany, zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał... Można by oczekiwać, że ta Boża epopeja zostanie spuentowana jakimś wykwitem olśniewającej, nadludzkiej mądrości, przyniesionej nam, maluczkim, z wysokości niebios i dna otchłani. Nic z tego. Zmartwychwstały przychodzi i... słyszymy coś, co potrafi powiedzieć każde dziecko, nawet takie z wadami rozwojowymi. Zwyczajne „dzień dobry”.

#### UZDROWIENIE: POWIEDZIEĆ „DZIEŃ DOBRY” TAK, ŻEBY TO BYŁA PRAWDA

Od dawna noszę się z zamiarem napisania opowiadania o facecie, który przestał mówić, bo się bał, że skłamię. Jego lęk nie dotyczył formułowania ryzykownych teorii, ale zwyczajnych, codziennych sytuacji. Kiedy ktoś go woła, nie ośmiela się odpowiedzieć „jestem!”, bo zdaje sobie sprawę, że nie potrafi skupić się w stu procentach na swoim tu i teraz. Kiedy proszą, żeby się przedstawił, również milczy. Mógłby podać swoje dane osobowe, jak zapisano je w dokumencie tożsamości, ale przecież wie dobrze, że te zbitki liter nie oddają w pełni tego, kim jest. Odpo-

wiednie służby, nie zaprzatając sobie głowy podobnymi skrupułami, raz-dwa wsadzają go do więzienia – bo kiedy był przesłuchiwany w związku z morderstwem pani Malinowskiej, leciwej sąsiadki, nie zrobił niczego, żeby udowodnić swoją niewinność. (Nie mógłby uczciwie powiedzieć, że jest niewinny. Pamięta aż za dobrze, że nie zawsze myślał o niej z najlepszymi intencjami i nie zawsze pomagał jej, wkładając w to całe serce).

Filozofowie nazwą go sceptykiem, ale tak naprawdę człowiek ten jest entuzjastą języka. Fascynuje go każde słowo; widzi w nim nośnik absolutnego sensu. Gdy słońce świeci, a przed nim na talerzu stoją smakowicie przyrządzone naleśniki ze szpinakiem, chciałby powiedzieć: „Ależ jest pięknie. A te naleśniki są doskonałe!”. Hamuje się jednak. Kim jest, żeby wygłaszać tak kategoryczne sądy? Wszak słońce świeci także na biednego kalekę, który zebrze na chodniku nieopodal, i na tylu innych nieszczęśliwych ludzi... Więc jak można mówić, że „jest pięknie”? Co zaś do naleśników – są to po prostu krążki usmażonego ciasta, trudno przypisywać im doskonałość. Nawet nie wiadomo, czy szpinak, z którego zrobiono nadzienie, jest z ekologicznej uprawy i czy dodane do niego jaja pochodzą od kur z wolnego wybiegu. Nie, stanowczo, tych naleśników nie godzi się nazwać „doskonałymi”.

Pewnego dnia nasz bohater spotyka młodą dziewczynę i na dobre zapomina języka w gębie. Bardzo pragnie wyznać dziewczynie miłość, ale milczy. Jak mógłby powiedzieć „kocham cię”? Owszem, marzy o tym, ale wie, że byłby to szczyt kłamstwa. Któż jest zdolny do absolutnej miłości? Nie ośmiela się nawet powiedzieć jej „dzień dobry”. Też by skłamał, bo przecież żadnego dnia nie można nazwać naprawdę dobrym; najpierw ze świata musiałyby zniknąć wszelkie zło. Nasz bohater nie jest chrześcijaninem, ale w chwili nudy, sam nie wiedząc czemu, wchodzi do kościoła. Trafia na ten moment podczas mszy świętej, kiedy wierni wypowiadają modlitwę: „Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”. Z ledwością tłumi okrzyk ekscytacji. To jest to! Zawsze przeczuwał, że wystarczy jedno słowo – jedno doskonale prawdziwe słowo – żeby dokonało się przepotężne uzdrowienie wszystkich dusz.

## NADPRZYRODZONY I CODZIENNY

Czy godzi się mówić „dzień dobry”? Zło przecież już się stało, a co się stało, to się nie odstanie. Zło rozpełza się niczym smog, coraz szerzej, gasząc jasność dnia. Sprawcę prześladowają wyrzuty sumienia,



ofiara pała żądzą odwetu, i tak dalej, bez końca... nieodwracalnie. Tego nie da się tak po prostu odwołać, zlikwidować, posprzątać. Czy można więc marzyć, by ten duszący, śmiertelny ciężar przemienił się w energię życia? Bez Boga to niemożliwe. Tylko On jest władny wyzerować liczniki, zmasać dłużny zapis. Czyli, inaczej mówiąc – porozrzucić monety bankierów, a stoły powywracać (por. J 2,15). Ta nadprzyrodzona ingerencja jest konieczna, żeby mogło się toczyć najzwyczajniejsze życie. Każdy z nas, jeśli chce, by kolejny poranek był początkiem naprawdę nowego dnia, musi wyrzucić na cztery wiatry wszystkie żale, które tak starannie kolekcjonował, skruszyć mur zapiekłej nienawiści, który w takim skupieniu budował, wyrzucić za okno cały kapitał goryczy, który pieczołowicie gromadził. Zapomnieć o pretensjach wobec innych, ale też wobec siebie. Jeśli nie wybaczymy – innym i sobie – to owszem, wygrzebiemy się z wyrka i, jak co dzień, będziemy brnąć przez życie, ale nasze „dzień dobry” nie będzie szczerze.

Bez zbawienia nie ma „dzień dobry”. Bo prawdziwe „dzień dobry” idzie w parze z przebaczeniem. Żeby najzwyczajniejsze powitanie mogło wybrzmieć szczerze, potrzebne jest drugie tchnienie życia, bardziej pierwotne od pierwotnego. Potrzebny jest Duch, który sprawia, że możemy być

jedno pomimo różnic, także – różnic zdań, a nawet – rękoczynów. Potrzebna jest moc przebaczenia potężniejsza niż przekleństwo, zdolna przewyciężyć nawet zmęczenie.

Zmartwychwstały powiedział *szalom* i tchnął na apostołów. Zupełnie jak Stwórca, który „ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia” (Rdz 2,7). To oczywiście nie przypadek, lecz chwila, w której dokonuje się nowe stworzenie. A pierwszym prezentem urodzinowym, jaki dostaje nowy człowiek, jest moc odpuszczania grzechów – rzecz tak zaskakująca i genialna w swojej prostocie, jak nowy dzień. Zostaliśmy uzdolnieni do przebaczenia. To pocieszające i przerażające zarazem.

Bo skoro mamy przebaczać, to znaczy, że będziemy też grzeszyć. Z jednej strony, nic nie jest stracone na zawsze, wszystko może zostać odpuszczone. Na każdego grzesznika, który chce przyjąć przebaczenie, czeka kolejna szansa. Z drugiej strony, nic nie jest raz na zawsze zapewnione. Każdemu grozi recydywa, a nawet gorzej – każdy może odrzucić przebaczenie, upierając się, by jego grzech został zatrzymany (por. J 20,23). Żyjąc w Duchu, możemy wbrew nadziei uwierzyć nadziei (por. Rz 4,18), ale musimy też czuwać wbrew złudnemu poczuciu bezpieczeństwa. Otwiera się przed nami wspaniała

perspektywa, ale nie ma gwarancji, że dotrzemy do celu. Tętni w nas życie Boże; dzięki temu możemy po prostu żyć jak ludzie. I nie mówić „dzień dobry” nadaremno.

## PRAWDA POTRZEBUJE PRZEBACZENIA

Mam niejaki doświadczenie w życiu rodzinnym. Nauczyło mnie ono, że przebaczenia najbardziej potrzebujemy nie po to, żeby pojednać się z wrogami, ale żeby żyć na co dzień z najbliższymi. Wzniosła scena pojednania, kiedy wyciągam dłoń do zagorzałego przeciwnika, to dla mojego ego chwila prawdziwej rozkoszy. Do tego gestu może pchnąć mnie nie miłosierdzie, lecz pycha. Ale gdy trzeba mi spuścić z tonu i pogodzić się z własną rodziną, żadna to dla mnie chwala. Gdy w gronie najbliższych porzucamy gniewy i spory, przebaczamy i prosimy o przebaczenie, nie robimy tego dla poklasku, ale z czystego miłosierdzia. Ta chwila raczej zmusza nas do pokory, niż daje okazję do unoszenia się pychą. Żaden wielki bohater nie nabohaterzy się tyle, co zwyczajny mąż i ojciec. Ten pierwszy czuje się wielki, kiedy staje do boju ze złym olbrzymem. Ten drugi czuje się tylko zgnębiony,

kiedy bezskutecznie usiłuje opanować atak złości swojej małej córeczki. Jeśli bohater przekona olbrzyma, by ten wypalił z nim fajkę pokoju, wszystkie gazety w kraju, ba, na kontynencie, opiszą to jako sensację. O sukcesie ojca, któremu udało się nakłonić córeczkę, żeby przestała wydawać mroźną krew w żyłach wrzaski i spokojnie zjadła śniadanie, nikt się nie zająknie...

To nie koniec niebezpieczeństw, które kryją się w domu rodzinnym. Jeśli padniemy ofiarą zbrodni doskonałej, sprawcami będą z największym prawdopodobieństwem ukochani najbliżsi. Nie dlatego, że to geniusze zła. Po prostu mieszkamy wszyscy pod jednym dachem. Nawet jeśli mój dom jest moją twierdzą, oni są wewnątrz murów. Atakują znienacka, kiedy, po długim dniu, z westchnieniem ulgi wtulam głowę w poduszkę. Albo nad ranem, gdy chciałbym pospać jeszcze przynajmniej godzinę. W miejscu publicznym każdy dba o pozory, w domowym zaciszu maski opadają. Na progu łazienki albo przy kuchennym stole prędzej czy później dojdzie do zderzenia, bo komuś puściły hamulce, a ktoś się zagapił. W rodzinie wybuchają awantury bardziej widowiskowe niż podczas politycznych debat. Wrzeszczymy na siebie uczciwie i szczerze. Dajemy z siebie wszystko. A im bardziej się kochamy, tym głębiej potrafimy się zranić.

Tylko cios zadany przez bliskiego człowieka może dosięgnąć serca, nawet nie drasnąwszy skóry, nie pozostawiając żadnego śladu widocznego dla postronnego obserwatora.

Chrześcijanie są być może najgorsi ze wszystkich. Kiedy do oczu skaczą sobie barbarzyńcy, uważamy, że to poniekąd normalne. Kiedy robią to nieznajomi, uważamy, żeby nie podchodzić zbyt blisko. Ale jaką strategię przyjąć wobec braci w wierze? (Już św. Piotr przeczuwał, że nie będzie lekko, kiedy pytał Jezusa: „Panie, ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat wykroczy przeciwko mnie?”, Mt 18,21). Prawimy sobie nawzajem kazania. Wytykamy braciom, że nie są wcale tacy święci. Czasem robimy to do tego stopnia skutecznie, że ten, którego usiłujemy naprowadzić na dobrą drogę, może zwątpić i oddać swoją świętość walkowerem.

Im więcej jest prawdy, tym mniej prostego samozadowolenia. Na szczęście, możemy przebaczać. I trzeba koniecznie to robić – siedem razy po siedemdziesiąt siedem razy, albo jeszcze więcej. Chrystus ostrzegął, że Jego światło nie przyniesie rodzinom błógiego spokoju; wręcz przeciwnie – będą narażone na dramatyczne konflikty, przed którymi dotąd chronił je mrok: „Nie sądzicie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przysze-

dłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową; i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy” (Mt 10,34–36). Jak żyć w takim galimatiasie, wśród ciągłych tarć, spięć i wybuchów? Jest tylko jeden sposób – przebaczać. Coraz więcej, coraz chętniej, coraz serdeczniej.

Kiedy zdobywam się na romantyczny gest, chcąc okazać mojej ukochanej żonie czułość i oddanie, ona niezawodnie uznaje, że to najlepszy moment, by sobie ulżyć, wyrzucając z siebie wszystkie żale i pretensje, które ciążą jej na duszy. Czuje, że musi to zrobić, zanim będzie mogła odpowiedzieć czułością na moją czułość. Wiem, oczywiście, że ma do tego prawo. Rozumiem nawet, że w ten sposób okazuje mi wielkie zaufanie. Ale tak czy inaczej, kiedy ja podaję jej bukiet róż, ona wylewa na mnie wiadro pomyj. Owszem, zdaję sobie sprawę, że pomyje są moje własne, jednak niewiele to pomaga, kiedy tak stoję z bukietem nie pierwszej już świeżości. Ochota, by obsypać żonę kwiatami, mija jak ręką odjął. Nagle chciałbym być gdzieś daleko, marzy mi się, że wolny jak ptak jadę konno gościńcem, gdy wtem piękna nieznajoma wzywa mnie, bym wybawił ją z rąk zbójów. Zbójce są straszni i uzbrojeni po zęby, ale wystarczy, że zmierzę ich lodowatym spojrzeniem, nieznacznie marszcząc brwi, a uciekają w podskokach. Wtedy piękna nieznajo-

ma... Przywołuję się do rzeczywistości. Rycerz jest najbardziej rycerski nie wtedy, kiedy szarżuje na wrogów i walczy ze smokiem w obronie damy, ale potem, w drugiej części historii. Kiedy z tą damą żyje. Długo. Baśnie jakoś nigdy nie podają pikantnych szczegółów. Ot, pobrali się, mieli dużo dzieci. Ani słowa o tym, że bywają dni, kiedy piękna przypomina do złudzenia okropnego zbója... A przecież kobieta mojego życia musi stać się kobietą mojej śmierci, zanim będzie mogła być kobietą mojego zmartwychwstania. Dzisiaj więc mam jej przebaczyć to, że mnie dręczy, wymagając, bym poprosił ją o przebaczenie. W drugiej części historii, kiedy nieznajoma nie jest już nieznajomą, nie wystarczą piękne fasady. Bo teraz pokazujemy sobie więcej, dzielimy więcej. Nasze piwnice, mroczne zakamarki, najgłębsze, ciemne lochy. Ktoś powie, że wytrząsam się nad jakimś głupstwem, drobiazgiem niewartym wspomnienia. Może istotnie to drobiazg, ale ma on wartość strategiczną. Tylko wierność w drobnych, codziennych rzeczach może uchronić mnie przed klęską w dniu, kiedy zostanę poddany naprawdę ciężkiej próbie.

## VIII

# PODNIĘŚ RĘKĘ I WŁÓŻ JĄ DO MEGO BOKU

*Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: „Widzieliśmy Pana!”. Ale on rzekł do nich: „Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę”. A po ośmiu dniach, kiedy uczniowie Jego byli znowu wewnątrz [domu] i Tomasz z nimi, Jezus przyszedł mimo drzwi zamkniętych, stanął pośrodku i rzekł: „Pokój wam!”. Następnie rzekł do Tomasza: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włóż [ją] do mego boku, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym!”. Tomasz Mu odpowiedział: „Pan mój i Bóg mój!”. Powiedział mu Jezus: „Uwierzyłeś dlatego, ponieważ Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.*

Ewangelia według św. Jana 20,24–29







W poprzednim odcinku Jezus tchnął na apostołów. Ale nie na dwunastu. Było ich wtedy tylko dziesięciu, bo Judasz się powiesił, a Tomasz gdzieś wybył.

Dziesięć to bardzo porządna liczba, z pięknymi tradycjami. W efekcie długich negocjacji z Bogiem Abrahamowi udaje się uzyskać obietnicę, że Sodomma nie zostanie zniszczona, jeśli znajdzie się tam dziesięciu sprawiedliwych (por. Rdz 18,32). Dziesięciu było ludzi ze służby Gedeona, którzy na jego rozkaz zburzyli ołtarz Baala (por. Sdz 6,27). Mamy też oczywiście dziesięć przykazań i dziesięć palców u rąk. A jednak, pomimo wszelkich zalet dziesiątki – prosta symbolika, wysoka pozycja w systemie dziesiętnym – trzeba będzie przywrócić dwunastkę. Apostołów musi być właśnie tylu; to sprawa bezdyskusyjna. Od św. Łukasza dowiadujemy się, że zanim nadeszła Pięćdziesiątnica, na miejsce Judasza wybrano Macieja (Dz 1,15–26). Święty Jan opisuje powrót Tomasza, w następną niedzielę po tym, jak uczniowie otrzymali od Zmartwychwstałego dar Ducha. W Apokalipsie przedsta-

wi Niebieskie Jeruzalem jako miasto osadzone na dwunastu warstwach fundamentu, o dwunastu bramach w wysokim murze na pamiątkę dwunastu pokoleń Izraela, czyli plemion pochodzących od dwunastu synów Jakuba. Oto jasna deklaracja, że Kościół nie odcina się, a kontynuuje historię narodu wybranego. Kościół nie jest wyłęgarnią klonów. Jest najdziwniejszą pod słońcem zbieraniną przeróżnych ludzi, z których każdyznaczony jest własną, jedyną w swoim rodzaju historią.

### JESTEM JAK ŚWIĘTY TOMASZ...

Tomasz nie stawiał się na zbiórkę, gdy Zmartwychwstały po raz pierwszy odwiedził uczniów w Wieczerniku. Zawalił. Na całej linii. Nie otrzymał Ducha Świętego (a to jeszcze bardziej niefortunne, niż gdyby rozminął się ze swoim życiem albo poślubił stracha na wróble zamiast własnej narzeczonej). Nie dość na tym – a może właśnie ze względu na to – za nic nie chce uwierzyć kolegom, gdy ci mówią mu, że widzieli Jezusa. A przecież przekonuje go dziesięciu. Nawet prawo nie wymaga aż tylu świadków, by przyjąć świadectwo jako wiarygodne.

Więcej nie trzeba, żeby uznać go za największego pechowca i uparciucha epoki. Ale jemu jeszcze mało; chciałby też zapisać się w historii jako mistrz arogancji. I rzeczywiście, stawia poprzeczkę tak wysoko, że nikt nie jest w stanie mu dorównać, nawet zadufki, które ukują durne powiedzonko: „Jestem jak Święty Tomasz, który spóźnił się na wieczerzę. Jeśli czegoś nie widzę, to w to nie wierzę”. Cóż, ci aspirujący sceptycy Tomaszowi nie dorastają do pięt. Żeby móc się z nim równać, musieliby mieć dość brawury, żeby oświadczyć: „Jestem jak Święty Tomasz i nie wstydzę się wcale, że wierzę tylko w to, w co włożę palec”. Jakże bolesna mogłaby się okazać wiara w istnienie framugi i skrzydła drzwi! A gdyby chcieli uwierzyć w istnienie własnego szefa, znaleźliby się w bardzo, ale to bardzo niezręcznej sytuacji, która prawdopodobnie skończyłaby się rozwiązaniem umowy o pracę ze skutkiem natychmiastowym. Święty Tomasz wydaje się bezkonkurencyjny. Zamierza wepchnąć swój paluch nie gdzie indziej, a w otwory pozostawione przez gwoździe, które miażdżyły i rozrywały ciało Jezusa, gdy je wbijano, a potem trzymały Jego ciężar, gdy konał, wisząc na krzyżu. Mało tego, chciałby wsadzić rękę w ranę, którą pozostawiła włócznia, kiedy setnik przebił pierś skazańca oszczędnym, zabójczo skutecznym gestem, zdradzającym nie tyle okru-

cieństwo, co beznamiętną, wieloletnią wprawę. Widocznie Tomasz jest nie tylko mistrzem arogancji, ale też wielkim amatorem horroru. Jego naśladowcy powinni więc mówić: „Jestem jak Święty Tomasz i tak mam, że wierzę tylko w to, czego dotknę ran”.

### POSTRZELONY

Przede wszystkim – dlaczego Tomasz, który miał przezwisko Didymos, czyli „bliźniak”, zwiął z Wieczernika i nie było go podczas pierwszego spotkania ze Zmartwychwstałym? To nie są niewinne wagary, które kosztowałyby go najwyżej utratę odznaki wzorowego ucznia. Jego nieobecność stawia go w jednym szeregu ze zdrajcą, który się powiesił. Nie ma Tomasza, nie ma Judasza. Zupełnie, jakby byli bliźniaczymi braćmi. Wiemy, dlaczego Judasz nie stał się na zbiórkę – nie mógł, bo się zabił. Ale dlaczego nie ma Tomasza? Czyż nie dlatego, że i on pragnie śmierci?

To nie jest teoryjka wyszana z palca, ale coś, co można sprawdzić. Wystarczy wrócić do wcześniejszych fragmentów Ewangelii według św. Jana, w których spotykamy Tomasza. Po raz pierwszy – gdy Jezus postanawia pójść do Judei, bo dowiedział

się o śmierci swojego przyjaciela Łazarza. Wiadomo, że grozi Mu tam śmierć, tak samo jak każdemu, kto jest z Nim powiązany. Nic więc dziwnego, że uczniowie zapierają się czterema łapami. Wszyscy usiłują przemówić Mistrzowi do rozsądku, tylko nie Tomasz. „Chodźmy także i my, aby razem z Nim umrzeć!” (J 11,16) – wykrzykuje. Facet jest z całą pewnością postrzelony. Wystarczająco szurnięty, żeby pójść za Jezusem, dokądkolwiek będzie trzeba. Nawet donikąd.

Podczas ostatniej wieczerzy to on właśnie wyskakuje z pytaniem: „Panie, nie wiemy, dokąd idziesz. Jak więc możemy znać drogę?”. I słyszy w odpowiedzi: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem” (J 14,5–6). Czy może nas dziwić, że człowiek, do którego skierowano takie słowa, popadł w rozpacz po tym, co wydarzyło się na Golgocie? Życie umarło, Prawda umilkła, Droga utonęła w ciemności. Dlaczego więc nie rzucić się za Nim w ślad, w tę ciemność, na pohybel wszystkiemu? Dlaczego nie pójść za Mistrzem, który jest teraz Bezdrożem, Milczeniem i Śmiercią?

Nic dziwnego, że podczas gdy dziesięciu Galilejczyków barykaduje się w Wieczerniku ze strachu przed Żydami, on wychodzi na zewnątrz. Z podniesioną głową, tak żeby gardło było odsłonięte i dobrze widoczne. Wyprostowany, z piersią wypiętą niczym strzelnicza tarcza. Tomasz nie czuje

strachu. Słowo zostało ukrzyżowane, a on chce pozostać Mu wierny. Kto wie, gdzie go zaniósł? Do uczonych w Piśmie, kapłanów, może nawet do Heroda i Piłata. „Jestem uczniem człowieka, którego wydaliście na śmierć jako bluźniercę i uzurpatora. Czy moglibyście uczynić mi honor i uśmiercić mnie w ten sam sposób, na szczycie Golgoty? Nie...? To może chociaż zechcecie uciąć mi głowę? Albo przebić włócznią, o tutaj, żeby dotrzeć serca? Też nie...? A jeśli bym spuścił z tonu i zgodził się na to, że mnie powiesicie? O, proszę, przyniosłem nawet sznurek, a drzew wokół mamy pod dostatkiem. Co z tego, że w śmierci podobniejszy będę do zdrajcy, niż do wiernego ucznia... Nawet to nie? Więc może małe kamienowanko? Ja będę usatysfakcjonowany, a wy urządzicie sobie prawdziwie męską rozrywkę, taką przyjemną zabawę integracyjną”.

Ale ludzka podłość nie zna granic. Jego niedoszli kaci są bez litości – zamiast przyprawić go o śmierć, jak na katów przystało, przyglądają się mu z autentyczną troską, marszcząc brwi. „Spokojnie, przyjacielu. Rozumiemy, że nie jest ci lekko, ale czas leczy rany. To minie, a na razie po prostu weź się w garść. Uwierz w siebie. Zaczynij cieszyć się życiem. Cała sztuka polega na tym, żeby we wszystkim dostrzegać dobre strony. Oczywiście, najpierw musisz przeżyć żałobę, pogodzić się ze stratą. Zor-

ganizowaliśmy dla ciebie pomoc psychologiczną. To, z czym się borykasz, to syndrom sztokholmski..., zespół Diogenesa..., a może Münhausena albo Piotrusia Pana”.

## WIEKUISTE RANY

Możemy sobie wyobrazić, w jak podłym nastroju jest Tomasz, kiedy wreszcie wraca do kolegów. A oni – to już szczyt wszystkiego! – wesolutcy jak szczygiełki, wmawiają mu, że widzieli Pana. Tomasz miał tylko jedno pragnienie – umrzeć. Zginąć, tak, jak jego Mistrz. Ale kaci wykazali się naprawdę szczególnym okrucieństwem i nie zafundowali mu śmierci w męczarniach, a teraz apostołowie chcą go chyba dobić, bo mówią, że Jezus żyje. Jak to...? Co ma wobec tego zrobić on, który tak bardzo chciał pójść za Mistrzem? Nie wystarczy, że da się uśmiercić. Musiałby jeszcze zmartwychwstać, a tego nawet najbardziej uczynny kat nie potrafiłby mu zapewnić. Czy możemy się dziwić, że Tomasz ma mętlik w głowie? Upiera się przy swoim niedowiarstwie, bo wierzy w krzyż, który nie prowadzi do chwały.

Tomasz zachowuje się jak niedowiarek także z innego powodu – dlatego, że jest wierny. Odrzu-



ca chwałę, do której nie prowadzi krzyż. Widział przecież na własne oczy, jak Droga kończy się pustką, Życie trafia do grobu, a kłamstwo zwycięża Prawdę. Znalazł się na dnie rozpacz. Czy teraz ma uznać to wszystko za przedstawienie? Za jakąś ponurą farsę? Potworna niesprawiedliwość wyroku, nieludzkie okrucieństwo egzekucji, wielogodzinna agonია dobrego, niewinnego człowieka... I to wszystko miałoby być... na niby? Nie. To wszystko działa się naprawdę. To wszystko musiało wydarzyć się naprawdę! Cios włócznią nie był sfingowany; naprawdę przebił serce. Ukrzyżowany konał naprawdę, nie dawał aktorskiego popisu, żeby potem, kiedy kurtyna opadnie, z szerokim uśmiechem kłaniać się publiczności.

Gdyby wszystko działało się tylko na niby, gdzie byłaby nasza odpowiedzialność? *Happy end* nie oznacza, że tragedia była tylko iluzją. Wschód słońca, nawet najpiękniejszy, nie przekreśla koszmaru, który go poprzedzał, ani nie unicestwia kolejnego, który być może nastąpi za chwilę. Gdyby to potrafił, nie byłby wschodem słońca, tylko czymś innym. Czymś, co nie przynosi nowego dnia.

Tomasz przeczuwa, że chwała Boża, jeśli ma być prawdziwa, musi być przeciwieństwem cudu w jego potocznym rozumieniu. Nie chodzi o to, żeby odwołać zło, które się stało. Cud na miarę ludzkich

oczekiwań polegałby na tym, że rany po gwoździach przestałyby istnieć, jak gdyby nigdy ich nie było. Tymczasem w ciele uwielbionym Chrystusa zostają na wieki, widoczne, otwarte, jaśniejące chwałą. Gdyby zniknęły, chwała Boża okazałaby się zwykłą sztuczką, iluzją, ucieczką od bolesnej rzeczywistości. Ale jeśli nie znikną? Jeśli dziury po gwoździach, które przebiły ręce i nogi Zbawiciela, pozostaną wieczne, to zawsze będą ukazywać nasze winy. Cóż to za chwała? Na ich widok powinniśmy umierać z żalu, a nie wykrzykiwać z radości, cieszyć się i weselić... Czy prawda uwielbienia może współistnieć z prawdą krzyża? Tomasz nie umie odpowiedzieć na to pytanie. Ale gdy Jan Sebastian Bach śpiewa *Jesus bleibet meine freude*, Tomasz nie prosi, by Jezus był jego radością. Krzyczy tak głośno, że zagłusza barokową kantatę: „Jezu, niech Twoje rany trwają, i niech sprawią, bym umarł ze wstydu!”

## GDYBY USUNĄĆ CHOĆ JEDNO WYDARZENIE Z HISTORII TEGO ŚWIATA

Historia jest cała tkana od góry do dołu, i to tak ściśle, że gdyby wyrwać jedną, maleńką niteczkę, sprułoby się wszystko. Próba usunięcia choćby jednej

rzeczy, która wydarzyła się na świecie, oznaczałaby, w efekcie, zanegowanie istnienia całego świata. A jednak ludzie często się tak bawią, to jedna z ich ulubionych rozrywek. Sherlock Holmes łamie sobie głowę nad tym, jak zniknął Orient Express – lokomotywa i osiemnaście wagonów. A co w tym nadzwyczajnego? Był ktoś potrafiący zrobić hokus-pokus i zniknąć cały wszechświat z jego troskami i kłopotami.

Możemy usiąść w pozycji lotosu, skupić się na rytmie oddechu i lekko zezując, wbić spojrzenie w nieistniejący punkt gdzieś pomiędzy oczami. Po chwili osiągniemy wewnętrzny spokój tak głęboki i niewzruszony, że będziemy gotowi przysiąc, iż złośliwa ciotka Agata, która tyle krwi nam napsuła, po prostu nie istnieje. Jeśli na własną głowę w lustrze nie jesteśmy już w stanie patrzeć, i w ogóle chcielibyśmy, żeby świat zniknął, może nam pomóc teleskop. Albo mikroskop. Dlaczego nie podejść do sprawy naukowo i nie zająć się poszukiwaniem ukrytej struktury rzeczywistości? Rozłożmy ją na czynniki pierwsze, zejdźmy na poziom, gdzie nie ma różnic między tym, co ożywione i nieożywione, gdzie nie ma niesprawiedliwości, a tylko równania opisujące prawidłowości rządzące nanocząsteczkami, których nigdy nie ujrzymy na oczy.

Tomasz takimi sztuczkami gardzi. Nie zamierza iść na łatwiznę. Kiedy cieszyć się jak dzieci, bo jest

piękne, wiosenne południe, a wy, siedząc na trawie, wypakowujecie przysmaki z kosza piknikowego, on widzi w waszym zachowaniu świadectwo zbrodniczego zaślepienia. Nie rozumie, jak można tak bezczelnie wgryzać się w suchą kiełbasę, żuć chrupiącą bagietkę, popijać chłodnym, pienistym piwem. W takiej chwili wygarnąłby wam, że są miejsca na świecie, gdzie dzieci umierają z głodu i pragnienia. Zrobiłby to tak przekonująco, że przytłoczeni poczuciem winy, wysłalibyście waszą przekąskę kurierem na drugi koniec globu. Tomaszowi marzy się bardzo specjalny piknik: skoro Jezus żyje, mimo że zmarł tak straszną śmiercią, proszę bardzo, niech teraz zasiądzie do posiłku, niech pokaże wszystkim swoje nadgarstki rozerwane na wylot przez gwoździe, i tors, w którym ziejie dziura sięgająca serca. Każdy będzie mógł zobaczyć, ba, nawet wetknąć paluch w to zmasakrowane ciało, tak jak wsadza się palec do gardła. Zaraz by się okazało, co jest silniejsze – radosny nastrój czy odruch wymiotny.

## TEN, KTÓRY WĄTPIŁ W DOBREJ WIERZE

Tomasz dostanie dokładnie to, czego chciał. Tydzień później Jezus przychodzi znowu, wita się

uprzejmie i z miejsca przystępuje do rzeczy. Tomasz ma podejść, nie wstydzić się, tylko śmiało wyciągnąć rękę: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włóż [ją] do mego boku, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym!” (J 20,27).

Tomasz, który układał absurdalne scenariusze, mające go utwierdzić w radykalnej postawie niedowiarka, zostaje wysłuchany, a jego życzenie – spełnione co do joty. Efekt jest piorunujący. W jednej chwili ten, który wątpił, zamienia się w wyznawcę. Jego wyznanie wiary jest krótkie, mocne, przełomowe. W żadnej z czterech ewangelii nie znajdujemy równie wzniosłych słów. Chrystusa nazywano już „Mesjaszem” i „Synem Boga”. Tomasz mówi wprost: „Pan mój i Bóg mój” (J 20,28).

Najpierw zapierał się jak osioł, że nie uwierzy, dopóki nie zobaczy i nie dotknie. Czy teraz nie przegina w drugą stronę? Nagle wyskakuje z wyznaniem, które wyraźnie świadczy, że wierzy w coś, co nijak się ma do tego, co widzi. Bo stoi przed nim człowiek – owszem, zmartwychwstały, owszem, jaśniejący chwałą – ale przecież człowiek, a więc stworzenie Boże. A Tomasz ogłasza, że wierzy, iż to stworzenie jest także Stwórcą. Facet zdradza wyraźną skłonność do przesady. Dopiero co odrzucał perspektywę chwały, bo nie mógł jej po-

godzić z prawdą krzyża. Teraz w Ukrzyżowanym widzi Wszechmogącego. Przed chwilą zepsuł nam apetyt, pytając, jak możemy raczyć się pysznościami, kiedy w Afryce dzieci głodują. Teraz psuje nam chwilę bolesnej zadumy, dotykając ran Ukrzyżowanego i obwieszczając, że to sam Bóg. Naprawdę kiepski z niego byłby współbiednik, czy to na weselu, czy na stypie. Był już wystarczająco trudny do wytrzymania, gdy robił z siebie ponuraka, ale teraz, kiedy nagle, zupełnie nie w porę bredzi jak nawiedzony, jest absolutnie nie do zniesienia.

Wiemy, co odpowiedział Chrystus: „Uwierzyłeś dlatego, ponieważ Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli” (J 20,29). Ostatnie zdanie mogłoby odnosić się do ewangelisty, który zapisał te słowa. On przecież uwierzył, nie zobaczywszy. A dokładniej – zobaczywszy tylko puste płótna i zwiniętą chustę. Czyżby Jan chciał podkreślić swoje zasługi? A może... zamierzał przekazać coś dokładnie odwrotnego? O wiele łatwiej jest uwierzyć, jeśli się nie widzi. Jeśli nie zobaczyło się tego, co zobaczył Tomasz, i nie dotknęło tego, czego on dotknął.

Wyobraźmy sobie, że zdradziliśmy naszego najlepszego przyjaciela. Wbiliśmy mu nóż w serce. A teraz zamordowany wraca i nie dość, że pokazuje nam ranę, którą mu zadaliśmy, to jeszcze zachę-

ca, żebyśmy bez krępacji włożyli rękę tak głęboko, jak się da, sięgnęli aż do przebitego serca. Mogę się założyć, że w takiej chwili każdy z nas, nawet ten obdarzony wyjątkowo zimną krwią, poczuje nieodpartą chęć, żeby dać drapaką. Tomasz zostaje. I nagle dostrzegamy, jak bardzo ten zły apostoł jest podobny do dobrego łotra. Nie załapał się na Ducha Świętego. Popadł w rozpacz, robił wszystko, żeby i jego przybito do krzyża lub posłano na szafot. Aż tu nagle – wyznaje wiarę tak śmiało i pewnie, że wychodzi na prowadzenie, innych uczniów zostawiając w tyle. Tradycja głosi, że spośród tych, którzy jako pierwsi zostali posłani, żeby głosić Ewangelię, Tomasz dotarł najdalej – do Persji, może nawet do Chin, a w końcu do Indii Południowych. Założył tam siedem kościołów, od Kerali aż po Sri Lankę, i wreszcie doczekał się tego szczęścia, że został zadźgany włóczniami lub, w innej wersji, poderżnięto mu gardło z rozkazu wielkiego kapłana w Meliapurze, po tym, jak apostoł samą siłą modlitwy sprawił, że metalowy posąg pogańskiego bóstwa stopniał jak wosk.

Jaki z tego wszystkiego morał? Kiedy stajemy wobec Prawdy, nie ma sensu udawać bardziej wierzących, niż jesteśmy. Prawdziwym problemem nie jest niedowiarstwo, a półśrodki. Jeśli wąpimy, róbmy to na całego, w dobrej wierze. Najgorzej było-

by wątpić i utwierdzać się w tym – trudno wtedy o autentyczność. Wolno nam jednak zadawać pytanie, jak może istnieć królestwo Boże, skoro po tym świecie chodzi ktoś tak wredny, jak ciotka Agata. Albo, tym bardziej, ktoś tak beznadziejny, jak ja, który właśnie sięga po dokładkę lodów czekoladowych, choć doskonale wie, że dzieci w Afryce umierają z głodu. Nie poprzestańmy jednak na takich pytaniach. Warto pójść w ślady Kartezjusza i drążyć głębiej: Dlaczego jestem zdolny do tego, by wątpić? Dlaczego ludzie nie są równie łatwowierni i nieskomplikowani, co, na przykład, gryzonie? Dlaczego zło tak bardzo bulwersuje nas i gorszy? Co zrobić, żeby się temu zgorzeniu nie poddać i nie przejść na stronę zła? Trzeba nam wyznać, że wątpimy (w to akurat wątpić nie należy), bo nasze serce, wbrew nam samym i wbrew wszystkiemu, pragnie Prawdy. Gdyby to pragnienie nie tkwiło w nas głęboko jak samo życie, czulibyśmy się całkiem zadowoleni, pijąc cienkie wino naszych własnych opinii i przekonań. Ale tak nie jest. Krzyż budzi nasz sprzeciw, tak wielki, że wszelka radość wydaje się oszustwem. Dlaczego? Bo oczekujemy radości większej. Takiej, która może objąć i przemienić wszystkie rany historii.





## IX

### Z POWROTEM NA RYBY

*Potem znowu ukazał się Jezus nad Morzem Tyberiadzkim. A ukazał się w ten sposób: Byli razem Szymon Piotr, Tomasz, zwany Didymos, Natanael z Kany Galilejskiej, synowie Zebedeusza oraz dwaj inni z Jego uczniów. Szymon Piotr powiedział do nich: „Idę łowić ryby”. Odpowiedzieli mu: „Idziemy i my z tobą”. Wyszli więc i siedli do łodzi, ale tej nocy nic nie złowili. A gdy ranek zaświtał, Jezus stanął na brzegu. Jednakże uczniowie nie wiedzieli, że to był Jezus. A Jezus rzekł do nich: „Dzieci, czy macie co na posilek?”. Odpowiedzieli Mu: „Nie”. On rzekł do nich: „Zarzućcie sieć po prawej stronie łodzi, a znajdziecie”. Zarzucili więc i z powodu mnóstwa ryb nie mogli jej wyciągnąć. Powiedział więc do Piotra ów uczeń, którego Jezus miłował: „To jest Pan!”. Szymon Piotr usłyszawszy, że to jest Pan, przywdział na siebie wierzchnią szatę – był bowiem prawie nagi – i rzucił się w morze. Reszta uczniów dobiła łodzią, ciągnąc za sobą sieć z rybami. Od brzegu bowiem nie było daleko – tylko około dwustu łokci.*

Ewangelia według św. Jana 21,1–8





Kto by się spodziewał, że sprawy przyjmą tak beznadziejny obrót? Zmartwychwstały objawił się uczniom i posłał ich, jak sam został posłany. A oni? Zamiast czym prędzej ruszyć na krańce ziemi, żeby głosić Dobrą Nowinę, zachowują się, jakby zafundowano im totalny reset pamięci. Idą na ryby, jak gdyby nigdy nic. Gdy zestawি się relację św. Jana z relacją św. Łukasza, ten powrót do przeszłości robi jeszcze większe wrażenie. Bo był już kiedyś taki poranek, kiedy ci sami ludzie, po bezowocnym nocnym połowie, na polecenie Jezusa zarzucili sieci w wody tego samego jeziora. Złapali wtedy cudowne mnóstwo ryb. Tego dnia rzucili wszystko, żeby pójść za Mistrzem. A teraz wracają do punktu wyjścia...

Porównanie obydwu połowów – tego sprzed męki i tego po zmartwychwstaniu – ukazuje raczej regres niż postęp. Podczas pierwszego połowu Jezus jest w łodzi, może więc powiedzieć do Szymona te wspańskie słowa: „Wy płyn na głębie!” (Łk 1,4). Podczas drugiego Jezus stoi na brzegu, więc nie ma mowy o wypływaniu na głębie, trzeba pozostać w zasięgu

głosu, nie odpływa się dalej, niż na dwieście łokci (jakieś sto metrów, nie więcej). Wtedy, za pierwszym razem, sieci były tak pełne ryb, że zaczynały się rwać, a ich zawartość wypełniła nie jedną, a dwie łodzie, obciążając je tak, że omal nie poszły na dno. Teraz sieć owszem, jest pełna, ale jedna łódź z powodzeniem wystarcza, żeby dowlec ją do brzegu.

Chcąc oszczędzić sobie nieprzyjemnego wrażenia, że cała historia ku niczemu sensownemu nie zmierza, wyizolowujemy tę scenę z kontekstu i poddajemy ją lekturze symbolicznej. Zadanie nie jest specjalnie trudne: bezowocny wysiłek człowieka w ciemnościach nocy, a potem nadejście świtu – to alegoria śmierci i zmartwychwstania, wielkie mnóstwo ryb, które wypełnia sieć zarzuconą po prawej stronie łodzi – to Kościół i sakramenty, które rodzą się z przebitego boku Chrystusa. Ryb jest dokładnie sto pięćdziesiąt trzy, a więc tyle, ile w tamtych czasach znano narodów na świecie – i mamy symbol powszechności Kościoła. „Prawie nagi” Piotr, który przywdziewa wierzchnią szatę, a potem rzuca się do jeziora, to z kolei alegoria odkupionego Adama i wód chrztu świętego. Wszystko to są piękne obrazy, z pewnością godne uwiecznienia na kapitelach romańskich bazylik. Niestety, w niczym nam nie pomagają, kiedy trzeba odpowiedzieć na dziecinnie

proste pytanie, które pojawia się, gdy z powrotem wstawimy ten epizod na jego miejsce w ewangelicznej narracji: o co tu chodzi?! Pomimo wysiłku egzegetów, historia powrotu do rybołówstwa nadal nijak nie pasuje do całości. Góra urodziła mysz – oto, jak można ją podsumować. Spotkanie żywego Boga powinno wszak przemieniać ludzi, czynić ich podobnymi do aniołów, a nie powodować, że z powrotem biorą się za łowienie ryb.

W tym miejscu muszę się pochwalić, że mam własną teorię na temat tego zagadkowego epizodu. Czekam jeszcze tylko na potwierdzenie ze strony specjalistów od egzegezy historyczno-krytycznej. Otóż uważam, że ten fragment jest późniejszy niż reszta tekstu. Szacuję, że został dodany około roku dwutysięcznego naszej ery, za rządów rewolucji cyfrowej. W jakim celu? To bardzo proste. Chodzi o to, żeby przypomnieć wszystkim, do czego służy prawdziwa sieć.

## I SŁOWO STAŁO SIĘ CIEŚLĄ

Uczniowie wracają więc do swojego przyziemnego zajęcia, choć już dwa tygodnie wcześniej usłyszeli od Zmartwychwstałego: „Jak Ojciec Mnie posłał,

tak i Ja was posyłam” (J 20,21). Jak Ojciec Mnie posłał... no właśnie. Jak dokonało się to posłanie? Czy Syn został objawiony światu w oślepiającym blasku dżgających ziemię błyskawic? Czy może działał cuda, ukryty jeszcze w łonie swojej rodzielki i z tego łona przemawiał gromko, objawiając ludzkości ponadczasowe tajemnice? Cóż, raczej nie. Trudno natomiast zaprzeczyć, że Ojciec posłał Syna, żeby ten wyuczył się na cieślę. Dlatego każda porządna, katolicka rodzina powinna mieć ambicję, by przynajmniej jednego syna umieścić w tym zawodzie. Niestety, droga do boskiego fachu nie dla wszystkich stoi otworem – miejsc jest mało, kształcenie drogie. Nie należy jednak opuszczać rąk; syn może zostać pasterzem, sadownikiem, winiarzem czy rybakim, a nawet, w ostateczności, wytwórcą namiotów, jak św. Paweł. Nie lekceważę oczywiście ofiary, jaką ponoszą rodzice, którzy posyłają swoje dzieci na studia menadżerskie albo prawnicze. Przeciwnie, podziwiam ich pokorę. Podejmują ten trudny wybór, bo wiedzą, że ktoś musi zrezygnować z porządnego zawodu, żeby głosić Ewangelię w miejscach tak ponurych i mrocznych, jak gabinety w biurach wielkich korporacji.

Dawniej nie dostrzegano w pełni znaczenia faktu, że Słowo, które stało się ciałem, nie zostało od razu kapłanem albo mówcą, lecz większość ziem-

skiego życia po prostu pracowało swoimi ludzkimi rękami. Pracowało – dodajmy – nie w byle czym, ale w najszlachetniejszym z materiałów, noszącym w sobie zapis twórczej mocy życia, które go zrodziło. W drewnie. Jezus nie rzeźbił z niego figur ani nie wytwarzał zapalek, ale budował domy. Łodzie prawdopodobnie też. Mówiąc ogólnie, konstruował wszelkiego rodzaju arki. Dzisiaj zaczynamy rozumieć doniosłość faktu, że Zbawiciel żył z pracy swoich rąk. Dzieje się tak dlatego, że większość z nas niewiele potrafi rękami zrobić. Oto przyczyna upadku moralnego ludzkości naszych czasów. Już Gaston Bachelard sugerował, że „byłoby z pewnością humanitarnym gestem, gdyby postawić Roquentina, bohatera *Mdłości*, przed imadłem, z pilnikiem w ręku (...). Solidny kłoc drewna do porąbania i siekiera w ręku wystarczyłyby, żeby nauczyć go radośnie, że dąb nie gnije, że drewno oddaje dynamizm za dynamizm, krótko mówiąc, że zdrowie naszego ducha jest w naszych rękach”<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Cyt. za: Stanisław Jasionowicz, *Roland Barthes – Gilbert Durand. Wizje pluralizmu kultury*, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, Kraków 1999, s. 116. Autor przywołuje słowa Gastona Bachelarda za: Hélène Védrine, *Les Grandes conceptions de l'imaginaire. De Platon à Sartre et Lacan*, Librairie Générale Française, Paryż 1990.



Im bardziej wsiąkamy w rzeczywistość wirtualną, tym chętniej wierzymy, że wszystko można rozłożyć na części i cząsteczki – bo wszystko składa się z bitów, atomów, neuronów, genów... i bęc! Formy, jakie bytom nadała natura, rozsypują się, posłuszne – jak sądzimy – naszym chwilowym kaprysom. Gość, który nie potrafi zmienić dętki w rowerowym kole i nawet mu nie przyjdzie do głowy, że mógłby pomóc swojej stareńkiej sąsiadce zatargać na piętro siaty z zakupami, jest przekonany, że gdy skinie palcem, rozłoży wszechświat na czynniki pierwsze. (Wmawia też sobie, że staruszka sama jest sobie winna, jeśli ugina się pod ciężarem siat z kartoflami i mlekiem. Gdyby sprawiła sobie komputer i założyła internet, mogłaby, jak każdy normalny człowiek, zamawiać zakupy online, z dostawą do domu). Namiętnie gra w *Cywilizację VI*. Sam nie wie, kiedy stracił kontakt z konkretną, dotykalaną rzeczywistością. Stał się tak naiwny, że święcie wierzy, iż wyszukiwarka Google jest człowiekowi bardziej potrzebna do życia niż pole kapusty albo jezioro pełne ryb.

Tak, stanowczo, ewangelia o powrocie do rybołówstwa jest w naszych czasach wyjątkowo aktualna. Wydaje się, że napisano ją wczoraj, albo może jutro – i w sumie nieważne, co na ten temat mówią badacze. W czasach apostołów niebezpieczeń-

stwo zagubienia się w jakimś równoległym świecie było znikome. Wiele działo się w Dolinie Jordanu, ale o Dolinie Krzemowej jeszcze nikt nie słyszał. Dzisiaj, aby głosić Chrystusa, trzeba najpierw pomachać łopatą, przyłożyć rękę do pług, popracować heblem, zarzucić sieć w morze, wyganiać wołki rano po rosie... Jeśli mamy zrozumieć wcielenie, musimy poczuć, że jesteśmy cieleśni. Otwarcie na rzeczywistość nieba nie oznacza porzucenia ziemi. Poszukiwanie tego, co nadnaturalne, nie wymaga odwrócenia się od natury. Wręcz przeciwnie, trzeba zbliżyć się do niej bardziej niż kiedykolwiek – trzeba dotrzeć do jej źródła. Kto nie wziął się nigdy za bary z rzeczywistością stworzenia, nie może wiarygodnie głosić Stwórcy. Kto nie jest realistą, nie może być świadkiem zmartwychwstania.

### *HOMO MEDIALIS I HOMO MEDIEVALIS*

Słyszemy raz po raz, jak ktoś z zaangażowaniem i swadą krytykuje mroki średniowiecza. Dziś robimy to szczególnie chętnie, bo w ten sposób utwierdzamy się w przekonaniu, że sztuczne światło mediów, w którym obecnie żyjemy, nie jest aż takie złe. A przecież człowiek średniowieczny był o wie-

le bardziej ludzki niż obywatel świata rządzonego przez media. Sam budował dla siebie dom, sam szył swoje ubrania. Uprawiał ziemię i grzebał w niej te spośród swoich dzieci, którym nie było dane dożyć dorosłości. Widywał prawdziwych trędotowych, a w noc świętojańską razem z wszystkimi mieszkańcami wioski puszczał się w tany wokół wielkiego ogniska. Przed przydrożną figurą Matki Boskiej zdejmował czapkę. Kiedy prosiak był upasiony, podrzynał mu gardło, a kiedy zbliżał się poborca podatków, chwycił za widły. To był twardy gość, który znał życie.

Był oczywiście w błędzie, kiedy wyobrażał sobie, że ziemia jest płaska. Ale to nie zmieniało faktu, że był z nią nierozzerwalnie związany. Pożądał jej płodności. Karczował, orał, nawoził, obsiewał. Aż do śmierci. My dobrze wiemy, że Ziemia to błękitna kulka, która krąży w Kosmosie. I choć po niej nie chodzimy, patrzymy na nią z odległej perspektywy zawieszzonego w pustce kosmonauty. Zboże? A skąd mamy wiedzieć, kiedy jest czas siewu i zbioru, skoro zboże widzimy jedynie w postaci przetworzonej i opakowanej w plastik? Człowiek średniowieczny myślał naiwnie, że Słońce kręci się wokół tego pożywnego placka, jakim jest Ziemia. Ale czas słoneczny szanował, żył w rytmie godzin, które latem były dłuższe, a zimą krótsze. Błogosławił dobrodziejstwo deszczu,

podczas gdy dla nas, turystów, deszcz to po prostu brzydka pogoda. A czas? Czas to pieniądz.

Ktoś umarł, złożono go w grobie, a po trzech dniach zmartwychwstał. Serio? Ludzie żyjący na co dzień w świecie zaludnionym przez awatary, profile, animacje 3D i inne byty, które nigdy nie były naprawdę żywe ani naprawdę martwe, po prostu nie kupują tej gadki. Nie są w stanie zrozumieć, o co chodzi. A człowiek, który żył z pracy swoich rąk? Chłop, młynarz, garbarz? Bez wątpienia uznawał nowinę za nieprawdopodobną. Ale wystarczyło, że usłyszał: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeżeli ziarno pszenicy spadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity” (J 12,24), a wszystko stawało się dlań jasne i proste, tak samo prawdziwe, jak coroczne nadejście wiosny, zieleń młodych pędów i złoto chlebnych łanów.

## OJCIEC WINIARZ

Czas na następną lekcję po tej, której udzielił nam Zmartwychwstały, zasiadając do posiłku (do życia potrzebujemy dobrej zupy – może właśnie rybnej – a nie tylko pięknych słówek). Teraz spróbujemy zmierzyć się z nieco trudniejszą prawdą: otóż

wszelka technika, która jest bliska naturze stworzenia, przygotowuje nas do przyjęcia zbawienia o wiele lepiej, niż superzaawansowana technologia. Dlaczego napisałem „technika”, a nie, na przykład, „ideologia”? Bo uważam, że pojęcia i koncepcje mają mniejszy wpływ na nasze myślenie, niż gesty, narzędzia i sposoby pozyskiwania dóbr materialnych, które znamy z codzienności (jeśli ta teza pobrzmiwa nieco marksistowsko, cóż, czytelnik będzie musiał mi to wybaczyć). Sposób, w jaki postrzegamy rzeczywistość, wynika nie tyle z naszych poglądów, co z naszych codziennych zajęć – z tego, do czego używamy rąk.

Mówi się często o cudzie greckim, mając na myśli narodziny filozofii, która przygotowała drogę dla Dobrej Nowiny. I słusznie. Ale powinno się też mówić o cudzie neolitycznym. Gdybym spotkał tego prehistorycznego geniusza, który wymyślił motykę i przekonał krewnych oraz znajomych, żeby porzucili zbieractwo na rzecz uprawy roli, ucałowałbym go serdeczniej niż Arystotelesa i Platona razem wziętych.

Nie uświadamiamy sobie, jak bardzo rewolucja neolityczna zmieniła duchowość człowieka. Kiedy Pismo Święte – albo sam Chrystus – chce przybliżyć nam, czym jest życie Boże, robi to za pomocą obrazów, które, niemal wszystkie, ukazują codzien-

ność człowieka pracującego na roli. Słowa „kultura” i „kult” również wyrosły z żyznej ziemi, obracanej radłem (trzeba zatem przyznać, że kadzidło bliżej jest spokrewnione z nawozem niż z perfumami, tak samo jak wielkiemu poematowi bliżej do cieniściego bogactwa sadu albo falujących skib tłustej, świeżo zaoranej ziemi, niż do najnowszej powieści Marca Lévy’ego).

Przy ostatniej wieczerzy Jezus mówi uczniom: „Ja jestem prawdziwym krzewem winnym, a Ojciec mój jest tym, który [go] uprawia (J 15,1). Święty Paweł, chcąc wyjaśnić braciom w Koryncie, na czym polega zadanie apostoła, używa następującego porównania: „Ja siałem, Apollos podlewał, lecz Bóg dał wzrost” (1 Kor 3,6).

Aby dać słuchaczom pojęcie o tym, jaki charakter ma Boże działanie, sam Zbawiciel i Jego uczniowie porównują je do pracy na roli. Dużo rzadziej sięgają po obrazy związane z rzemiosłem, a do inżynierii nie nawiązują absolutnie nigdy – bo jej metoda jest całkowitym przeciwieństwem tego, w jaki sposób działa Bóg. Inżynieria funkcjonuje według modelu mechanicznego, rolnictwo – według modelu położniczego. Inżynier narzuca formę materii, w której widzi bogactwo energii i surowców do wykorzystania. Rolnik czuwa nad rozwojem formy, którą nie on zaprojektował, lecz robi wszystko, by osiągnęła

maksymalny rozkwit. Inżynier może, według swojego zamysłu, przyspieszyć proces produkcji. To on nadaje tempo. Rolnik wie, że nie zmusi trawy do szybszego wzrostu, nawet jeśli będzie do niej strzelał. Dostosowuje się do rytmu pór roku i tempa rozwoju właściwego poszczególnym gatunkom.

Odkąd znajdujemy się pod potężnym wpływem inżynierii – a więc co najmniej od drugiej połowy dwudziestego wieku – całkowicie zmienił się sposób, w jaki myślimy o życiu duchowym i apostołskim. Nasz Bóg nie ma już cierpliwości uprawiającego winnicę, tylko efektywność mechanika. Jego uczniowie też chcieliby działać ze stuprocentową skutecznością, nie musząc czekać na efekty. Wpisują się w społeczeństwo naszych czasów, zwane nie bez kozery *push-button society*. Nie możemy pojąć, dlaczego płomienne kazanie nie przynosi natychmiastowych rezultatów. Coś chyba jest nie tak, gdzieś musiała pojawić się usterka. Kiedy ktoś winien jest nam posłuszeństwo, oczekujemy, że będzie działał na komendę, jak włącznik światła. Kiedy urazimy kogoś, przepraszamy, jak na porządnym katolików przystało. I spodziewamy się, że reakcja będzie automatyczna. Człowiek, którego uczucia zraniliśmy, ma się rozpromienić i wrócić do normalnego funkcjonowania, jak zrestartowany komputer. Nowoczesny apostoł sam nie wie,

kiedy popada w fundamentalizm – nie dlatego, że jest staroświecki, ale dlatego, że jest *high-tech*. Chociaż przymusza, jest przekonany, że jego słowa mają moc sprawczą programu komputerowego, który zapisuje się właśnie na twardych dyskach słuchaczy i automatycznie zaczyna działać. Gładko, szybko, bezbłędnie. Taki apostoł w ogóle nie bierze pod uwagę, że – jeśli wierzyć Jezusowi – średnia zdolność percepcji, której od swojego audytorium może oczekiwać kaznodzieja, nie dorasta do poziomu żółwia ani nawet ślimaka. Wierni wykazują się refleksem rośliny. Zakorzenie i wzrost musi potrwać, a jeśli ziarna wschodzą zbyt szybko, to dlatego, że gleba nie jest głęboka (por. Mt 13,5).

## POŁAWIACZE GRZESZNIKÓW

W porządku, zrozumieliśmy już wartość pracy na roli. Dlaczego więc mamy brać się za rybołówstwo zamiast za orkę i siew? Dlaczego parać się tym zajęciem rodem z paleolitu, które pozwala przyjść i nałapać mnóstwo ryb tam, gdzie absolutnie niczego się nie zasiało? Chodzi o dwa różne punkty widzenia. Powolny proces wzrostu i dojrzewanie kłosów w polu to analogia drogi do świętości, a po-



łów ryb to analogia powołania. Pierwszy obraz interesuje przede wszystkim tych, do których skierowane jest Słowo, drugi – tych, którzy je głoszą. Oni są rybakami ludzi (por. Mt 4,19). To dość nietypowy rodzaj rybaków, bo ich ryby, kiedy już są złapane, zamieniają się w owce. Albo w pędy winorośli. Ci szczególnie rybacy muszą więc szybko się przekwalifikować i zostać pasterzami albo winiarzami.

Dlaczego głoszenie Dobrej Nowiny ma być podobne do łowienia ryb za pomocą sieci? Dlaczego nie porównuje się go do polowania, które w paleolicie było jeszcze bardziej popularne? Bo te dwa zajęcia wymagają zupełnie odmiennych strategii. Łowca wyrusza na poszukiwanie zwierzyny i podąża, jak po sznurku, jej tropem. Rybak opuszcza stały ląd, wypływa na niezgłębione, poruszone wiatrem wody, gdzie nie znajdzie ani schronienia, ani wytyczonej ścieżki. Będzie musiał stawić czoła nawałnicy i niewykluczone, że zamiast wrócić ze zdobyczą, skończy jako topielec. Łowca wypatruje swojej ofiary, dostrzega ją, śledzi. Wybiera moment, w którym napnie łuk i wyceluje grot strzały w jej serce. Rybak zazwyczaj działa po omacku; zarzuca sieć, ale nie wie, czy uda się cokolwiek złapać. Nie raz trzodzi się całą noc na próżno. Nawet wtedy, gdy pracuje za dnia, sięga w wieczną noc głębin. Co więcej, nie wybiera ryb, które schwyta. Do

sieci wpada wszystko, co znajdzie się w jej zasięgu. Tylko te, które są naprawdę cienkie w uszach, przeslizgują się przez oka, zbyt dla nich szerokie. Rybołówstwo to sztuka, w której trzeba zrezygnować ze sprawowania kontroli nad sytuacją, a oprzeć się na zaufaniu. Rybak – bardziej nawet niż rolnik – jest na łasce i niełasce żywiołów. Wypuszcza się w morze, żeby zbierać owoce jego niezgłębionej płodności. Kiedy olbrzymie fale biorą łódź w swoje rozhuśtane objęcia, przeczuwa, że może zginąć i nawet nie będzie miał grobu. Ale wie także, że właśnie znalazł się w tajemniczej, mrocznej kolebce życia.

I jeszcze jedno. Rybak zarzuca sieć; zanim cokolwiek w nią złapie, musi wypuścić ją z rąk. Zdać się na zaufanie. A kiedy sieć jest pełna i rybak wyciąga ją na pokład Łodzi Piotrowej w którąś z kolejnych niedziel roku liturgicznego, musi się pilnować, żeby nie otworzyć szeroko gęby ze zdumienia. Bo w sieci widzi najdziwniejszą zbieraninę: są tu zębate rekiny, solidne tuńczyki i pożyteczne dorsze. Ale to nie wszystko – są też gestykujące kraby, śliszkie węgorze, przyjacielskie sardynki, przyczajone płaszczki, wąsate sumy, urocze żabnicokształtne i wszelkie inne dziwactwa, jakie nosi morze. Potrzeba wszystkiego, żeby stworzyć świat. Potrzeba jeszcze więcej, żeby powstało Królestwo.



## X

# NIEGODNOŚĆ PAPIESKA

*Agdy spożyli śniadanie, rzekł Jezus do Szymona Piotra: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?”. Odpowiedział Mu: „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham”. Rzekł do niego: „Paś baranki moje!”. I znowu, po raz drugi, powiedział do niego: „Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie?”. Odparł Mu: „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham”. Rzekł do niego: „Paś owce moje!”. Powiedział mu po raz trzeci: „Szymonie, synu Jana, czy kochasz Mnie?”. Zasmucił się Piotr, że mu po raz trzeci powiedział: „Czy kochasz Mnie?”. I rzekł do Niego: „Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham”. Rzekł do niego Jezus: „Paś owce moje! Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci: Gdy byłeś młodszy, opasywałeś się sam i chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz”. To powiedział, aby zaznaczyć, jaką śmiercią uwielbi Boga. A wypowiedziawszy to rzekł do niego: „Pójdź za Mną!”.*

*Piotr obróciwszy się zobaczył idącego za sobą ucznia, którego miłował Jezus, a który to w czasie uczytyspoczywał na Jego piersi i powiedział: „Panie, kto jest ten, który Cię zdradzi?”. Gdy więc go Piotr ujrzał, rzekł do Jezusa: „Panie, a co z tym będzie?”. Odpowiedział mu Jezus: „Jeżeli chcę, aby pozostał, aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za Mną!”.*

Ewangelia według św. Jana 21,15–22





Może być coś lepszego, niż zgarnąć kumulację w totolotka. Dobrze o tym wiedzą ludzie, którzy zapadli na ciężką chorobę i było im dane wrócić do zdrowia. Powiedział mi o tym pewien facet, który cierpiał na zespół zamknięcia – przez długi czas był całkowicie sparaliżowany, choć równocześnie w pełni przytomny. Kiedy paraliż się cofnął (a powrót zdolności motorycznych mięśni zdarza się przy tej chorobie niezmiernie rzadko), ozdrowieniec nie miał wątpliwości: „To dopiero jest niezwykle. Główna wygrana w totolotka przy czymś takim to pikus!”. Co dokładnie uznał ten człowiek za niezwykle? Oczywiście, rzeczy najzwyczajniejsze. To, że jest w stanie wyciągnąć rękę i pogłaskać policzek swojej córeczki, że potrafi wstać z łóżka, przemieszczać się, poruszając nogami...

Przeświadczenie, że wydarzyła się rzecz bardziej niezwykła niż trafienie szóstki w totolotka i wielomilionowa wygrana, nie jest po prostu iluzją wynikającą z ogromnej ulgi. To intuicyjne wyczuwanie prawdy ontologicznej. Bo czyż nie jest tak, że góra pieniędzy, którą można wygrać w totka, po-

chodzi z funduszy spółki Skarbu Państwa, a nasze życie pochodzi od Boga? Forsa, nawet największa, nie wytrzymuje konkurencji. Ale zawsze forsa to forsa, a nasze życie... czasem naprawdę dalecy jesteśmy od zachwytu. Co innego bioniczni ludzie, superbohaterowie obdarzeni supermocami. Ale my...? Normalny człowiek wydaje się przy nich szary i niepozorny. Niesłusznie. Wszak wszystkie cudowne umiejętności, które superbohater posiada, opierają się na naszych zwyczajnych, zmysłowych władzach. Bez wzroku, słuchu, węchu, smaku czy dotyku, bez zdolności oddychania, trawienia czy poruszania się, żaden superbohater nic by nie wskórał. Zafascynowani patrzymy na Spidermana, który z nieludzką zręcznością wspina się po pionowej ścianie wieżowca. Dlaczego właściwie go podziwiamy? Ano przede wszystkim dlatego, że jacyś ludzie, dzięki ich zupełnie zwyczajnym, ludzkim umiejętnościom i talentom, zbudowali rzeczony wieżowiec. A my wiemy, czym jest twardy pion ściany i siła ciężenia, bo postrzegamy te rzeczy za pomocą zmysłów. Oczywiście, nasze własne zdolności są dla nas sprawą tak powszednią, że rzadko kiedy w ogóle się na nich skupiamy, o zachwycie nie wspominając. Czy jesteśmy niewdzięczni, czy też po prostu poddaliśmy się otępiającej rutynie? To w sumie bez znaczenia, bo w chwili, gdy któryś

z darów, jakie otrzymaliśmy, zostaje nam odebrany, w pełni dostrzegamy, jak bardzo był niezwykły.

Tyle tytułem wstępu do rozdziału, w którym będzie mowa o tym, co nazywa się prymatem św. Piotra. Dlaczego został pierwszym papieżem? Ano dlatego, że otrzymał zdolność oceniania prawdziwej wartości rzeczy. Dlaczego właśnie on otrzymał tę zdolność? Bo okazał się najbardziej beznadziejny. Wie z doświadczenia, jak nisko można upaść. Był na dnie swojej własnej otchłani, spojrzął w swoją wewnętrzną pustkę. Teraz w każdym, najmniejsze ździebełku życia i ziarenku dobra widzi ogrom łaski.

## POTRÓJNE KŁOPOTY

Papież nosi tytuł *summus pontifex*, czyli budowniczego mostów – i to nie byle jaki, tylko najwyższy. A skoro mosty służą do tego, żeby przechodzić po nich ponad wąwozami, rozpadlinami i wszelkimi wklęsłymi formami terenu, które można nazwać otchłanią, najwyższy budowniczy mostów powinien chyba być znawcą najgłębszych otchłani. Stąd Szymon Piotr jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu – jeśli wierzyć temu, co pi-



szą o nim ewangeliści. Uwzięli się chyba, że zrobią z niego Księcia Upadków. Gdy tylko nieszczęsny apostoł popada w zapał i daje się porwać uniesieniu, wywała się jak długi. Co i rusz daje popis godny klauna. Zresztą wszystko zaczyna się od tego, że Jezus wycina Piotrowi numer, uzdrawiając jego teściową... ha, ha, ha, dobre, jak w kabarecie. A potem jest tylko lepiej. Gag za gagiem.

Jest środek nocy, ciemno, wicher, burza na jeziorze. Uczniowie, kurczowo uczepleni łodzi, walczą z żywiołem i nagle widzą majaczącą na falach postać idącego Jezusa. Panie, jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie!” (Mt 14,28) – wrywa się Piotr. I rusza po falach, aż tu nagle... chlup! Apostoł, jak to się mówi, spietrał. Idzie, tylko że teraz – na dno. Chrystus musi wyciągnąć go z topieli. Scena nie jest już wzniosła, robi się raczej slapstickowa.

„A wy za kogo mnie uważacie?” – pyta Jezus. Piotr wyskakuje pierwszy: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego” (Mt 16,15–16). I ma rację. Teraz powinien usłyszeć, że jest najbardziej przenikliwym spośród apostołów... a gdzie tam. Dowiaduje się, że to nie on jest taki mądry, tylko Ojciec Niebieski.

Jezus zaczyna mówić uczniom o czekającej Go męce. Słyszając to, Piotr traci okazję, żeby siedzieć cicho. „Panie, niech Cię Bóg broni!” Ależ mu się wtedy obrywa... „Zejdź mi z oczu, szatanie!

(Mt 16,22–23). Tak ostro Chrystus nie potraktował nawet Judasza.

Na wysokiej górze Jezus przemienia się wobec Piotra, Jakuba i Jana. Kiedy obok jaśniejącego Chrystusa pojawia się Mojżesz i Eliasz, Piotr jest pod takim wrażeniem, że zaczyna bredzić: „Panie, dobrze, że tu jesteśmy; jeśli chcesz, postawię tu trzy namioty: jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza” (Mt 17,4). Na szczęście pojawia się obłok i niweczy ten szalony plan.

Wieczorem, po ostatniej wieczerzy, kiedy Jezus mówi, że wszyscy uczniowie niebawem w Niego zwątpią, Piotr zaperza się: „Choćby wszyscy zwątpili w Ciebie, ja nigdy nie zwątpię” (Mt 26,33)! Co z tego, że Ten, który jest Prawdą, mówi mu: „Jeszcze tej nocy, zanim kogut zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz” (Mt 26,34)? Piotr jest pełen zapału. Udało mu się pogodzić z perspektywą Męki, i święcie wierzy, że choćby mu przyszło umrzeć z Panem, nie wyprze się Go (Mt 14,27–31). Dalszy ciąg znamy; jest dość żenujący. Waleczny Piotr, który jeszcze w Ogrójcu wymachiwał mieczem, zapiera się Jezusa, tak jak to było do przewidzenia. Czy ugiął się wobec gróźb miotanych przez watahę zbirów na rzymskim żołdzie? Niezupełnie. Przesstraszył się kobieciny, która pracowała jako służąca w pałacu arcykapłana.

Wpadka goni wpadkę. Nie zdziwilibyśmy się, gdyby ktoś, kto najadł się tyle wstydu, zechciał na koniec się ukryć... przynajmniej sześć stóp pod ziemią. Skąd ten nieszczęsny Piotr bierze siłę, żeby ze sobą nie skończyć? Gdyby przeciął sobie tętnice, nie musiałby dłużej czerwienić się z upokorzenia.

Chyba znamy odpowiedź na to pytanie. Wiemy, gdzie jest źródło niezmordowanej odwagi, która każe Piotrowi podnosić się z każdego upadku i zmartwychwstawać, gdy umiera ze wstydu. Wiemy, co przemienia jego z żalem wyznaną słabość w róg obfitości, po brzegi wypełniony niezachwianą wiarą. Dokonuje tego modlitwa Jezusa – specjalna modlitwa za Piotra: „Szymonie, Szymonie, oto szatan domagał się, żeby was przesiać jak pszenicę; ale Ja prosiłem za tobą, żeby nie ustała twoja wiara. Ty ze swej strony utwierdzaj swoich braci” (Łk 22,31–32).

Kto by podejrzewał, że ten nieudacznik Piotr stanie na wysokości zadania? A jednak. On, który nie dał rady iść po wodzie, teraz daje nura w jezioro. Najpierw zarzuca sieć, potem rzuca się sam. A kiedy wreszcie dociera do brzegu, trzykrotnie wyznaje swoją miłość Chrystusowi, i to trzykrotne wyznanie stanowi, według słów św. Augustyna, zaślubienie za to, że trzy razy się Go wyparł. W dialogu między Zmartwychwstałym a Piotrem

jest jednak coś, co może nas zaskoczyć. Jezus dwa razy pyta apostoła: „Czy miłujesz mnie?”, używając czasownika *agapao*, który oznacza miłość duchową, doskonałą. Piotr dwukrotnie odpowiada twierdząco, ale z uporem powtarza *phileo*, jakby chciał powiedzieć: kocham cię jak serdecznego przyjaciela, miłością ludzką i emocjonalną. Znowu wszystko mu się płacze? Czy to jeszcze jeden skecz z jego udziałem?

Chyba nie. Piotr po prostu nie przecenia już swoich sił. Nie zarzeka się, że tak, oczywiście, on „miłuje więcej, aniżeli ci”. Zamiast upierać się przy swoim, zdaje się na osąd Pana („Ty wiesz, że Cię kocham”). A już na pewno nie wyrywa się z zapewnieniem, że miłuje w sposób doskonały. Rozumie teraz, że *agape* przerasta jego możliwości. A przecież chciałby kochać tak bardzo (dlatego smuci się, kiedy Jezus, zwracając się do niego po raz trzeci, spuszcza z tonu i pyta, czy Piotr kocha go miłością *philia*). Nauczył się pokory... I dzięki niej wystąpił w jeszcze jednym skeczu. Zmartwychwstały mówi mu: „Pójdź za Mną!”. A cóż robi Piotr? Natychmiast ogląda się wstecz. Nie potrafi wykonać nawet tak prostego polecenia? Wręcz przeciwnie – jest więcej niż posłuszny. Obraca się ku uczniowi, którego Jezus miłował. On, który zawsze wyrywał się pierwszy, teraz myśli tylko o braciach: „Panie, a co z tym

będzie?”. Inni mają pierwszeństwo. Piotr święcie wierzy, że jest mniej ważny, mniej godny. I właśnie dlatego on zostaje wikariuszem Chrystusa.

## JESTEM NIEGODNY I SIĘ Z TEGO CIESZĘ

Moja żona dopatrzyła się w słynnym dialogu Chrystusa i Piotra czegoś, na co sam nie zwróciłbym uwagi. Jej zdaniem najważniejsza nauka płynąca z tego fragmentu jest taka, że Słowo Wcielone nie wzdraga się wypytywać jak egzaltowane dziewczę: „Kochasz mnie? Naprawdę mnie kochasz?”. Piotr, niestety, zachowuje się jak typowy, gruboskórny samiec: „Daj spokój, przecież dobrze wiesz, że cię kocham. Po co w ogóle pytasz?”. To ciekawy punkt widzenia. Jakby krzyża było mało, Chrystus nawet po zmartwychwstaniu miałby się uniżyć, i to bardzo szczególnie – do poziomu sentymentalnej pensjonarki. W ten sposób uczyłby nas, facetów, że zawsze mamy odpowiadać ogniście i z niesłabnącym zaangażowaniem na pytania dam naszego serca. Każde „kocham cię” wypowiedziane z uczuciem to krok do przodu dla cywilizacji miłości...

Najdroższa, nie gniewaj się, ale moja interpretacja jest nieco inna (choć, oczywiście, pozosta-

je w związku z twoją). Ja widzę w tej scenie klucz do sukcesu. Chodzi o wielkie pieniądze? A może o nadludzkie piękno? Nie, o coś jeszcze lepszego. Ten klucz pozwala uniknąć śmiertelnej pułapki zblazowania. Kto trzyma go w ręku, ma moc, żeby każdego dnia na nowo odzyskiwać cały świat (a więc także własną żonę); każdego dnia na nowo przeżywać dziki zachwyty i słodką wdzięczność. Rozglądać się wokół siebie z tak intensywną radością, jak człowiek sparaliżowany, który stanął na własnych nogach, albo jak niewidomy, który odzyskał wzrok – nie mówiąc już o gościu, który został nagle uleczony z dokuczliwych hemoroidów czy ze świerzbu. Czym jest klucz, który pozwala osiągnąć ten błogosławiony stan? Skomplikowanym zakłębieniem, rygorystyczną dietą, zaawansowaną techniką relaksacyjną? Nie, to po prostu świadomość, jak bardzo się jest niegodnym. Łatwo ją osiągnąć – wystarczy być uczciwym wobec samego siebie. Już Chesterton mówił, że poczucie bycia niegodnym to złoty klucz – jeden z kluczy św. Piotra. Jedyna droga do tego, by cieszyć się byle chwastem, wiedzie przez przekonanie, że nie jest się tego chwastu godnym.

Nasz problem często polega na tym, że zamiast hołubić poczucie bycia niegodnym, które cudownie sprawia, że doceniamy każdy drobiazg i słowa

dziękczynienia same cisną się nam na usta, wolimy otoczyć się nimbem godności, z wyzyny której nic nie wydaje się dość dobre. Domagamy się całej litanii praw. Gardłujemy za „prawem do szczęścia”, chociaż pozbawiamy się w ten sposób zwykłej radości życia. Mamy też „prawo do dziecka”, więc możemy już na starcie pozbyć się tego, które nie spełnia naszych oczekiwań. Żądamy „prawa do wolności słowa” i jesteśmy tym tak zajęci, że nie cieszy nas zwyczajne „dzień dobry”, nie mamy nawet czasu, żeby na nie odpowiedzieć. Och, nie jestem przeciwny tym prawom. Uważam po prostu, że jeśli postawimy je na piedestale, przyniosą tylko zgorzknienie i coraz liczniejsze pretensje.

Poczucie bycia niegodnym nie ma nic wspólnego z fałszywą skromnością. Wręcz przeciwnie – jest kluczem do odkrycia naszej prawdziwej godności, godności odkupionego stworzenia, godności pustego naczynia, otwartego na przyjęcie łaski. Trudno o trafniejsze słowa niż te, których użyła Teresa z Ávili w zachwycie nad pięknem Boga, który potrafi rozszerzyć duszę i wypełnić człowiecze nic. Tylko jeśli przyznamy się do własnej wewnętrznej pustki i to nasze nic ofiarujemy Stwórcy, zostaniemy wypełnieni po brzegi. Zostaniemy stworzeni – z niczego. W miarę przyjmowania Jego łaski nasza pojemność będzie rosła. Coraz większe z nas

dzbany... (I tu wracamy do punktu wyjścia. Słowa „dzban”, *cruche*, używa się w języku francuskim na określenie niespecjalnie bystrego, lecz bardzo uczuciowego dziewczęcia. Również wielu świętych lubiło porównywać się do dzbanów – maleńkich wobec potęgi wezbranego potoku, lecz dających się napełniać po brzegi, by gasić pragnienie bliźnich).

### MOJA WINA, MOJE SZCZĘŚCIE

Poczucie niegodności, o którym mówiliśmy powyżej, nie jest symptomem zaburzeń psychicznych, lecz wynika z pewnej prawdy ontologicznej. Najprościej rzecz ujmując, samiśmy siebie nie zrobili. Otrzymaliśmy istnienie jako dar, na który w żaden sposób nie zasłużyliśmy. Wystarczyłoby, gdybyśmy potrafili pogodzić się z tym faktem i żyć jak przystało na stworzenia, pełne wdzięczności, otwarte na każdy następny prezent. Niestety, nasza pycha wszystko psuje. Trzeba się jej pozbyć. W przypadku pychy najskuteczniejszym środkiem jest uznanie się za grzesznika.

Oczywiście, cała sztuka polega na tym, żeby uderzyć się w piersi szczerze, a nie na pokaz. Pycha nie zawsze przybiera pozę wyniosłej pogardy; bywa, że



skupia się na niedoskonałości, każe obstawać przy tym, że jest się najgorszym człowiekiem na świecie, zamykać się w przeświadczeniu o własnej beznadziejności i twierdzić, że nie dla nas miłosierdzie Boże. Taka postawa jest nieudolną podróbką prawdziwej pokory. Jeśli uważamy, że wiemy najlepiej, iż nawet Bóg nie jest w stanie wydzwignąć nas z nędzy, to najwyraźniej w ogóle jeszcze nie rozumiemy, jak bardzo jesteśmy nędzni, i że tak naprawdę mało wiemy. Szymon Piotr i to przećwiczył. Na samym początku znajomości z Jezusem, zaraz po wielkim, cudownym połowie ryb, wyrwało mu się: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny” (Łk 5,8). Typowe. Piotr uważa się za niegodnego, ale to poczucie niegodności pośmierduje nieco pychę. Dlaczego? Ano dlatego, że to on zamierza decydować o tym, czego jest godny, a czego nie. Chce być potraktowany tak, jak – w jego mniemaniu – zasłużył, a to zamyka go na przyjęcie niezasłużonej łaski. Trzy lata później, gdy ma już za sobą trzykrotne wyparcie się jakiegokolwiek znajomości z Mistrzem, po pysze nie zostało już ani śladu. Piotr czuje się jeszcze bardziej niegodny, ale teraz jest zdolny do tego, żeby wołać z całą szczerością: „Panie, błagam, przyjdź, i to prędko, bo jestem człowiek grzeszny!”.

Solidne i uczciwe bicie się w piersi to najlepszy sposób, żeby odzyskać zdolność do zachwyty nad

zwyczajnym życiem, a nawet cieszyć się, kiedy ktoś da nam w nos. Doroteusz z Gazy uczy, że postawa ta jest fundamentem wszelkiej radosnej uczynności: „Powodem wszelkiego twojego niezadowolenia jest fakt, że nie uznajesz się za winnego. Zaprawdę, nawet jeśli spełnisz tysiąc dobrych uczynków, ale nie uznasz swoich win, będziesz nadal cierpieł i zadawał cierpienie, przez co cały twój trud okaże się daremny. A jakąż radość i pokój niesie w sobie, wszędzie, dokąd idzie, ten, kto bije się w piersi!”. Nie sposób nie przyznać racji świętemu mnichowi. Kto uważa, że zawinił tak bardzo, iż powinno się go postawić pod pręgierzem i solidnie wybatożyć, będzie się autentycznie cieszył, jeśli po prostu dostanie w mordę. A jeśli ktoś myśli, że zasłużył na stryczek, każdy kolejny oddech uzna za niesamowity przywilej.

Najlepiej, bez dwóch zdań, jest się uznać winnym kary piekła ognistego (co nie jest możliwe, jeśli nie otrzymamy szczególnej łaski Bożej). Wtedy każde nieszczęście, jakie się nam przytrafi na tej ziemi, będziemy przyjmować z prawdziwą ulgą. Oto wymiar kary został zmniejszony – o całą wieczność. Zamiast mąk piekielnych, na które zasługujemy, dostanie nam się zaledwie trochę ziemskich cierpień. Na przykład, że na starość nie będziemy potrafili sami się opasać. Albo że zostaniemy ukrzyżowani. Nawet w takim przypadku będzie za co dziękować.

## BYĆ OJCEM (ŚWIĘTYM)

Każdy szanujący się rekruter, także rekruter-chrześcijanin, musi przyznać, że pierwszy papież został wybrany w sposób urągający sztuce. Referencje miał naprawdę żałosne. Że co? „Kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym” (Ps 118,22)? Bardzo to pięknie. „Z pyłu podnosi biedaka” (1 Sm 2,8)? Doprawdy wzruszające. Tylko niech nikt sobie nie wyobraża, że kierując się powyższymi zasadami, odniesie sukces w dziedzinie zarządzania zasobami ludzkimi!

Ależ zdajemy sobie z tego sprawę i nie zamierzamy się kłócić. Tak się jednak składa, że Kościół nie jest firmą, tylko rodziną, a papież to ojciec, nie specjalista. U ludzi jakoś tak jest, że niemal każdy ojciec ma poczucie, iż nie zawsze potrafi stanąć na wysokości zadania, jest nieprzygotowany do roli, jaką przypadło mu odegrać. I może to dobrze, bo gdyby ojcowie byli ekspertami od opieki nad niemowlętami i wychowania nieletnich, wszyscy zostaliby pedagogami i dla własnych dzieci nie mieliby czasu.

Ojcostwo spada na nas jak grom z jasnego nieba. Nie ma procesu rekrutacji, ani nawet egzaminu uprawniającego do bycia ojcem, który musieliby zdać kandydaci, zanim obejmą to odpowiedzialne stanowisko. Ojcem zostaje z dnia na dzień facet,

który po prostu przespał się z kobietą. Chwila namiętności, którą z nią dzielił, w żaden sposób nie przygotowuje go do nowej roli. Gdy chodzi o sztukę zmieniania pieluch, uspokajanie płaczącego berbecia czy kształtowanie charakteru chimerycznego nastolatka, wciąż jest absolutnie zielony. A jednak – dziecko się pojawia i pewnego pięknego dnia jego matka wciska je ojcu w ramiona. Ten powolutku uczy się, jak z nim postępować. Na przykład przyśwaja sobie, że nie należy zamykać małego potwora w szafie, by nie słyszeć jego wrzasków, bo to metoda na dłuższą metę nieskuteczna. Choć z czasem nabiera pewnej wprawy, poczucie, że stąpa po niepewnym gruncie, ciągle mu towarzyszy. My, ojcowie, czujemy się niegodni powierzonej nam roli i to poczucie niegodności jest najcenniejszą rzeczą, jaką możemy ofiarować naszym synom i córkom.

Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że w ten sposób uczymy nasze dzieci, iż Ojciec tak naprawdę jest jeden – ten Niebieski. Wszyscy razem możemy oddać się pod Jego opiekę, bo On jest „Ojcem, od którego bierze nazwę wszelki ród na niebie i na ziemi” (Ef 3,14–15). Oto najważniejsze zadanie wychowawcze, któremu zawodowi wychowawcy raczej nie sprostają – właśnie dlatego, że są świetnie wyszkoleni, a swoją pracę wykonują w ramach odpowiedniej umowy, a nie w ramach rodziny.

Po drugie, skoro nasz rodzicielski autorytet wynika tylko i wyłącznie z prostego faktu, żeśmy obrosli w dzieci, a nie został nam przyznany za wielkie zasługi, imponującą wiedzę czy niespotykane umiejętności, to nasze dzieciaki mogą nauczyć się od nas, niegodnych, że ważne jest przede wszystkim zaufanie do życia i wiara w Opatrzność, nie zaś sterowanie procesem produkcji. Gdybyśmy potomstwo wytwarzali, programując w szczegółach jego cechy i planując przyszłe życie – pasmo sukcesów i zero cierpienia – nasza sytuacja byłaby odwrotnością przygody Gepetta. Dzieci zamieniłyby się w marionetki.

Po trzecie, jeśli czujemy się niegodni posiadania dzieci, bo dranie z nas, łajdaki, ciamajdy albo safandudy, i na serio nie mamy niczego do ofiarowania młodemu oprócz własnej kiepskości, to... świetnie. Bo nawet jeśli trafi się nam prawdziwe monstrum, uznamy to za niezasłużone błogosławieństwo. Co innego zadufek, który uważa, że tak daleko w życiu zaszedł, iż ma prawo do posiadania dziecka na poziomie – takiego, które nie przyniesie mu wstydu, tylko będzie chodzącą reklamą, namacalnym dowodem jego życiowego sukcesu. Nawet jeśli takiemu człowiekowi urodzi się aniołek, szybko zamieni się w demona. I będzie się mścił za to, że został użyty jako wizerunek marki. Ojciec nie-

godny, czyli ten prawdziwy, nigdy nie pozwoliłby sobie na taką arogancję wobec dziecka. I jest w tym podobny do pierwszego Ojca Świętego. Wyznaje swoją marność i to wyznanie sprawia, że staje się zdolny do tego, żeby przygotować drogę dla prawdy większej niż jego własna.



## XI

# WSZELKIEMU STWORZENIU

*I rzekł do nich: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony. Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą: w imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą; węże będą do rąk, i jeśli by co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić. Na chorych ręce kłaść będą, i ci odzyskają zdrowie”.*

Ewangelia według św. Marka 16,15–18







Mamy zacząć gadać do łosi, komarów i szuwarów? Czy na tym, między innymi, polega różnica między Dobrą Nowiną a świeżym newsem? Wiadomość o zwycięstwie Realu Madryt nad Barceloną przekazywana jest wyłącznie ludziom, a zainteresuje tylko wąskie grono kibiców piłkarskich. Czy nowina o zwycięstwie Chrystusa nad śmiercią dotyczy również, na przykład, małży, i czy powinniśmy głosić ją im w odpowiedni, zrozumiały dla nich sposób? Cóż, Zmartwychwstały powiedział zupełnie jednoznacznie: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu” (Mk 16,15).

Dwa polecenia. Ale ich sens wybrzmiewa w pełni tylko wtedy, kiedy je połączymy, bo drugie z nich uszczegóławia pierwsze. „Na cały świat” nie musi koniecznie oznaczać wielkich odległości, może sugerować – i chyba w pierwszej kolejności to czyni – powszechność przekazu. Nie wystarczy dotrzeć na Borneo, by tam ewangelizować malezyjskich muzułmanów. Trzeba zdobyć się na coś jeszcze bardziej ekscentrycznego – zostać na własnym podwórku i ewangelizować Tartaczka, pieska leciwej sąsiadki.

Taki na przykład św. Franciszek z Asyżu wygłosił kazanie do ptaków i nawrócił krwiożerczego wilka z Gubbio. A sam Pan nasz, Jezus Chrystus, odezwał się kiedyś do drzewa figowego, innym razem zaś nakłaniał uczniów, by starali się o wiarę, która pozwoli im dyktować górom, gdzie mają się przemieścić, te zaś będą im posłuszne.

Na razie mówiliśmy o bytach stworzonych przez naturę, takich jak ptaki, wilki, drzewa czy góry. A przecież „cały świat” to nie tylko one. Co z przedmiotami stworzonymi przez człowieka? Daleko nie szukając – naszym telefonom komórkowym z pewnością należałaby się porządna lekcja. Nie zgodzę się w tym miejscu z pryncypialnymi ekologami, którzy miłością otaczają zwierzaki, ale sprzęty – już nie. Uważam, że Ewangelię trzeba głosić także stolom, lampom, własnym gątkom. Zmywarce – niech pozwoli nam od czasu do czasu zaznać satysfakcji, jaką jest samodzielne wyszorowanie na błysk gara po bigosie, albo przeżyć wyjątkową chwilę bliskości z krewnymi, gdy we trzech stoimy nad zlewem, ja zmywam, szwagier płucze, a kuzyn wyciera do sucha talerze i sztućce. Telewizorowi – niech zachowa minimum kultury i nie przerywa nam, kiedy rozmawiamy w gronie rodziny i przyjaciół. Zalecałbym każdemu misjonarzowi, żeby działalność zaczął od kazań do ściany; albo niech spróbuje gło-

sić Dobrą Nowinę naładowanemu pistoletowi, który wpatruje się weń czarnym okiem lufy. Oto ćwiczenia, które pomogą przygotować się do spotkania z braćmi w człowieczeństwie.

Czytelnik myśli zapewne, że się na żarciki. Nic podobnego. Nigdy nie mówiłem poważniej. Uważam, że pod żadnym pozorem nie wolno pomniejszać rangi zmartwychwstania, traktując je jak rzeczywistość, która dotyczy wyłącznie świata ludzi. Nie. Zmartwychwstanie ma wymiar kosmiczny. To nie jest nasza prywatna nagroda pocieszenia, zabawa dla wtajemniczonych, „sposób przeżywania duchowości” czy jeden z licznych cudów, w które wierzą ludzie religijni. Zmartwychwstanie jest jak eksplozja radioaktywna – wdziera się w świat materialny, obejmuje wszystko, od bozonu Higgsa po prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ewangelizacja nie może więc w niczym przypominać szerzenia propagandy. Mamy świadczyć o czymś, co jest tak samo istotne dla omułka i dla gwiazdy, dla kocura dachowca i dla Sandry Bullock. Piękne słówka na nic nam się nie zdadzą. O stosowaniu socjotechnicznych sztuczek też możemy zapomnieć – ani maź niskoskrzelny, ani kuliste ciało niebieskie zbudowane z materii w stanie plazmy, ani zdziczały kot nie dadzą się na nie nabrać. Obawiam się, że nawet słynna aktorka mogłaby puścić je mimo uszu.

## UFF, TO TEŻ STWORZENIE BOŻE

Mam kumpla charyzmatyka, który jest weteranem ewangelizacji ulicznej. Zdradził mi, jak sobie radzi w trudnych sytuacjach. Otóż, powiada, w bliźnim należy widzieć przede wszystkim stworzenie Boże, a nie zaraz koniecznie przedstawiciela gatunku *homo sapiens*:

Kiedy trzymamy się świadomości, że typ, który stoi przed nami, to istota ludzka, a konkretnie istota ludzka powołana do świętości, grozi nam srogie rozczarowanie stanem faktycznym. Nabieramy ochoty, żeby na dzień dobry zacząć typa umoralniać, napominać, wytykać mu błędy i lamentować, że żyje jak plugawy wieprz, choć przecież jest „niewiele mniejszy od istot niebieskich” (Ps 8,6). A wystarczy powiedzieć sobie, że to indywiduum jest po prostu stworzeniem Bożym, na tej samej zasadzie co wieprz albo, nie przymierzając, dżdżownica. Problem od razu znika. Nie sposób nie dostrzec, że jak na przedstawiciela trzody chlewnej albo skąposzczetów, osobnik jest naprawdę wybitny. Bywa też, że podchodzi do nas gość, który zaczyna się rzucać. Na własny użytek klasyfikuję go jako członka podrodziny ssaków naczelnych zwanej wyjcami i konstatuje z przyjemnością, że jest to wyjec nadzwyczajnej postury i urody, a także, jak na małpiszona, całkiem dobrze wychowany. Zdarza-

ją się tacy, którzy niczego kompletnie nie są w stanie zrozumieć – trafiają do królestwa roślin; jestem pewien, że dostrzegam pokrewieństwo z warzywami okopowymi. I z zachwytem myślę, że tak fantastycznych buraków w życiu jeszcze nie widziałem... W ogóle uważam, że skupianie się na tym, jaki powinien być człowiek, bardzo nasze pole widzenia zawęża. Weźmy Esmeraldę z *Katedry Marii Panny w Paryżu* Wiktora Hugo. Dziewczyna boi się spojrzeć na Quasimoda, biednego brzydala, ale swoją kożę Dżali – kudłatego zwierza z rogami, kopytami i brodą – czule głaszcząc. Nic dziwnego, że widząc tę scenę, Quasimodo wzdycha, „potrząsając swą ciężką i niekształtną głową: – To całe moje nieszczęście, że zbyt jeszcze jestem podobny do człowieka. Chciałbym być całkowicie zwierzęciem jak ta koza”. Gdyby nadobna Cyganka powiedziała sobie, że jej wierny przyjaciel to po prostu stworzenie Boże dowolnego gatunku, a nie zdeformowany przedstawiciel rodzaju ludzkiego, z pewnością nabrałaby ochoty, żeby i jego pocziwy łeb pogłaskać. Dlaczego Quasimodo miałby mniej ją rozczulać, niż, dajmy na to, oswojony baranek? Baranki wydają się nam słodkie, ale przecież gdyby oceniać ich wygląd, przyrównując do kanonu ludzkiej urody, musielibyśmy widzieć w nich zdeformowane potwory.

Może to jest pomysł? Zamiast narażać się raz po raz na szok estetyczny czy moralne zniesmaczenie,

pozwołmy sobie na radość dziecka w ZOO. Zobaczymy w każdym bliźnim po prostu stworzenie Boże, a więc istotę, która przede wszystkim ma prawo chodzić po tej ziemi. O ile się nie zagalopujemy, i, na przykład, nie zamkniemy agresywnego typka w małpiarni, a tego mała bystrego nie wrzucimy do zupy, teologia daje nam swoje błogosławieństwo. Bo jedną z podstawowych prawd, jakie głosi, jest to, że wszelkie stworzenie istnieje wyłącznie dlatego, że jest chciane przez Stwórcę i podtrzymywane w bycie aktem Jego woli. Jeśli widzimy w kimś stworzenie Boże, uznajemy zarazem, iż istnieje ono dlatego, że życzy sobie tego sam Bóg.

Choć czasem może się to wydawać trudne do przełknięcia, taka jest niepodważalna prawda: gdyby Bóg nie kochał tego durnia, na którego ja patrzeć nie mogę, ów dureń by nie istniał. Jeśli więc głosimy Ewangelię Bożym stworzeniom, przede wszystkim musimy powiedzieć „tak” ich istnieniu, a dopiero potem możemy próbować cokolwiek im przekazać. Zanim zaczniemy działać „dla ich dobra” (oto ulubione hasło każdego ciemężyciela, poczynając od despotycznych rodziców, a na systemach totalitarnych kończąc), trzeba, żebyśmy byli gotowi powiedzieć każdemu z nich „dobrze, że jesteś”. Ktoś wydaje się nam bezdennie głupi? Nie zmienia to faktu, że powołała go do istnie-

nia odwieczna mądrość. A może jest niemiłosier-  
nie szpetny? Stworzył go Ten, który jest źródłem  
wszelkiego piękna. Podły, małpio złośliwy, niebez-  
pieczny, okrutny? I on swoje istnienie zawdzięcza  
wszechmocnej dobroci.

Nikt nie powiedział, że będzie lekko. Jeśli przy-  
miemy ten punkt widzenia, będzie raczej i śmiesz-  
no, i straszno. Nieprzejednany ateusz, który powta-  
rza z uporem, że słowo Boże to opium dla ludu, sam  
jest słowem Boga (jego istnienie nim jest, a nie to,  
co opowiada). Fanatyk, który straszy wiecznym po-  
tępieniem i okrutnym, karzącym Bogiem, jest cho-  
dzącym dowodem Bożej łaskawości. Przedwieczny  
jest dość cierpliwy, by znosić takie ujadanie.

## WSZYSTKO W NIM MA ISTNIENIE

– A więc to tak – powie czytelnik. – Zmartwych-  
wstanie miało być wydarzeniem kosmicznym, autor  
narobił nam nadziei, a teraz gada tylko o ludziach.  
Gdzie się podział fascynujący projekt powołania  
specjalnej kongregacji do spraw dialogu między ga-  
tunkami? Co z ewangelizacją łośi i komarów? Co  
z budowaniem wspólnoty ekumenicznej z kamie-  
niami? Byłaby to piękna sprawa, bo wiadomo prze-



cież, że gdy ludzie umilkną, „kamienie wołać będą” (Łk 19,40).

Może czas powrócić do śledztwa, które prowadziliśmy w poszukiwaniu ciała Zmartwychwstałego? Odnaleźliśmy je – w chlebie i w naszym bliźnim, we wspólnocie, która tworzy się wokół eucharystycznego stołu. Ale możemy posunąć się dalej i powtórzyć za św. Pawłem, że „wszystko w Nim ma istnienie” (Kol 1,17). Zmartwychwstały objawia się i bierze udział w zwyczajnym życiu. Robi to, żeby nauczyć nas boskiej prostoty, ale także dlatego, że nasze cielesne oczy nie wszystko widzą. Owszem, każdy z nas mógłby zobaczyć płótna w pustym grobie, które opadły, zachowując kontur ciała, nierozwinięte, w ogóle nienaruszone. Ale trudniej nam dostrzec to, że ciało uwielbione nie podlega już ograniczeniom czasoprzestrzennym, w jakich żyjemy. Nie tyle istnieje ono w świecie, co świat istnieje w nim.

Poezja miłosna widzi lepiej niż szkiełko i oko. Znajdziemy w niej niejedną zapis zdumiewająco trafnej intuicji. Jakby od zawsze przeczuwała, że tak niesamowite odwrócenie sytuacji jest możliwe. Oto zamieniają się miejscami postać i pejzaż, ciało i otaczająca je przestrzeń. Oblubieniec zamyka w objęciach wszechświat. André Breton tak ubiera w słowa to niezwykle zjawisko:

Moja żona o włosach z płonącego drewna (...)  
O brwiach jak krawędzie jaskółczego gniazda (...)  
Moja żona o ramionach jak otwierany szampan (...)  
I jak fontanna z głowami delfinów pod lodem (...)  
Moja żona o piersi jak Dolina Żłota (...)  
Moja żona o grzbiecie ptaka co ulatuje pionowo<sup>1</sup>.

Surrealista sam nie wie, jak bardzo jest realistą.  
Odnalazł realizm miłości. Prawdopodobnie wydaje  
mu się, że stworzył dzieło całkowicie nowatorskie,  
a przecież to poetyka Pieśni nad Pieśniami, gdzie  
Oblubieniec zwraca się do Oblubienicy:

Włosy twe jak stado kóz  
falujące na górach Gileadu.  
Zęby twe jak stado owiec strzyżonych,  
gdy wychodzą z kąpieli (Pnp 4,1–2).

Oblubienica zaś mówi o oblubieńcu:

Oczy jego jak gołębicę  
nad strumieniami wód. (...)  
Jego policzki jak balsamiczne grzędy,  
dające wzrost wonnym ziołom.  
Jak lilie wargi jego... (Pnp 5,12–13).

---

<sup>1</sup> André Breton, *Wolny związek*, przeł. A. Ważyk. Cyt. za: Portal wierszy miłosnych, [www.milosc.info](http://www.milosc.info).

*Licentia poetica*? Oczywiście, ale od czasu wniebowstąpienia (a w przypadku kobiety – od czasu wniebowzięcia) jest to także metafizyczna rzeczywistość.

Chcielibyście spotkać Jezusa, ale wydaje się wam, że to przywilej dostępny garstce wybrańców? Cud, o jakim zwykli ludzie nie mają co marzyć? Ależ nic podobnego. Wystarczy spotkać kogokolwiek... albo nawet cokolwiek. Kałużę, w której odbija się niebo i obłoki. Piwonię, która rozsnuwa w wiosennym powietrzu niewidzialną sieć słodkiej woni. Kocura wylegującego się w słońcu... A nawet McBooka i wpatrującego się w jego ekran przyszczatego młodzieńca, który jest naszym własnym siostrzeńcem. Cała sztuka polega na tym, żeby to coś albo tego kogoś spotkać naprawdę. Jeśli przeczuwamy w nich tajemnicę, która przyprawia nas o zawrót głowy, to jakbyśmy dostrzegali Jezusa, który podtrzymuje w bycie wszystko i wszystkich, sam dźwiga ludzkie grzechy i chce każdego uwolnić od ich ciężaru. Oczywiście, przeprowadzenie takiego doświadczenia wymaga przygotowania. Trzeba nauczyć się odczytywać rzeczywistość przez pryzmat Pisma i smakować ją w Eucharystii. Ale na tym właśnie polega głoszenie Ewangelii. Oto początki „mówienia nowymi językami” (por. Mk 16,17)

– gdy na widok błotnistej kałuży wykrzykujemy: „Chwała Ci, Panie!”. Tak wygląda „branie węży do rąk” (por. Mk 16,18) i popijanie trucizny bez szkody dla zdrowia – można wszak używać McBooka i nie stracić poczucia obecności w rzeczywistym świecie. Mamy moc „uzdrawiania chorych” i „wypędzania złych duchów” (por. Mk 16,18.17) – bo wierzymy, że Pan otacza naszego przyszczatego siostrzeńca swoją czułą opieką i, wbrew czysto ludzkim obawom, czyni go zdolnym do tego, by porzucił *play station* i został zagorzałym fanem Pieśni nad Pieśniami.

## KRĘTE ŚCIEŻKI OPATRZNOŚCI

Stworzenie od początku otoczone było miłością Stwórcy. Teraz, w dniach ostatecznych, ogarnia je zbawcza moc Chrystusa. Dobrej Nowiny nie da się zamknąć w ramach moralności, choć oczywiście należy tej ostatniej bronić. Na szczęście jednak także i występki może okazać się błogosławiony. Moja dobra znajoma, Douve, opowiadała mi niedawno o tym, jak w dramatycznych okolicznościach poroniła. Krwawienie było nagłe i tak obfite, że biedaczka zdołała tylko dotrzeć do łazienki, a potem

straciła przytomność. W środku nocy. Traf chciał, że jej siostra, Cosima, ostro zabalowała i wracała właśnie z imprezy. Znalazła nieprzytomną Douve, szybko wezwała pogotowie. Wszyscy porządni ludzie o tej porze spali snem sprawiedliwego, żaden z nich nie ocknąłby się na czas, żeby uratować życie tej młodej kobiety. Pochwalony niech będzie clubbing?

To może zbyt pochopny wniosek. Cosima znalazła się we właściwym czasie na właściwym miejscu, ale gdyby słabość dopadła jej siostrę nie o trzeciej w nocy, a o dziewiątej rano, odsypiałyby właśnie nocne rozrywki i ogóle nie usłyszała jęków tamtej. A więc chodzi po prostu o przypadek, zwykły zbieg okoliczności? Nie wiem, czy taki zwykły. Przypomina niejedną historię zapisaną w Biblii, gdzie ze zła wynika dobro, a kontrasty są o wiele mocniej zaznaczone.

Pewnego pięknego dnia synowie Jakuba postanawiają pozbyć się najmłodszego brata, Józefa, bo ten strasznie działa im na nerwy. Zastanawiają się, czy go nie zabić, ale w końcu sprzedają chłopaka kupcom zmierzającym do Egiptu. Tym niefortunnym zdarzeniem rozpoczynają się perypetie Józefa, w wyniku których faraon mianuje go rządcą całutkiego Egiptu, a gdy nastaje głód, Józef ratuje swoją rodzinę od śmierci. (Uwięziony w londyńskiej

Tower, oczekując na śmierć, Tomasz Morus pisze na marginesie swojego modlitewnika: „Uznawać wrogów za przyjaciół, bodaj nawet jedynych przyjaciół. Bracia Józefa nie mogliby nigdy uczynić mu tak dużo dobrego swą miłością i przychylnością, jak uczynili mu swą złościwością i nienawiścią”<sup>2</sup>).

A Rachab? To dama lekkich obyczajów. Prowadzi dom otwarty przy samym murze Jerycha, więc izraelscy wywiadowcy wysłani przez Jozuego trafiają do niej jak po sznurku. Jedno wydarzenie prowadzi do drugiego i w efekcie Rachab trafia do rodowodu Jezusa, tak samo jak cudzołożnica Batszeba. Ale wszystkie te szczęśliwe wydarzenia, którym uitorowały drogę wybory moralnie wątpliwe, to absolutnie nic w porównaniu z krzyżem Chrystusa. Oto człowiek, który nic złego nie uczynił, został zdradzony, skazany na okrutną śmierć, skonał w mękach. Potworna niesprawiedliwość, przez którą dokonano się... ni mniej, ni więcej, tylko zbawienie świata. Czy mamy w związku z tym przykłaśnać stosowaniu tortur, uprawianiu nierządu czy praktyce sprzedawania młodszych braci w niewolę? No cóż, nie jest to wcale taka rzadka postawa.

---

<sup>2</sup> Tomasz More, *Modlitwa*, przeł. A. Makowska, w: tegoż, *Pisma więzienne*, przedmowa William Roper, przekład zbior., W drodze, Poznań 1985, s. 138.

Wpisuje się w panujący dziś na świecie liberalny trend, który wręcz nawołuje do tego, żeby postępować egoistycznie, a Niewidzialna Ręka Rynku sprawi, że nasze prywatne występki przyczynią się do ogólnego dobrobytu.

Kto głosi Ewangelię, pragnie Dobra. Ewangelia jednak przypomina mu, że Dobro urzeczywistnia się według „niezbadanych wyroków” i przychodzi „drogami nie do wyśledzenia” (por. Rz 11,33), często w sposób, którego nie da się przewidzieć w najśmielszych planach ani zrealizować, respektując granice prawa. Kto głosi Ewangelię, ma po swojej stronie Opatrzność: „Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim” (Rz 8,28); mało tego, całe stworzenie gra w jego drużynie: „stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych” (Rz 8,19). Nie znaczy to oczywiście, że można spokojnie rozsiąść się na kanapie, oczekując, iż więksi gracze wezmą na siebie całą akcję, albo skupić się na własnych interesach, licząc na bezosobowe mechanizmy, zdolne przemienić egoizm każdego w korzyść dla wszystkich. Teoria wolnego rynku jest tylko ponurą parodią teologii Opatrzności Bożej. Jak najbardziej, powinniśmy działać. Nie z egoizmu i nie dla siebie, ale w sposób pełen zrozumienia i wyczucia, towarzysząc stworzeniu, które „jęczy i wzdycha w bólach rodzenia”

(Rz 8,22). Wszak każdy mędrzec ma w sobie coś z akuszerki. Zamiast się miotać, usiłując narzucić światu swoją wolę, możemy pomagać przy porodzie rzeczywistości.

Brzmi to pięknie, ale nie ma co się nadmiernie ekscytować. Doświadczenie do najłatwiejszych nie należy. Grając w jednej drużynie z całym stworzeniem, przeżywa się chwile naprawdę straszne. „Zewsząd znosimy cierpienia (...) obalają nas na ziemię” (2 Kor 4,8–9). Możemy sobie do woli planować, rzeczywistość i tak zawsze będzie górą. Nudziarza, który nie daje się spławić akurat wtedy, gdy marzymy o chwili świętego spokoju, powinniśmy traktować jak wysłannika niebios. W momencie słabości wolno nam jednak pocieszyć się myślą, że i my nie ułatwiamy bliźnim życia. Możemy doprowadzić do tego, że ateusz poczuje, iż jest słowem Boga, a srogi fanatyk zrozumie, iż jest dowodem na Bożą cierpliwość. Douve powiedziała Cosimie prosto z mostu, że to Wszechmocny wysłał ją na imprezę, by mogła stanąć w drzwiach dokładnie o godzinie, o której – czego żadna z nich dwóch się nie domyślała – będzie potrzebna, żeby uratować życie siostrze. Bogu zdarzały się już takie akcje. Czyż nie nasłał wielkiej ryby na proroka Jonasza, aby ta połknęła go, a potem wypłuła u wybrzeży Niniwy? (Cosima nie włóczy się już po



klubach. Jest zbyt zajęta pracą – występuje w knajpach, śpiewając stare ballady o miłości, w których, choć są mało pobożne, pobrzmiewają echa Pieśni nad Pieśniami).

## CAŁY ŚWIAT I KRÓLESTWO BLISKOŚCI

Jeśli „cały świat” oznacza również „wszelkie stworzenie”, to mamy naprawdę huk roboty z głoszeniem Ewangelii. A problemy pojawiają się już na starcie – bywa, że trudniej jest się dogadać z własną rodziną, niż z toczącym pianę z pyska pitbullem. „Tylko w swojej ojczyźnie i w swoim domu może być prorok lekceważony” (Mt 13,57). Prawdziwe schody zaczynają się wtedy, kiedy każdy z domowników uważa, że to jemu właśnie należy się tytuł lekceważonego proroka. Zresztą, rodzina to nie tylko domownicy, ale też stryjowie, wujowie, stryjenki i ciotki, dziewierze, jątrwy, zełwy i zełwiny, szurzyni i swakowie, świeści i paszenogowie... słowem – egzotyczne plemiona o najdziwniejszych, dzikich obyczajach, jakich próżno szukać wśród ludów zagubionych gdzieś w głębi dziewiczej puszczy... Ale dość wytrząsania się nad krewnymi i powinowatymi; trzeba sobie szczerze powiedzieć, że dzikusiem,

który najbezczelniej wierzga przeciw słowu Bożemu, jest nasze własne serce. Wiemy dobrze, że są w nim mroczne ostępy, gdzie boimy się zapuścić... Czy może być lepszy dowód na to, że świat jest znakomicie urządzony? Nie musimy daleko szukać areny cyrkowej albo pretorium. A że Ziemia jest okrągła, jej kraniec znajduje się... właśnie tutaj.

Są jednak tacy, którzy apel, by nieść świadectwo o Chrystusie na krańce świata, rozumieją dosłownie. Może mają nadzieję, że nie doznają tam rozczarowań tak dotkliwych, jak we własnej ojczyźnie? Mniejsza z tym. Ważne, że muszą spakować walizki. Polecenia: „Idźcie na cały świat” nie można sprowadzić do: „wyślijcie wiadomość do wszystkich na Facebooku”. Powszechność, a więc katolickość misji polega na czymś zupełnie innym niż globalizacja informacji. Do adresatów trzeba udać się osobiście, innego wyjścia nie ma. Miłości bliźniego może nauczyć tylko ktoś, kto jest blisko. Tajemnicę wcielenia może przekazać tylko ktoś, kto stanie przed słuchaczami we własnej osobie, jako człowiek z krwi i kości. Kiedy Jezus wysyła apostołów po dwóch, poleca im głosić, że królestwo niebieskie jest bliskie (por. Mt 10,7). Czy nie chodziło mu o to, że Królestwo jest tam, gdzie bliskość? Że odnajdujemy je, kiedy się w bliskość angażujemy? Tylko bliskim ludziom można przekazać Ewange-

lię o Królestwie – dlatego uczniowie mają głosić ją „wszystkim narodom, począwszy od Jerozolimy” (Łk 24,47).

Skoro „wszystko w Nim ma istnienie” (Kol 1,17), misjonarz zawsze, nawet gdyby jechał na kraniec świata, udaje się tam, gdzie Chrystus już jest – tyle że miejscowi jeszcze o tym nie wiedzą. „Idzie przed wami do Galilei” (Mk 16,7), a także do Chin, na tarasy Machu Picchu, pod Łomżę czy na przedmieścia Des Moines w Iowa. Misjonarz nie przybywa, żeby ustawić na cokole nowe, nieznane bóstwo. Przychodzi, żeby świadczyć o Tym, który jest najbliżej. Dlatego, nawet jeśli dotarł do kraju za siedmioma morzami i za siedmioma górami, głęboko zapuszcza w nim korzenie. I pozwala chętnie, żeby jego krew użyźniła tę obcą ziemię.

## XII

# DAĆ SOBIE GŁOWĘ UCIAĆ (ALBO UKAMIENOWAĆ CIAŁO)

*A on pełen Ducha Świętego patrzył w niebo i ujrzał chwałę Bożą i Jezusa, stojącego po prawicy Boga. I rzekł: „Widzę niebo otwarte i Syna Człowieczego, stojącego po prawicy Boga”. A oni podnieśli wielki krzyk, zatkali sobie uszy i rzucili się na niego wszyscy razem. Wyrzucili go poza miasto i kamienowali, a świadkowie złożyli swe szaty u stóp młodzieńca, zwanego Szawłem. Tak kamienowali Szczepana, który modlił się: „Panie Jezu, przyjmij ducha mego!”. A gdy osunął się na kolana, zawołał głośno: „Panie, nie poczytaj im tego grzechu!”. Po tych słowach skonał.*

Dzieje Apostolskie 7,55–60





Wiadomo, że niemal wszyscy, którzy na własne oczy widzieli Zmartwychwstałego, niedługo później zginęli gwałtowną śmiercią. Jednych ukrzyżowano – normalnie albo, dla odmiany, głową w dół, innych ścięto mieczem lub przebito włócznią, kogoś obdarto ze skóry, był nawet taki, którego zrzucano z dachu, a potem ukamienowano. Nie trzeba być przesadnym, żeby poczuć dreszcz. Wygląda na to, że mamy tu do czynienia z czymś o wiele bardziej złowrogim i śmiercionośnym niż klątwa Tutenchamona. Ale, rzecz dziwna, ofiary nie zgłaszają zastrzeżeń. W swojej sytuacji, ze wszech miar nieprzyjemnej, widzą nie przekleństwo, a błogosławieństwo. To nie zemsta faraona, a raczej nowe wyjście z Egiptu.

Zgody na męczeństwo nie należy mylić ze skłonnościami samobójczymi ani z uporem, by dyskutować do upadłego. Skłonności samobójcze mogą wypływać z pragnienia, by za wszelką cenę znaleźć ukojenie. Skoro nie mogę zaznać go na kanapie, trudno, położę się w trumnie. Kto dyskutuje do upadłego, chce za wszelką cenę zmusić rozmów-

cę, by ten się z nim zgodził. Skoro argumenty słowne nie podziałały, może zrobi na nim wrażenie drastyczna scena? Niektóre dzieci rzucają się na ziemię i walą głową o płyty chodnika, gdy nie chcemy kupić im lizaka. Pseudomęczennicy nie wykazują się większą dojrzałością, niż dwulatki w fazie buntu. Tak bardzo chcą dowieść swojej racji, że nie zawahają się roztrzaskać sobie czaszki u naszych stóp, byle tylko wyrzucić odpowiednio mocne wrażenie. Niezbyt to grzeczne zachowanie (jak można w ferworze dyskusji ochlapać komuś całe spodnie?!) i nie ma nic wspólnego z *fair play* (roztrzaskując sobie czaszkę, gość przerwał nam w pół słowa. Zrobił to równie skutecznie, co gdyby poderżnął nam gardło). Właśnie chcieliśmy zaprosić go na szklaneczkę wina, żeby kontynuować nasz spór w przyjemnych okolicznościach, ale nic z tego, bo ten leży jak długi, brocząc krwią na nasz dywan...

Postawa przyzwolenia na męczeństwo nie ma nic wspólnego z podobnym grubiaństwem. Jest absolutnie zgodna z zasadami *savoir-vivre'u*. Po pierwsze, wynika nie z fascynacji śmiercią, ale z umiłowania życia, umiłowania tak wielkiego, że chce się, by życie było wieczne. Po drugie, męczennik nie rezygnuje z uprzejmości, tej samej, która każe mówić „proszę przodem”. Świadek Zmartwychwstałego zawsze przepuszcza bliźniego przodem. Ale

ponieważ pierwszego przepuścił Chrystusa, potrafi zauważyć różnicę pomiędzy bezpiecznym szlakiem a osuwiskiem wiodącym prosto w przepaść, pomiędzy uroczą ścieżką a śmiertelnie zdradliwym trzęsawiskiem. Z tego właśnie powodu jego „proszę przodem” zamienia się czasem w gwałtowne, obcesowe wręcz *vade retro*, ale to nie znaczy, że uchybił grzeczności. Człowiek uprzejmy usuwa się na bok i przytrzymuje otwarte drzwi, żeby jego bliźni mógł wygodnie przez nie przejść, ale jeśli te drzwi prowadzą do piekła, ten sam człowiek, w odruchu uprzejmości, zatrzaśnie mu je przed nosem i zdecydowanie zagrozi drogę.

Niestety, groźne osuwisko często przypomina bezpieczny szlak, a bagno kryje się pod gąszczem kwiatów. Piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami, podczas gdy do raju wiedzie niezbyt zachęcająca droga krzyżowa... Ten, któremu wyświadczono przysługę, widzi w niej akt agresji. Od nowej nadziei woli swoje stare, czarne myśli. Dlaczego? Bo są jego własne, mieszczą mu się w głowie. Od Bożego błogosławieństwa i niespodziewanego szczęścia woli znajome, ludzkie poczucie satysfakcji, które go nie przerasta i w żaden sposób nie niepokoi, wręcz przeciwnie, chroni przed rozdarciem. Skutek jest taki, że w podzięcie śpieszy uprzejmego człowieka uśmiercić. Męczennikowi nie wypa-



da zbyttnio protestować. Ten, który przyprawia go o śmierć, popełnia oczywiście tragiczny błąd, ale w jego postępowaniu jest jakaś przerażająco trafna intuicja. Czyż – powtórzmy to raz jeszcze – do raju nie wiedzie droga krzyżowa? Dzięki swojemu oprawcy męczennik znalazł się właśnie na ostatniej prostej.

Oto, co spotkało Szczepana, pierwszego męczennika. Był mężem cieszącym się dobrą sławą, pełnym Ducha i mądrości, jednym z siedmiu, którym powierzono zadanie obsługi stołów (Dz 6,3–6). Z pewnością znał jak mało kto zasady *savoir-vivre*'u.

### SZCZEPAN, SZAWEL I ANANIASZ

Święta, święta i po świętach – minęło Wniebowstąpienie, minęła Pięćdziesiątnica. A Chrystus objawia się nadal. Czyż nie miał zniknąć sprzed naszych oczu, żebyśmy mogli żyć w Duchu? Czy wspólnota nie jest Jego mistycznym ciałem, a nasi bliźni – Jego członkami? Dlaczego więc w Piśmie Świętym czytamy o kolejnych objawieniach? Coś tu się nie zgadza... Chyba, że to są po prostu wyjątki potwierdzające regułę. I ponadto dowodzące, że dla Boga nie ma nic niemożliwego.

Dzieje Apostolskie opisują trzy takie nadliczbowe objawienia. Po wniebowstąpieniu Jezus ukazał się Szczepanowi, Szawłowi i Ananiaszowi. Zauważmy jednak, że te widzenia są inne od wcześniejszych objawień. Wnikliwy czytelnik doliczy się czterech bardzo wyraźnych różnic. Po pierwsze, nowe objawienia są prywatne. Jezusa widzi tylko jeden człowiek; inni, obecni na tym samym miejscu, nie mogą Go zobaczyć. To już nie te czasy, kiedy po prostu pojawiał się w Wieczerniku i pozdrowiał wszystkich, przyłączał się do podróżnych, żeby podyskutować, albo wołał z brzegu do rybaków. Teraz – i to jest druga charakterystyczna cecha objawień opisanych w Dziejach – Jezus nie chodzi po ziemi. Niebo otwiera się nagle, by ukazać Go, stojącego po prawicy Ojca. Po trzecie, istnieje bezpośredni związek między każdym z tych objawień a męczeństwem. Jak gdyby ci, którym dane było zobaczyć na własne oczy blask chwały Zmartwychwstałego, otrzymali też pierwszeństwo, gdy chodzi o udział w Jego Krzyżu. Po czwarte wreszcie, objawienia te mają moc tworzenia więzi między nieprzyjaciółmi. Dzięki nim dzieje się coś, co po ludzku, w naszej horyzontalnej, rządzonej czasem logice, nie byłoby możliwe – prześladowany i prześladowca stają się braćmi w jednej wspólnoty. Najpierw Jezusa widzi Szczepan, i jest pod tak wielkim wrażeniem, że nie

może milczeć. Chyba nigdy żaden artysta estradowy nie wywołał swoim wystąpieniem równie skrajnych emocji. Publika wrzeszczy, zatyka sobie uszy. Wkrótce Szczepan obrywa, i to nie pomidorami, a kamieniami, które zaraz robią się czerwone od jego krwi. Kto zapewnia komfort tej zgrai, pilnując kapot, które zrzucili, by tym swobodniej i celniej ciskać głazami, miażdżąc ciało i gruchocząc kości męczennika? Niejaki Szaweł. Nie wie on jeszcze, że będzie następnym, który zobaczy Jezusa. Nie wie, że do tego niesamowitego spotkania doprowadzi go modlitwa Szczepana, który, przywalony kamieniami, zdołał jeszcze zawołać, jak Chrystus na krzyżu: „Panie, nie poczytaj im tego grzechu” (Dz 7,60). Szaweł pewnie czuje się w siodle, ale nie mija wiele czasu, a zalicza głębę. Jechał właśnie do Damaszku, żeby tam zapolować na „zwolenników tej drogi” (Dz 9,2). Nawiasem mówiąc, powinniśmy może nawiązać do tradycji i zacząć określać się tym mianem, zwłaszcza kiedy pojawiajemy się w modnym towarzystwie. Mówimy: „jestem chrześcijaninem” i widzimy spojrzenia pełne politowania. Ale gdy oświadczymy enigmatycznie: „jestem zwolennikiem Drogi”, jak nic zrobimy furorę. Kto wie, może nawet wezmą nas za masonów...?

Ale wróćmy do Szawła. Ten zagorzały prześladowca chrześcijan spotyka Jezusa na drodze do

Damaszku, i w rezultacie zostaje nie tylko odmieniony, ale i oślepiiony. W tym samym czasie Jezus ukazuje się pewnemu człowiekowi w Damaszku – jednemu z tych, których Szaweł zamierzał schwycić, zamknąć w więzieniu, a może nawet uśmiercić. Są wszelkie powody, by przypuszczać, że Ananiasz był nie mniej zszokowany objawieniem, niż Szaweł. Dowiedział się, że tego właśnie człowieka, który „dużo złego wyrządził świętym”, Pan wybrał sobie na narzędzie, które Imię Jego zanieśie „do pogan i królów, i do synów Izraela” (por. Dz 9,13–15). Taka nowina może zwalić z nóg, ale Ananiasz to twardy facet. Idzie na ulicę Prosta, do domu Judy. Modli się, kładąc ręce na Szawła, a ten odzyskuje wzrok. Potem udziela mu chrztu. I oczywiście nie zapomina o tym, by go nakarmić...

Trzy objawienia Jezusa opisane w Dziejach Apostolskich są jak trzy ogniwa łańcucha. Prześladowany, prześladowca i człowiek, któremu grozi prześladowanie, więc po swoim potencjalnym prześladowcy niczego dobrego się nie spodziewa – tych trzech ludzi przeżywa to samo niezziemskie doświadczenie, które sprawia, że już na ziemi odnajdują się, wbrew wszystkiemu, co ich dzieli, w jednej wspólności. Bez pierwszego nie byłoby drugiego, drugiego nie byłoby bez trzeciego. Żeby mogło się dokonać tak spektakularne przejście od podziałów do jedności i od

nienawiści do miłości, nie wystarczy „położyć fundament dialogu”. A może – owszem, ale pod warunkiem, że do budowy tego fundamentu posłużą kamienie, które Szczepan wziął na klatę.

## TOAST

Dużo mówiliśmy o komitywie wokół stołu, o tym, że nawet ludzie, których wiele dzieli, mogą miło i serdecznie pogwarzyć przy kieliszku wina. Godne to i sprawiedliwe, ale... jest jedno „ale”. *Savoir-vivre* wymaga, żeby wznieść toast, zanim uniesiemy kieliszek do ust. I tu zaczynają się schody. Kogo albo co uczcić toastem? Zdrowie? Życie? Najczęściej pozostajemy przy ogólnikach, żeby nikt nie zbulwersować – byłoby wielce niefortunne, gdyby toast skończył się nie degustacją, a kłótnią. Uczciwość każe jednak zastanowić się głębiej nad treścią toastu. Do czego wykorzystamy siłę, którą daje nam zdrowie? Gdzie ma źródło i ku czemu zmierza nasze życie?

Kardynał Newman pisał w liście do księcia Norfolk: „Gdybym miał wprowadzić religię do toastów po obiedzie (choć z pewnością nie o to chodzi), wypiłbym, rzecz jasna, za Papieża, ale, jeśli

można – jednak najpierw za Sumienie, a za Papieża później”<sup>1</sup>. Czyżby sumienie było tematem mniej konfliktogennym niż papież? Ciężko byłoby obronić tę tezę – wszak nam samym niełatwo jest żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Niby jest nasze, a nie chce nas słuchać, buntuje się, może nawet bardziej spektakularnie niż części wstydlive. Kiedy mamy ochotę na chwilę zapomnienia i dobrej zabawy, nagle, ni z tego, ni z owego, wbija nam szpilę. Gdy kładziemy się spać, nagle zaczyna nas dręczyć. Srogo grozi palcem, kiedy chcielibyśmy, żeby poklepało nas jowialnie po ramieniu. Trudno się dziwić, że o wiele chętniej gadamy o częściach wstydlivych niż o sumieniu.

Toast to podstawa – nie będziemy przecież chęptać w milczeniu, jak dzikie zwierzęta. Tu jednak sprawy mogą potoczyć się różnie. Zamiast „Twoje zdrowie”, Szczepan słyszy: „No to siup, w ten głupi dziób!”. Wesoła kompania okazuje się iluzją, która pryska, gdy ktoś ma czelność chcieć przyjaźni opartej na prawdzie. Pierwszy męczennik nie szukał zwady, chciał tylko wznieść toast. „Słuchajcie, bracia i ojcowie” (Dz 7,1) – zaczął, po czym przywołał całą historię Przymierza. Zamie-

---

<sup>1</sup> John Henry Newman, *O sumieniu. List do księcia Norfolk*, przeł. A. Muranty, Homini, Bydgoszcz 2002, s. 60.

rzał wypić ze wszystkimi nie za sto lat zdrowia, ale za coś nieskończenie lepszego – za wieczność zbawienia. Niestety, miła pogawędka przy szklaneczce wina zamienia się, nie wiadomo kiedy i jak, w morderczą awanturę. Potłuczone szkło, rozbita głowa, kupa kamieni. Jedna ofiara śmiertelna.

Człowiek, który chciał po prostu dogadać się z „ojcami i braćmi”, poniósł sromotną klęskę? Cóż, owszem. Ale równocześnie zatryumfował jako świadek rzeczywistości, która nieskończenie przerasta ludzkie najlepsze życzenia i najbardziej kwieciste toasty, jakie można by wygłosić.

## POTĘGA MODLITWY

Prawdziwy męczennik nie potrzebuje broni – jest mistrzem bardzo specjalnej sztuki walki, zwanej modlitwą. A to czyni go naprawdę niebezpiecznym. Nie mogę powiedzieć, bym był całkowicie przeciwny używaniu broni. Owszem, należy nadstawić drugi policzek, i nie ma, że boli. Ale reguła ta dotyczy mojej własnej facjaty, natomiast jeśli ktoś obiera sobie za cel policzek mojej żony albo dziecka, miłość bliźniego wymaga ode mnie, bym wkroczył do akcji i dał temu bliźniemu jałmużnę w postaci solidne-

go prawego sierpowego. Wyświadczę mu prawdziwą dobroczynność, nie dopuszczając do tego, by naruszył piąte przykazanie. Jeśli się upiera przy swoim, mam obowiązek uniemożliwić mu działanie, by nikomu nie zagrażał. *Cristeros*<sup>2</sup> walczyli o pokój skuteczniej niż pacyfiści, bo ci ostatni, przez swoją bierność, ułatwiali tylko sprawę złoczyńcom. Jednak użycie broni to sprawa ludzi świeckich – gospodarzy, ojców rodzin. Mnisi i księża mają o wiele większą wolność, bo oni walczą tylko mieczem słowa, czyli najpotężniejszym z mieczy.

„Wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną” (Mt 26,52). Dlaczego? Bo nawet jeśli zwyciężymy w uczciwej walce, pozostajemy na terenie przeciwnika. Owszem, pokonaliśmy go, ale zrobiliśmy to, stosując przemoc – od niej nie okazaliśmy się silniejsi. *Cristeros* nie mieli co do tego złudzeń. Chwyтали za fuzje i za widły nie po to, żeby napawać się potęgą fuzji i wideł, ale dlatego, że tylko w ten sposób mogli walczyć z rządem, który nie przebierał w środkach, by uciszyć wszystkich, którzy chcieli przekazać własnym dzieciom wiedzę o tym, że ist-

---

<sup>2</sup> *Cristeros* (Chrystusowcy) – katolicy walczący w latach 1926–1929 w Meksyku z rządem chcącym wprowadzić w życie ustawy antyklerykalne. W trwającym kilka lat powstaniu poległo 90 tysięcy osób: 60 tysięcy po stronie władzy i 30 tysięcy *Cristeros* – przyp. red.



nieje potęga większa niż przemoc, a jest nią modlitwa. Ten, kto modlitwą wojuje, nie zabiega o przewagę, która zmiażdżyłaby przeciwnika, nie stara się zdeptać go, podporządkować sobie brutalną siłą. Tak naprawdę człowiek, który musi deptać maluczkich i po trupach wspinać się na szczyt, jest słaby. Ten, kto jest rzeczywiście potężny, nie potrzebuje się pysznić. Stać go na to, żeby się unżyć i wyciągnąć dłoń. Wszechmocny „wywyższa pokornych” i to wystarczy, żeby „strącić władców z tronu” (por. Łk 1,52). Och, On nie zamierza odbierać korony tym, którym tak bardzo na niej zależy... pokazuje po prostu, że nie jest wiele warta. Prawdziwa moc to nie bezwzględna dominacja, tylko hojna płodność, atrybut ojca, który ofiarowuje dzieciom życie, a nie tyrana, trzymającego poddanych pod butem.

Modlitwa może o wiele więcej niż miecz, choć nie rozkazuje, tylko prosi. A prosząc – łagodzi brutalność, budzi odpowiedzialność, uzdolnia drugiego człowieka do dokonania życiowego wyboru: albo da się rozbroić i zechce nas wysłuchać, albo tym bardziej się rozsierdzi i zechce nas ukrzyżować. Jest też trzecia ewentualność, która zresztą w praktyce występuje najczęściej – nasz bliźni najpierw przybije nas do krzyża, a słuchać zacznie dopiero potem, zaintrygowany faktem, że nawet poddani męczarniom, uparcie pozostajemy wielkoduszni.

Oczywiście, wielkoduszność męczennika też ma pewne granice. Kiedy, dajmy na to, ludożerca przypieka nas na rożnie, raczej nie będziemy radzić mu, jak przyrządzić smakowity sos barbecue i czym należy doprawić mięso, by było kruche i soczyste. Ale, z pomocą łaski Bożej, możemy jeszcze nakłonić go, żeby podzielił się posiłkiem ze swoim głodnym współplemieńcem, a nawet by odmówił modlitwę przed jedzeniem.

Ludożerców, na szczęście, nie spotyka się często w dzisiejszych czasach, ale co, jeśli chrapkę na nas ma uwodzicielska kobieta? Gdy taka piękność sugestywnie muska nas skąpo odzianymi piersiami albo wręcz kładzie dłoń na naszym udzie z zupełnie jednoznacznym zamiarem, nie zaczniemy, broń Boże, wdawać się w dyskusję na temat teologicznych podstaw nierozzerwalności sakramentalnego związku małżeńskiego. Bylibyśmy zgubieni. Ale z pomocą łaski Bożej zdołamy odsunąć się na bezpieczną odległość, powiemy, że mamy już żonę, którą kochamy jak własne ciało, a nawet zapytamy młodą damę, czy nie zechciałaby umówić się z naszym kuzynem, który, ku swojemu utrapieniu, wciąż pozostaje w kawalerskim stanie. Zarówno kanibal, jak i modliszka będą głęboko poruszeni siłą naszego charakteru oraz doskonałą znajomością *savoir-vivre'u*.

## BARDZIEJ RADYKALNY NIŻ DŹIHADYSTA

Jaki jest największy grzech dżihadystów? Są za mało radykalni. Muszą się mocno wstydzić tej słabości, bo ukrywają ją, przypisując sobie miano męczenników, choć w rzeczywistości to tylko samobójcy i mordercy. Można, oczywiście, zarzucać im, że udowadniają za pomocą kałasznikowów, jak rozpaczliwie brak im argumentów (ale przecież ci ludzie nigdy nie próbowali uchodzić za uczonych ani za dyplomatów). Osobiście zarzucam im przede wszystkim to, że nie są dostatecznie poddani Bożej Opatrzności.

Uczeń Zmartwychwstałego jest o wiele bardziej radykalny niż dżihadyści. Po pierwsze, jest świadom, że jeśli ma być świadkiem zmartwychwstania, musi najpierw zostać zanurzony w śmierć Chrystusa – co sprawia, że nie może zbyt surowo osądzać swoich prześladowców. Po drugie, wie doskonale, że niewierny jest wysłannikiem Allaha (gdyby Allah nie życzył sobie jego obecności, niewierny po prostu by nie istniał) i że ten niewierny jest także, choć wbrew sobie, chodzącym dowodem na to, jak bardzo Allah jest wielki – większy niż ludzka ambicja, pęd do władzy i potrzeba kontroli. Gdyby Allah był nam podobny, stworzyłby automaty ślepo posłuszne Jego rozkazom. On stworzył isto-

ty wolne, by kochały Go, jeśli taka będzie ich wola. Gdyby uczeń Zmartwychwstałego chciał wstrząsnąć opinią publiczną, dokonując zamachu, nie zadowoliliby się uśmierceniem żywych. Wskrzesałby raczej sumienia, które od dawna pozostawały martwe. A żeby tego dokonać, trzeba użyć broni, która jest znacznie trudniejsza w obsłudze niż karabin, semtex czy miecz.

Jezus mówi jednoznacznie: „Gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie” (J 12,32). Wszystkich. Więc także tych, którzy Go odrzucają. Bo i oni w Nim mają istnienie, On wciąż jest sercem ich serca. A lekarza nie potrzebują zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają. Realizm wiary skutecznie leczy nas ze złudzenia, że jesteśmy w jakikolwiek sposób uprzywilejowani, i każe zwrócić się do dżihadysty, który właśnie się szykuje, żeby ściąć nam głowę, z następującym wyznaniem: Może jeszcze o tym nie wiesz, ale wbrew pozorom, ty także Igniesz do Jezusa, wiekuistego Żyda. I wcale nie wykluczam, że jak Szawła, który wysłał na tamten świat Szczepana, i ciebie Pan wybierze sobie na narzędzie, o wiele użyteczniejsze niż to, jakim ja kiedykolwiek byłem.



## ZAKOŃCZENIE

*Who knows?  
It's only just out of reach.  
Down the block, on a beach,  
Under a tree.  
I got a feeling there's a miracle due  
Gonna come true,  
Coming to me.*

Stephen Sondheim, *Something's coming*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Piosenka z musicalu *West Side Story* (Kto to wie? / To jest po prostu poza zasięgiem. / W bloku, na plaży / pod drzewem. / Mam wrażenie, że jakiś zasłużony cud / zamierza się urzeczywistnić, / przyjdzie do mnie) – przyp. red.





Kiedy tekst jest gotowy, autor dopiero zaczyna mieć pojęcie o tym, co tak naprawdę należało napisać. A jeśli tekst dotyczy tajemnicy samego Boga, autor dochodzi do wniosku, że może lepiej by zrobił, gdyby się nie wymądrzał, a czas, który strawił na pisaninie, poświęcił modlitwie. Oby Bóg wybaczył mi lekkomyślną swobodę, z jaką potraktowałem mój temat. Oby wybaczył także mojemu wydawcy. Wszak – Piłat zgodziłby się ze mną – ten, kto wydał ten tekst w wasze ręce, ponosi większą winę niż ja...

Czy można mówić o zmartwychwstaniu ze śmiertelną powagą? Uważam, że nie – bo to temat życiowo ważny. Czy wypada jednak pisać o nim na wesoło? Nie mam pewności. Pozostaje mi zaręczyć, drogi czytelniku, że starałem się sprostać wyzwaniu najlepiej jak mogłem, a nie zawsze było łatwo. Podczas gdy z marszem na czole stukałem w klawiaturę, przelewając na ekran kolejne złote myśli, dwuletni Joseph – zapewne w przekonaniu, iż w ten sposób zdopinguje mnie do wydajniejszej pracy – włożył mi na plecy i wisiał na karku. Jego starszy



brat Jacob z podziwu godną wytrwałością ponawiał apele, bym ustąpił mu miejsca, bo na tym właśnie ekranie zamierza obejrzeć kolejny odcinek *Petit Potam*, natomiast moje cztery córki, o ile akurat nie usiłowały rozwiązać jakiegoś kompletnie dla mnie niezrozumiałego konfliktu za pomocą przeszywających wrzasków, chóralnie wyśpiewywały ulubioną piosenkę z *Krainy Lodu*, gorliwością rekompensując wyraźne braki warsztatowe. Do dziś dnia ta melodia budzi we mnie mordercze instynkty. A to przecież nie wszystko – przede mną piętrzyły się rachunki do zapłaty, a wokół krążyła żona, niestrudzenie zadając mi pytania, to wzniosłe, to znowu dotkliwie przyziemne: „Kochasz mnie?“, i zaraz „Marchewkę, pytam, czy kupiłeś?“. Starłem się pamiętać o tym, że chodzi jej o jedno i to samo, tylko wyraża to na różne sposoby.

## ABYŚMY BYLI LUDŹMI

Może zdarzało mi się na kartach tej książki popuścić wodze fantazji, ale nigdy nie pozwoliłbym sobie na brak szacunku wobec tematu, który wybrałem. Niewykluczone, że czytelnik ma wrażenie, iż potraktowałem ten temat w sposób dość dziwny.

To dlatego, że żyjemy w dziwnych czasach. Dzisiaj możemy nie ruszać się sprzed ekranu komputera, tabletu czy smartfona, a cała rzeczywistość pojawia się przed nami, kiedy siedzimy u siebie w pokoju, za zamkniętymi drzwiami. Czy można zatem zbyć wzruszeniem ramion fakt, że Zmartwychwstały przychodzi pomimo drzwi zamkniętych? Nie sądzę. Zmartwychwstały przychodzi dzisiaj po to, żeby przypomnieć nam, że drzwi trzeba jednak czasem otwierać. Że warto kołatać i szarpać za klamkę. Apostołowie dzisiejszych czasów muszą nie tylko czynić znaki i cuda, ale też przypominać o rzeczach oczywistych, przez co, bardziej niż kiedykolwiek, narażają się na śmieszność. Oto głoszą, że ogień naprawdę parzy, noc nie jest dniem, trawa nie rośnie szybciej, kiedy się do niej strzela, krowa jest przeżuwaczem, a dziecko rodzi się z kobiety i mężczyzny.

Dlaczego są śmieszni? Bo to, co wczoraj było po prostu porządkiem rzeczywistości i przeznaczeniem każdego człowieka – urodzić się dziewczynką albo chłopcem, mieć ojca i matkę, żyć z pracy własnych rąk, dzielić posiłek, siedząc wokół stołu, spłodzić dzieci, a potem zrobić miejsce kolejnemu pokoleniu, schodząc z tego świata – obecnie zaczyna wydawać się przeżytkiem, którego miejsce jest w skansenie. Technologia obiecuje, że wszystkie przeszkody, które dotąd tworzyły drogę nasze-

go życia, zostaną zlikwidowane. Już dzisiaj zadaje się nam pytanie, czy dziecko chcemy począć we własnym zakresie i własnym łóżku, czy też wolelibyśmy powierzyć to zadanie doświadczonym lekarzom i ich próbówkom, przy czym ten drugi sposób jawi się jako bardziej odpowiedzialny, obciążony mniejszym ryzykiem błędu i, koniec końców, skuteczniejszy. Jutro prawdopodobnie ktoś nas zapyta, czy chcemy w sposób naturalny zakończyć życie, czy też skorzystać z oferowanej przez medycynę nieśmiertelności. (Możemy zdecydować się na to drugie bez lęku. Jeśli pożałujemy swojego wyboru, medycyna ma w ofercie liczne sposoby eutanazji, jeden przyjemniejszy od drugiego...). A za jakiś czas będziemy musieli zdecydować, czy chcemy być po prostu ludźmi, czy też wolimy zmienić oprogramowanie, bo dostępna jest już wersja „człowiek 2.0”.

Podczas gdy nauka wysyła sondy w Kosmos, „Mądrość zastawia stół” (por. Prz 9,2). Podczas gdy naukowiec w swoim laboratorium produkuje nadczłowieka, Bóg stwarza kobietę i mężczyznę. Oto, dlaczego Kościół w dzisiejszych czasach toczy niezliczone boje, broniąc stanowiska, które na pierwszy rzut oka wydaje się paradoksalne. Oblubienica Ducha głosi chwałę ciała. Wierzący w rzeczywistość nadprzyrodzoną stają w obronie prawa naturalnego. Wzywający do świętości domagają się

szacunku dla zwykłego seksu. W tych dziwnych czasach nie wystarczy powiedzieć, jak dawniej, że „Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek mógł stać się Bogiem”. Trzeba jeszcze dodać, że Bóg stał się człowiekiem, żeby człowiek mógł człowiekiem pozostać. Bo im bardziej będziemy przebóstwieni, tym autentyczniej pozostaniemy ludzcy.

## WOBEC ANTYZWIASTOWAŃ

Opisana w Apokalipsie scena antyzwiastowania zawsze robiła na mnie duże wrażenie. „I stanął Smok przed mającą rodzić Niewiastą, ażeby skoro porodzi, pożreć jej dziecię” (Ap 12,4). Jakież ogromny postęp dokonał się od czasu, kiedy napisano te słowa! Dziś Smok nie musi już czekać, aż dziecko się urodzi, żeby je pożreć. Mało tego, nie musi już nawet czekać, aż niewiasta pocznie dziecko. Może wyprodukować je w laboratorium.

Nasze czasy mają swoje dwa antyzwiastowania. Technokratyczne: „Konwergentne technologie nano-bio-info-cogno zstąpią na ciebie i moc inżynierii prześwietli cię na wylot”. I islamistyczne: „Anioł Pański zwiastował Mahometowi, a ten niczego nie począł, lecz poddał się pod dyktando Koranu”. Je-

śli mamy wystąpić przeciwko pierwszemu z tych antyzwiastowań, nie wystarczy, że będziemy bronić duchowości (skłaniając się ku szeroko pojętemu buddyzmowi). Trzeba jeszcze głosić pochwałę ciała, tego prawdziwego, pochodzącego od ojca i matki. Głosić, że jest ono dobre nawet w swojej zdolności do cierpienia („Popatrzcie na moje ręce i nogi: to Ja jestem. Dotknijcie się Mnie i przekonajcie: duch nie ma ciała ani kości, jak widzicie, że Ja mam”, Łk 24,39). Jeśli chcemy wystąpić przeciwko drugiemu z antyzwiastowań, nie wystarczy wyznawać Boga, trzeba jeszcze głosić, że człowiek ma prawo istnieć taki, jaki jest – ukształtowany przez kulturę, w której wyrósł, dokonujący własnych wyborów, błędzący. Słowem, człowiek ma prawo do własnej historii, która jest fundamentem, na którym stoi, i bagażem, który dźwiga („I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego”, Łk 24,27). Śmiało możemy głosić te dwie prawdy. Upoważnia nas do tego tajemnica wcielenia. Oto Duch przyjmuje ciało, naprawdę, do końca, aż po śmiertelne rany. Boskość nie znosi człowieczeństwa, ale je wypełnia. A zmartwychwstanie jawi się jako rzeczywistość, która przetrwała tak poddanie, jak i cybermodyfikację.

Kto dziś jest świadkiem zmartwychwstania, głosi nie tylko wiarę w życie wieczne, ale też sens spro-

wadzania na świat malutkich śmiertelników i obdarzania ich życiem ziemskim. Mówiliśmy już o tym, że tak samo, jak nie możemy wskrzesić samych siebie, nie możemy też siebie samych urodzić. W obu przypadkach działać musi potęga, która nas przeraża. A jeśli potrafimy naprawdę zaakceptować fakt, że zostaliśmy sprowadzeni na ten świat, choć jest on pełen niesprawiedliwości, cierpienia i śmierci, jeśli godzimy się z tym, że nie jesteśmy niezniszczalnym, samowystarczalnym wytworem nauki ani poddanym bez skazy ni zmaży, tylko zwykłym, nie do końca udanym dzieckiem pewnej pani i pewnego pana – oznacza to, że wierzymy, lub co najmniej jesteśmy gotowi uwierzyć, w chwałę Zmartwychwstałego, który odkupił wszystkie pokolenia ludzkości. Dla dzisiejszego świata zmartwychwstanie nie jest tylko gwarancją wiecznego życia, ale też sensu życiowych, ludzkich narodzin.

## OBJAWIENIA ZMARTWYCHWSTAŁEGO JAK DROGA PRZEZ PUSTYNIĘ

Jezus po zmartwychwstaniu objawia się przez „czterdzieści dni” (Dz 1,3). Po tym czasie wstępuje do nieba; obłok zabiera Go uczniom sprzed

oczu. Pojawiają się natomiast dwaj aniołowie, brutalnie przerywając kontemplację nadprzyrodzonego zjawiska: „Mężowie z Galilei, dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo?” (Dz 1,11). Apostołowie słyszą echo słów Mojżesza, zapisanych w Księdze Powtórzonego Prawa: „Nie jest w niebiosach, by można było powiedzieć: »Któż dla nas wstąpi do nieba i przyniesie je nam, a będziemy słuchać i wypełnimy je«” (Pwt 30,12). Aniołowie każą im wrócić do życia i wyjść naprzeciw nadchodzącej Pięćdziesiątnicy. Wtedy apostołowie rozumieją, że Jezus nie jest gdzieś daleko, ale pośród nich, w Duchu, obiecanym od Ojca i zesłanym (por. Dz 2,33).

Czterdzieści to liczba znacząca. Czy można w tym miejscu nie mieć skojarzenia z pustynią? Pomyślmy – jeśli ojcowie Kościoła widzieli w przejściu Izraelitów przez Morze Czerwone symbol zmartwychwstania, to logika nakazuje, by czterdzieści dni objawień Zmartwychwstałego zestawzić z czterdziestoma latami wędrówki narodu wybranego przez pustynię.

Zapewne zdarza się nam zazdrościć uczniom. „Ci przynajmniej widzieli Jezusa! A my? Figę żeśmy widzieli”. Nie jestem pewien, czy wiemy, o czym mówimy. Widzieć Go – to była naprawdę ciężka próba. Jak wielką uczniowie musieli czuć pokusę, by ucześcić się Go kurczowo, powiedzieć

„chwilo, trwaj”, zatracić się w hipnotycznej fascynacji, zapominając nie tylko o ludziach wokół, ale też o przygodzie, jaką jest własne życie, i o całym wszechświecie, który On wciąż dla nas stwarza. Wpatrzeni w Niego, nie potrafiliby dostrzec żadnego z codziennych cudów, jakie czekają na każdego tuż za rogiem ulicy, nie widzieliby nawet słońca, które, niczym złocisty kapelusz, przechodzi z głowy na głowę... Z taką pokusą zmierzili się Maria Magdalena i Tomasz zwany Didymosem.

Objawiając się przez czterdzieści dni, Zmartwychwstały zachowuje się najnormalniej w świecie. Jego gesty stanowią prozę codzienności. To ostatnia lekcja, jakiej udziela uczniom. Mają nauczyć się widzieć nie Jego, a wszystko – w Nim. Dostrzegać Jego chwałę, która przenika zwyczajne życie.

Gdy Zmartwychwstały unosi się w górę i obłok zabiera Go przed oczu uczniów, niebo i ziemia wymieniają ślubne obrączki. Od tej chwili ciało należy także do rzeczywistości niewidzialnej, Duch zaś staje się częścią widzialnego świata. Uczniowie Zmartwychwstałego mogą odtąd praktykować ten szczególny rodzaj prostoty, który Martin Buber odnajduje u trzech cadyków z Kozienic: „Mówili o sprawach wzniosłych i najwznioślejszych, ale także o zdarzeniach bieżących. O sprawach wznio-



słych mówili jak o czymś, co wydarzyło się w pobliżu, a o zdarzeniach ziemskich tak, jakby były utkane z niebiańskiej materii. Chwilami milczeli, ale milczeli razem”<sup>2</sup>.

*Praroman, 12 kwietnia 2015*  
*Niedziela Miłosierdzia Bożego*

---

<sup>2</sup> Martin Buber, *Gog i Magog. Kronika chasydzka*, przeł. J. Garewicz, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 1999, s. 59.

## SPIS TREŚCI

WPROWADZENIE .....	7
Zasada rzeczywistości.....	11
U źródła rzeczywistości.....	14
Chwała i codzienność.....	18
Kto rano wstaje... ..	20
Instrukcja obsługi „instrukcji obsługi” .....	23
I PIENIĄDZE ALBO ŻYCIE.....	27
Falsyfikat trzech cnót boskich .....	31
Ciulacz czy świadek?.....	35
Nabywca czy spadkobierca? .....	39
Świat wirtualny i prawdziwe życie .....	41
Przeszłość i przyszłość na dwa sposoby .....	45
II KOBIETY Z WONNOŚCIAMI .....	49
Namaścić namaszczonego .....	53
Miłość jak mirra .....	57
Kurtyzana, matka, żona.....	60
To straszliwe zmartwychwstanie .....	63
III CHUSTA NA SWOIM MIEJSCU .....	67
„Proszę przodem” .....	71
Cud pusty w środku.....	74
Jak matka .....	76
Posprzątać po sobie.....	79

IV	IDŹ, ZOBACZ, CZY MNIE TAM NIE MA .....	83
	Nie zagubić w tłumaczeniu.....	89
	Raj odwrócony.....	93
	Kłopot z wcieleniem.....	97
	Abyśmy przejrżeli na oczy.....	99
	Największy w najmniejszym .....	102
V	MACIE TU COŚ DO JEDZENIA? .....	105
	Wewnętrzne piękno .....	109
	Mus – nie mus.....	111
	Prawo stołu .....	115
	„Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije” (J 6,56)	119
VI	JAK OZNAJMIA PISMO .....	123
	Pusta wiadomość i niewidoczna obecność .....	126
	Najpierw przodkowie, potem wniebowstąpienie .....	130
	Ten, który wypełnia i odkupuje historię.....	132
	Pozwólmy, by czytało nas Pismo .....	137
VII	DZIEŃ DOBRY I PRZEPRASZAM .....	141
	Przeciw pobożnemu rozdwojeniu jaźni .....	147
	Uzdrowienie: powiedzieć „dzień dobry” tak, żeby to była prawda.....	149
	Nadprzyrodzony i codzienny.....	151
	Prawda potrzebuje przebaczenia .....	154
VIII	PODNIEŚ RĘKĘ I WŁÓŹ JĄ DO MEGO BOKU	159
	Jestem jak Święty Tomasz.....	162
	Postrzelony.....	164
	Wiekiste rany .....	167
	Gdyby usunąć choć jedno wydarzenie z historii tego świata.....	169
	Ten, który wąpił w dobrej wierze.....	171

IX	Z POWROTEM NA RYBY .....	177
	I Słowo stało się cieślą.....	181
	<i>Homo medialis</i> i <i>homo medievalis</i> .....	185
	Ojciec winiarz .....	187
	Poławiacze grzeszników .....	191
X	NIEGODNOŚĆ PAPIESKA .....	195
	Potrójne kłopoty .....	199
	Jestem niegodny i się z tego cieszę .....	204
	Moja wina, moje szczęście .....	207
	Być ojcem (świętym) .....	210
XI	WSZELKIEMU STWORZENIU .....	215
	Uff, to też stworzenie Boże.....	220
	Wszystko w Nim ma istnienie .....	223
	Kręte ścieżki Opatrzności.....	227
	Cały świat i Królestwo bliskości .....	232
XII	DAĆ SOBIE GŁOWĘ UCIĄĆ .....	235
	Szczepan, Szaweł i Ananiasz .....	240
	Toast.....	244
	Potęga modlitwy .....	246
	Bardziej radykalny niż dżihadysta.....	250
	ZAKOŃCZENIE .....	253
	Abyśmy byli ludźmi.....	256
	Wobec antyzwiastowań .....	259
	Objawienia Zmartwychwstałego jak droga przez pustynię.....	261

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Druk i oprawa:

Drukarnia TOTEM, ul. Jacewska 89, 88-100 Inowrocław

Wydrukowano na papierze Munken Print White 80 g, wol. 1,8